

LUDZKA MATKA BOGA

Maryja też nie
rozumiała Jezusa

CO DALEJ Z NOWOCZESNĄ

Bez pieniędzy,
bez powagi, bez Petru

CANNES 2018

Triumf Pawlikowskiego,
festiwal ponad polityką

MITY O GMO

Czy trzeba się bać
modyfikowanej żywności

Kraków 27 maja 2018 nr 22 (3594)

cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

**Od Gazy przez Syrię po Iran:
jak na naszych oczach tworzy się
nowy Bliski Wschód,
kto będzie nad nim panować
i jak to zmieni nasz świat**

Na wojnie bez końca

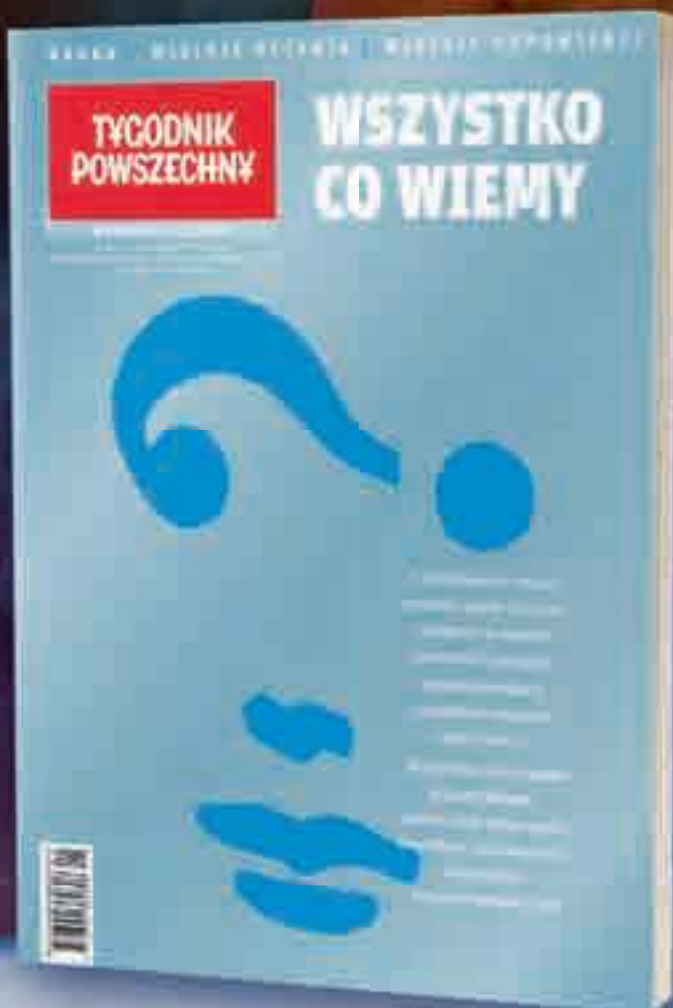
ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480802

PREMIERA

Już w sprzedaży wydanie specjalne
„Tygodnika Powszechnego”



**Niezastąpiona
lektura na lato!**

Ponad 160 stron przewodnika

O wszechświecie – skąd się wziął i jaki jest
po tajemnicach wszechświata.

O człowieku – i o tym, dlaczego mimo różnic potrafimy się dogadać
Już w salonach prasowych,

O umyśle – tym genialnym i tym zwykłym
w e-wydaniu

O cywilizacji – jak zmienia nas, nasze umysły i naszą planetę
i podczas

O wielkich ideach naukowych i dylematach moralnych
Copernicus Festival!

Wielkie nazwiska: Heller, Vetulani, Wynn, Wierzbicka, Barbour i wielu innych

KS. ADAM

Boniecki: Ważniejsze sprawy

IZRAEL ODWIEDZIŁEM PO RAZ PIERWSZY WIOSNĄ 1974 r. Z tamtej podróży zapamiętałem rozmowę z człowiekiem, który o ówczesnej sytuacji swojego kraju (było to bezpośrednio po wojnie Jom Kippur) mówił tak: „Jeśli Francja przegra wojnę, pozostanie Francją. Jeśli przegra dwie, nawet trzy wojny, nadal nią pozostanie. Jeśli Izrael przegra wojnę, przestanie istnieć. Państwa arabskie marzą o zepchnięciu nas do morza, czyli w niebyt”. Potem rozmawialiśmy z Palestyńczykiem. Mówił on: „Ja rozumiem, że historia, że Holocaust i te wszystkie racje, ale pytam: dlaczego mnie i moją rodzinę wygnano z domu zbudowanego przez moich przodków, i z ziemi, na której od niepamiętnych czasów mieszkali i pracowali?”. Kiedy podczas pobytu w Ziemi Świętej w 2015 r. pytałem obywateli Izraela o przywoływaną przed ponad 40 laty groźbę unicestwienia, słyszałem: „wtedy może tak, ale już nie dziś”.

Dziś sytuacja na Bliskim Wschodzie jest bardziej napięta i skomplikowana niż kiedykolwiek. O niej właśnie Wojciech Jagielski rozmawia w numerze z Krzysztofem Strachotą. Jagielski przytacza niedawną wypowiedź saudyjskiego następcy tronu, który zalecał Palestyńczykom przyjęcie ofiarowywanych im przez Izrael warunków pokoju, „bo Arabia Saudyjska i cały świat mają na głowie pilniejsze sprawy”. Może i mają, lecz ostatnie tragiczne wydarzenia w Gazie (pisze o nich z Izraela Karolina Przewrocka-Adaret) przypomniały o trwającym od dziesiątków lat konflikcie. „Żadna nowość – mówił w rozmowie z »Gazetą Wyborczą« (17 maja 2018 r.) Jehuda Szaul, współzałożyciel izraelskiej organizacji Szowrim Sztika (Przełamać Ciszę) powołanej przez kombatanów w celu monitorowania postępowania wojska na Terytoriach Okupowanych i w Gazie. – Palestyńczycy protestowali, Izraelczycy pokazali siłę. (...) Wszystko toczy się w dobrze znanym błędnym kole. Chcemy władzy nad Pa-



lestyńczykami i tę władzę utrzymujemy”. Szaul uważa, że będzie to trwało tak długo, jak długo Izrael będzie okupował terytoria palestyńskie.

„Ważniejsze sprawy” saudyjskiego księcia Mohammeda ibn Salmana to śmiertelnie poważna gra rozgrywana przez Irak, Iran, Syrię, Egipt i jego rodzimą Arabię Saudyjską, z powoli dogorywającym, jak się wydaje, tzw. Państwem Islamskim, otoczonym dziś na terenie Syrii przez wspierane przez Zachód oddziały kurdyjskie (w okrażeniu pozostaje kilka tysięcy dżihadystów), zaangażowaną w te konflikty Rosją liczącą na umocnienie swojej pozycji w regionie, i Stanami Zjednoczonymi odgrywającymi wciąż ważną rolę. Pewne wyobrażenie o rozmiarach prowadzonych działań wojennych daje korespondencja z Syrii Pawła Pieniążka: „Od 2014 r. międzynarodowa koalicja ze Stanami Zjednoczonymi na czele zrzuciła niemal 30 tys. bomb na cele w Syrii i Iraku. Atakowała, czasem trafiając cywilne wioski i miasta”.

Pocieszamy się, że od nas Bliski Wschód jest daleko. Tyśiące zabitych, rannych, burzone miasta i spirala nienawiści... To przerażające, ale – Bogu dzięki – daleko. A przecież nie tak dawno znacznie bliżej od nas mówiono, że nikt nie będzie „umierał za Gdańsk”. Nie tak dawno zamach w „dalekim” Sarajewie i Gdańsk okazały się zapłonem dwóch koszmarnych światowych wojen.

Obraz Bliskiego Wschodu (piszemy w tym numerze o Bliskim Wschodzie, a przecież jest jeszcze Azja z Koreą Północną, są Chiny, jest Afryka!), który wyłania się z zamieszczonych w tym numerze materiałów, jest ponury jak burzowe chmury. Dokąd zmierza nasz wspaniały świat? Do czego posłużą niebawem osiągnięcia w zakresie produkcji broni? (w tych dniach Rosja zaprezentowała hipersoniczną rakietę, którą sam prezydent uznał za „broń niewycieczoną”).

A my? My sobie toczymy naszą polsko-polską wojnę. ©©

TP

Ramka dobrych wiadomości



ADRIANNA BOCHENEK / AG

Z przyjemnością informujemy, że podczas gali wręczenia XV Nagród Dziennikarzy Małopolski, która odbyła się 19 maja w Krakowie, reporterka „Tygodnika” **ANNA GOC** została podwójnie nagrodzona!

Pierwszą nagrodę, w kategorii reportażu, otrzymała za tekst „Laleczka się nie boi”, pokazujący dominujący sposób, w jaki ginekolog traktuje swoją pacjentkę i jaki ma to wpływ na jej

zdrowie i decyzje. Reportaż w całości znajdą Państwo na stronie powszech.net/laleczka

Nasza dziennikarka została także laureatką najważniejszej nagrody gali – Grand Prix. Pełna lista nagrodzonych: nagrodadziennikarzy.pl

Tego samego dnia pisarz i felietonista „Tygodnika”

ANDRZEJ STASIUK został laureatem Prix Nicolas-Bouvier za książkę „Wschód” w przekładzie Margot Carlier, której fragmenty miały swój pierwodruk w „Tygodniku”. Nagroda, nosząca imię znakomitego szwajcarskiego pisarza i podróżnika, przyznawana jest podczas festiwalu książki i filmu Étonnants Voyageurs w Saint-Malo we Francji.

Naszej Dziennikarce i naszemu Autorowi gratulujemy i dziękujemy!

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Z Mokotowa w świat
SEBASTIAN SMOLIŃSKI

6-10 Wiadomości / Komentarze

20 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Nowoczesny rozwój Petru

ANDRZEJ STANKIEWICZ: *Nowoczesna padła ofiarą rozgrywek, które od lat toczą polską politykę*

26 Koniec emerytury

RAFAŁ ZYCHAŁ: *Komorowski będzie walczył o Parlament Europejski?*

28 Kij na psa stróżującego

BARTOSZ KLIMAS *o Narodowym Instytucie Wolności*

■ ■ REPORTAŻ

32 Przestań być tylko matką

KATARZYNA KUBISIOWSKA: *Poprzez syna weszło światło w moje życie – mówi Beata Bronakowska, poetka*

■ ■ WIARA

38 Łaska ciemności

JÓZEF MAJEWSKI: *Matka Jezusa często nie rozumiała swojego Syna. Co mogą oznaczać dla nas trudności Maryi w wierze?*

42 Kłopotliwe dane

ARTUR SPORNIAN: *Jak Kościół katolicki chce sobie poradzić z RODO*

44 Życie w jednej torbie

ZUZANNA BUKŁAHA *o mormonach*

■ ■ ŚWIAT

48 Ostatnia bitwa kalifatu

PAWEŁ PIENIAŻEK *z Syrii*

52 Mbandaka, miasto pod nadzorem

MARCIN ŻYŁA: *W Demokratycznej Republice Konga wybuchła epidemia gorączki krwotocznej ebola*

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■

12 Nic do stracenia

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET *Z IZRAELA*

Na protesty pod granicę między Gazą i Izraelem przysły palestyńskie kobiety, dzieci, niepełnosprawni. Hamas mówił im, żeby się nie bali, bo wojsko nie strzela do takich. Strzelało.

15 Nieporządek bliskowschodni

ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM STRACHOTĄ, ANALITYKIEM:

Chaos zastąpił postkolonialny porządek, który od stu lat utrzymywał się na Bliskim Wschodzie. Przyczynił się do tego także Zachód, usiłując nieudolnie umocnić panowanie nad regionem.

■ ■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER

47 SZYMON HOŁOWNIA

61 ANDRZEJ STASIUK

84 JAN KLATA 85 PAWEŁ BRAVO

90 STANISŁAW MANCEWICZ

90 BARTOSZ MINKIEWICZ

■ ■ DODATEK SPECJALNY ■

58. Krakowski Festiwal Filmowy

Okładka: Protest w Strefie Gazy, 11 maja 2018 r.

Fotografia: IBRAHEEM ABU MUSTAFA / REUTERS / FORUM

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

KOMUNIKAT DLA CZYTELNIKÓW

Następne wydanie „TP” ukaże się w sprzedaży kioskowej już we wtorek **29 maja**.
Wydania cyfrowe – tego samego dnia wieczorem.

54 Mroczne zaułki Londongradu

DARIUSZ ROSIAK *o Rosjanach w Wielkiej Brytanii*

58 Wodą przed wodą

MAREK RABIJ: *Czy uciekający z Birmy Rohingowie to współcześni boat people?*

■ ■ HISTORIA

62 Zaczęło się w Pradze

ANDRZEJ KRAWCZYK: *400 lat temu wybuchła wojna trzydziestoletnia*

■ ■ NAUKA

66 Matka Natura i GMO

ŁUKASZ SAKOWSKI

■ ■ KULTURA

70 Obrazy są głodne

AGNIESZKA SABOR *o Wojciechu Fangorze i nowej wystawie jego prac*

75 Dobry serial

KALINA BŁAŻEJOWSKA: *„Wojenne dziewczyny” wracają do TVP*

76 Kołysanka dla Krzysztofa

DOROTA KOZIŃSKA: *Fenomen Krzysztofa Komedii i jego pionierskiej twórczości*

78 Nowe wspaniałe wspólnoty

SEBASTIAN SMOLIŃSKI *o festiwalu filmowym w Cannes*

80 Trauma i demencja

ANITA PIOTROWSKA *o filmach „Mała zagłada” i „Obłoki płyną nad nami”*

81 Warto zobaczyć w TV

84 Młody jubilat

LEKTOR *o dramacie Stefana Otwinowskiego „Wielkanoc”*

■ ■ ZMYŚŁ

86 Od rewolty do folkloru

MAREK BIENIŃCZYK: *Maj '68 to najważniejszy punkt odniesienia dla powojennej Francji*TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabiń, Mariusz Sepioto, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Feliety: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomąłowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewicz, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina Przewrocka-Adaret, Jakub Puchalski, Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Teresa Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Joachim Trenkner, Marek Zajac
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoredakcja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdat, Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.


 OBRAZ
TYGODNIA

Z MOKOTOWA W ŚWIAT

Wyróżnienie Pawła Pawlikowskiego w Cannes to sygnał dla polskiego kina: niech czerpie siłę z naszego umiejscowienia na styku kultur, niech korzysta z doświadczenia tych, którzy znajdują się na marginesie głównego nurtu.

SEBASTIAN SMOLIŃSKI Z CANNES

NAGRODA DLA NAJLEPSZEGO REŻYSERA NA najbardziej prestiżowym festiwalu filmowym na świecie powędrowała do Pawła Pawlikowskiego za „Zimną wojnę”. Tegoroczne Cannes było dla Polaków niezwykle udane: wybitny polski film w konkursie głównym, nakręcony z polską ekipą i aktorami, w języku polskim, korzystający z polskiego folkloru, poświęcony polskiej historii i życiu emigracyjnemu – trudno nie postrzegać tego sukcesu przez pryzmat narodowej dumy. A jednak doświadczenie reżysera „Zimnej wojny” jest na tyle skomplikowane i wielowymiarowe, że zadaje kłam próbom jednoznacznego zawłaszczenia dzieła, nawet jeśli stoją za nim i dobre intencje.

Przez długi czas Pawlikowski postrzegany był u nas jako brytyjski reżyser polskiego po-

chodzenia. Wychował się na warszawskim Mokotowie. Jako czternastolatek w 1971 r. wraz z matką opuścił kraj i zamieszkał w Londynie, by po przenosinach do Niemiec ponownie osiąść w Anglii w 1977 r. Studiował filozofię i literaturę (doktoryzował się na Oksfordzie z poezji Georga Trakla). Filmem zainteresował się w 1987 r., kiedy trafił do BBC. Zaczynał od niekonwencjonalnych dokumentów (m.in. „Z Moskwy do Pietuszek z Wieniediktem Jerofiejewem” i „Podróże Dostojewskiego”), by w 2000 r. zadebiutować w fabule nagrodzonym BAFTA „Ostatnim wyjściem” o rosyjskiej imigrantce ubiegającej się o azyl w Londynie. Sensualnym „Latem miłości” odkrył dla kina Emily Blunt, a „Kobietą z piątej dzielnicy” udowodnił, że potrafi nakręcić we Francji film

*Paweł
Pawlikowski
z nagrodą
w Cannes,
19 maja
2018 r.*

→ z gwiazdorską obsadą. Na przestrzeni swojej kariery Pawlikowski nauczył się mówić w sześciu językach i pracować w różnych kontekstach kulturowych.

Jego powrót do Polski i realizacja „Idy” (reżyser mieszka dziś na stałe na Mokotowie) początkowo przemknęły niezauważone. Dopiero sukcesy festiwalowe i Oscar dla czarno-białej opowieści o zakonnicach odkrywającej swoje żydowskie korzenie umieściły reżysera w centrum zainteresowania polskich mediów. Przy okazji premiery „Zimnej wojny” Pawlikowski określany był już jako polski reżyser; twórca, który powrócił do ojczyzny i patrzy na nią swoim unikalnym okiem – jednocześnie swojskim i outsidera.

„Zimna wojna” jest pięknym świadectwem tej biografii, nieustannej podróży przez kraje i środowiska artystyczne. Nagroda dla Pawlikowskiego w Cannes – za film rdzennie polski i zarazem głęboko europejski – jest ważnym sygnałem dla naszego kina. Powinno ono czerpać siłę z geograficznego i historycznego umiejscowienia na styku kultur; korzystać z doświadczenia tych, którzy znajdują się na marginesie głównego nurtu – polskich emigrantów, ale też imigrantów przyjeżdżających do Polski. Dopiero z twórczego zderzenia wartości i języków może powstać film tak osobisty, a przy tym uniwersalny, jak „Zimna wojna”.

Pawlikowski zadedykował statuetkę zmarłemu przed rokiem współautorowi scenariusza Januszowi Głowackiemu, dodając, że reprezentował on to, „co najbardziej w Polsce kocham: odwagę, poczucie humoru, delikatność, otwarcie na resztę świata. I właśnie o te wartości musimy dziś w Polsce walczyć”. © SEBASTIAN SMOLIŃSKI



EDWARD AUGUSTYN
opowie o kard. Konradzie
Krajewskim w audycji

Grzegorza Chlasy w środę 23 maja
o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie
– www.rdc.pl

W SKRÓCIE

SĄD UNIEWINNIA. Zbigniew Cwiakalski, obrońca niestusnie skazanego za morderstwo Tomasza Komendy, zapowiedział, że będzie się domagał ponad 10 mln zł odszkodowania. Nie wykluczył, że w dochodzeniu sprzed lat tworzono fałszywe dowody. W ubiegłym tygodniu Sąd Najwyższy uniewinnił ostatecznie Komendę.

POSEŁ DZIĘKUJE. Politycy PiS spotkali się w terenie ze społeczeństwem. Premier Morawiecki był w Gdańsku świadkiem przepychanek między zwolennikami a przeciwnikami rządu. Na wsparcie mógł liczyć rozmawiający z wyborcami w Plichtowie poseł Stanisław Piotrowicz. „Zróbcie z tym tałatajstwem w Sejmie porządek” – krzyczała zwolenniczka PiS, odnosząc się do protestu niepełnosprawnych. „Musimy być powściągliwi, roztropni – odpowiadał poseł. – Wdzięczni jesteśmy za różne głosy obywateli. Pani za ten głos również dziękuję”.

MARSZAŁEK LICZY. „Różne głosy” o protestujących można też było usłyszeć od rządzących Sejmem i Senatem. „Codzienne wyżywienie kosztuje. Bierzymy to na siebie, ale będziemy musieli zastanowić się, bo ktoś musi za to zapłacić” – mówił Marek Kuchciński. „To są osoby, które długo przebywają w jednym miejscu – dodawał Stanisław Karczewski – więc jest zagrożenie epidemiczno-logiczne”.

KIBOL RZĄDZI. Zagrożeniem nie byli najwyraźniej kibole obecni na meczu decydującym



JĘDRZEJ NOWICKI / AG

o mistrzostwie Polski w piłce nożnej między Lechem Poznań a Legią Warszawa. Miejscowi kibice rzucali na boisko race, a następnie – wyłamawszy ogrodzenie – wdarli się na płytę. Mecz przerwano, ale w tym dniu żaden z nich nie został zatrzymany.

PiS, co się kulom nie kłania



MAREK RABI

ISTNIEJĄ PYTANIA, PO KTÓRYCH POLITYKOM KOŃCZĄ SIĘ chwytły sofistyczne. Usłyszał takie w Gdańsku premier Morawiecki, gdy wychwalał politykę swego rządu. – Co takiego się dzieje, że jest tak dobrze, mamy tyle pieniędzy, a nie możemy pomóc tym ludziom, którzy od kilkudziesięciu dni siedzą w Sejmie i czekają na pomoc? – zapytała pani z widowni.

Wydatki państwa w tym roku mają się zamknąć w 397,2 mld zł, z czego 41,4 mld zł rząd będzie musiał pożyczyć. Bywały głębsze dziury budżetowe. W 2016 r. w kasie zabrakło 46,2 mld zł, rok wcześniej 42,6. W relacji do PKB deficyt wygląda jeszcze lepiej – pożyczamy już poniżej 3 proc. PKB, a dekadę wcześniej rzadko udawało się nam zejść poniżej 4 proc. PKB.

Rząd faktycznie nie ma więc pieniędzy na podwyżki dla osób niepełnosprawnych, w tym sensie, że w budżecie – jak w kasach większości krajów świata – nie ma nadwyżki. Ale nie było jej też na 500 plus i inne projekty gabinetu PiS. Niechęć władzy do sfinansowania z długu postulatów opiekunów osób niepełnosprawnych może wynikać po prostu z ignorancji. Może jednak mieć źródło także w polityce. Władza albo boi się, że zgoda na żądania jednych zachęci innych do postawienia kolejnych, albo nie chce stracić w oczach swoich wyborców szorstkiego uroku gospodarza, któremu nikt nie będzie mówić, co ma robić. Nawet jeśli chodzi o zrobienie czegoś dobrego. ©©

Brudne ręce personelu

W SKONTROLOWANYCH PRZEZ NIK szpitalach w ciągu roku (między 2015 a 2016) wzrosła liczba zakażeń; w tym prawie trzykrotnie lekooporną bakterią *Klebsiella pneumoniae* NDM(+). Zakażenia dotyczą od 5 do 10 proc. pacjentów. Nawet przyjmując dolną granicę, mówimy o 400 tys. osób. NIK nie ukrywa jednak, że jakość zebranych danych jest kiepska, a realna liczba zakażeń może być o wiele wyższa (nic dziwnego: w Polsce placówka, która zgłaszała by dużą liczbę zakażeń, miałaby kłopoty).

Jakie są przyczyny zakażeń? M.in. brak izolatek, stare instalacje kanalizacyjne czy nadużywanie antybiotykoterapii (co sprzyja mutowaniu bakterii w formy lekooporne). Ale w 80 proc. przypadków chodzi o zaniedbywanie zasad higieny. Wystarczy, żeby lekarz nie zmienił rękawiczek, przechodząc od jednego pacjenta do drugiego. Znakomitym rezerwuarem zarazków są też przedmioty noszone w kieszeni fartucha. Na Zachodzie wdraża się zasadę „nic poniżej łokcia” i sugeruje lekarzom, żeby nie podawali sobie rąk na przywitanie, ale robili „żółwika”. ©© MACIEJ MÜLLER



ADAM LACH / NAPO IMAGES / GPP

ADAM LACH zwycięzcą Ogólnopolskiego Konkursu Fotografii Prasowej Grand Press Photo 2018. Zdjęcie porównywane do obrazu Eugène'a Delacroix „Wolność wiodąca lud na barykady” pokazuje protestujących przeciwko reformie polskiego sądownictwa w lipcu 2017 roku. © P

JANINA OCHOJSKA:

Ten protest zmieni nasze myślenie

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Wierzy Pani w pozytywne zakończenie sejmowego protestu osób niepełnosprawnych i ich opiekunów?

JANINA OCHOJSKA: Nie wyobrażam sobie innego scenariusza. Trudno by im było nawet wyjść z Sejmu bez realizacji wszystkich postulatów. Na razie spełniono tylko jeden: podniesiono rentę socjalną o 152 zł. Teraz nadszedł czas dialogu, a dla nas czas solidarności. I naciskania na rząd, by zaczął tworzyć system, w którym osoba niepełnosprawna i jej opiekun nie traciliby godności.

500 zł, których domagają się protestujący, to tylko początek?

To wstępne minimum. Nie rozwiąże wszystkich problemów, bo do zbudowania jest cały system pomocy.

Chodzi nie tylko o pieniądze, ale też ramy prawne i instytucjonalne, które wesprą także rodzinnych opiekunów, pozwalając im dobrać do skromnych świadczeń. Do tego potrzebne jest z kolei stworzenie nowej grupy zawodowej: opiekunów osób niepełnosprawnych.

Ten protest to też przełom mentalny, czy może się powzruszamy, pooburzamy, a potem wszystko wróci do normy?

Wierzę, że to przełom. Protest wyzwolił sporo hejtu, ale dzięki niemu społeczeństwo dowiedziało się też bardzo dużo o życiu osób niepełnosprawnych. Ludzi, którzy być może wywoływali dotąd lęk, z którymi zdarzało się nam „rozmawiać” zwracając się tylko do opiekuna, a nie do samej osoby niepełnosprawnej. Ten protest i idące za nim medialne zainteresowanie uczą, że to są tacy sami ludzie, że warto ich wysłuchać, nawet jeśli mają niewyraźną mowę albo powykręcane ciała. Zobaczyliśmy, że za tą powłoką jest przesłanie, treść, mądrość. Tego kapitału nie wolno zmarnować, dlatego sejmowy protest musi się zakończyć sukcesem. © P

Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



GRAŻYNA MAKARA

JANINA OCHOJSKA

jest szefową Polskiej Akcji Humanitarnej. W zeszłym tygodniu próbowała odwiedzić protestujących w Sejmie, ale nie została wpuszczona do środka.

Puszcza Białowieska: chwiejny rozejm

LASY PAŃSTWOWE coraz częściej przegrywają w sądach, do których zaskarżyły obrońców Puszczy Białowieskiej. Sądy biorą pod uwagę wyrok Trybunału Sprawiedliwości UE, według którego wycinka była nielegalna. 17 maja dyrektor generalny LP zapowiedział wstrzymanie nowych wniosków o ukaranie z kodeksu wykroczeń. Wycofanie tych złożonych wcześniej będzie negocjowane na dniach. Leśnicy oczekują w zamian wycofania oskarżeń przeciwko nim, nawet jeśli ich działania zagrażały życiu ekologów.

Złagodzenie konfliktu leży w interesie leśników. Jedna z fundacji oskarżyła LP o dewastację przyrody, przez co Sąd Okręgowy w Warszawie wydał zakaz gospodarki leśnej w Puszczy. Tamtejsze nadleśnictwa straciły też certyfikaty zrównoważonego leśnictwa. A nowy minister środowiska uchylił decyzję o cięciu starodrzewów, która była przyczyną protestów. Nadleśniczowie z drżeniem czekają na ekspertów UNESCO – ich raport może zdegradować Puszcę do kategorii obiektów zagrożonych. Dla prawie wszystkich staje się jasne, że działania LP były błędne, a protestujący bronili przyrody i prawa.

Na taką refleksję nie stać ministra środowiska Henryka Kowalczyka i podległego mu dyrektora LP. Właśnie powołali zespół ekspertów, który po wyroku ma opracować nowy plan ochrony Puszczy. Prym wiodą w nim naukowcy broniący błędnych decyzji byłego ministra Szyszki przed Komisją Europejską. Znajdziemy tam ekspertów od pilarek, jak profesor Janusz Sowa, albo zwolenników wycinki, jak profesor Bogdan Brzezicki i Jacek Hilszczański, których argumentacja doprowadziła nas do wyroku. Puszcza zostaje w rękach specjalistów od rżnięcia.

© MICHAŁ KSIĄŻEK

Rzym bliżej Moskwy

PAWEŁ BRAVO



NIEZALEŻNIE OD WYNIKU ROZMÓW koalicyjnych między Ligą Północną i Ruchem Pięciu Gwiazd – w chwili zamykania numeru niewiadomą była tylko obsada stanowiska premiera – Włochy przysporzą sporo zmartwień Europie. I to zarówno w Brukseli, jak na wschodniej flance Unii.

Wynik marcowych wyborów właściwie nie pozostawiał innego wyjścia, jak współpraca dwóch największych ugrupowań populistycznych. Choć Ligę i Ruch dzieli wiele, okazało się, że ważniejszy jest potencjał antysystemowej złości, którego oba te nurty są wytworem. Złości obecnej zwłaszcza w młodym pokoleniu.

Dlatego negocjując porozumienie programowe – sygnowane w miniony piątek – oba ugrupowania łatwo znalazły wspólny język w formułowaniu postulatu większej asertywności wobec Unii w polityce fiskalnej. Z końcowej wersji dokumentu zniknął wprawdzie postulat umorzenia przez Europejski Bank Centralny włoskich obligacji (wartych, bagatela, 200 mld euro). Ale liderzy obu ugrupowań zapowiadają, że nie będą stosować się do obowiązującego w strefie euro trzyprocentowego deficytu budżetowego (choćby dlatego, że zawarte w ich porozumieniu obietnice mają kosztować ok. 100 mld euro).

Ważnym punktem programu powstającego rządu jest też sprzeciw wobec sankcji nałożonych przez Unię na Rosję. Włochy, jeden z najważniejszych krajów „starej” Unii, stają się oto „koniem trojańskim” Moskwy. Liga Północna oficjalnie współpracuje z partią Putina – i wobec faktu, że to ona będzie kreować politykę zagraniczną Rzymu, rosyjskie flirty Orbána czy wątpliwe interesy niemieckich przyjaciół Gazpromu mogą wydać się niegroźne... W czerwcu Rada Europejska ma głosować nad przedłużeniem sankcji wobec Rosji – z powodu wymogu unijnej jednomyślności ich koniec wydaje się przesądzony. © TP



ANDREW MATTHEWS / PA / EAST NEWS

ROYAL WEDDING. 33-letni książę Harry – szósty w kolejce do brytyjskiego tronu – poślubił Meghan Markle, 36-letnią amerykańską aktorkę. Ślub zawarli na zamku w Windsorze. Podczas przejazdu ulicami młodą parę oklaskiwało 100 tys. ludzi. Na liście weselnych gości byli m.in. Amal i George Clooney, Serena Williams, Victoria i David Beckham. Ślub okrzyknęto przetomowym dla monarchii – matka Meghan jest Afroamerykanką. Nowożeńcy będą używać tytułów księżę i księżna Sussex. © PATRYCJA BUKALSKA z Londynu
Więcej o ślubie na: powszech.net/royal-wedding

Putin w kamazie na moście krymskim

NA PÓŁ ROKU przed terminem uruchomiono most przez Cieśninę Kerczeńską, łączący Rosję z Krymem. Ma 19 km i jest najdłuższy w Europie. Dla Putina to projekt symboliczny: ma pokazać, że Krym jest rosyjski i zintegrowany z resztą kraju, a Rosję stać na tak drogą (koszt 4 mld dolarów) i wymagającą technologicznie inwestycję – i to w realiach sankcji. Ukraina protestowała od chwili, gdy ruszyła budowa. Wspólnota międzynarodowa, uważająca aneksję Krymu za pogwałcenie prawa, też skrytykowała otwarcie mostu. Oprawę propagandową most miał na poziomie zwycięstwa w wyczerpującej wojnie. Był nawet konkurs na pieśń sławiącą projekt. A uroczystości jego otwarcia rozpisano na dwa dni. Pierwszego przybył Putin: w skórzanym kurtce wsiadł za kierownicę kamaza i rzucając „pajechali!”, odpalił silnik. Kamery towarzyszyły mu przez cały 19 km. Przejazd Putina – bez prawa jazdy na ciężarówkę, bez pasów bezpieczeństwa i ubezpieczenia – wyglądał jak metafora aneksji Krymu. Drugiego dnia przez most przemknęła kolumna Nocnych Wilków – wiernych motocyklistów prezydenta. © ANNA ŁABUSZEWSKA

Więcej: labuszevska.blog.tygodnikpowszechny.pl

USA: szkolna masakra

TO KOLEJNY TAKI ATAK: 18 maja w Santa Fe (stan Teksas), zginęło 10 osób (w tym dziewięć uczniów), a 13 odniosło rany, gdy 17-latek otworzył ogień w szkole. Zanim zaczął strzelać, krzyknął: „Niespodzianka!”. Zeznał potem, że zabijał tych, których nie lubił. Arne Duncan, minister edukacji za Obamą, stwierdził potem, że rodzice powinni przestać posyłać dzieci do szkół, dopóki politycy nie zaostrzą dostępu do broni. Atak w Santa Fe komplikuje debatę na ten temat. Sprawca nie użył broni półautomatycznej (jak zabójcy z Parkland czy Sandy Hook), która jest na celowniku ruchu na rzecz zaostrzenia prawa, lecz zwykłą śrutówkę i pistolet ojca, których w USA jest mnóstwo. Szkoła miała przeciwczy plan działań w razie ataku, a dwóch policjantów patrolowało korytarze. Ale sprawca zdołał wejść do sali, a „dobry gość ze spluwą” – wbrew teom zwolenników posiadania broni – nie zatrzymał tego złego. Sprawca się w końcu poddał. „Washington Post” wylicza, że w 2018 r. w szkolnych masakrach zginęło 31 uczniów – więcej niż żołnierzy USA w tym czasie. Szkolne masakry stały się czymś zwyczajnym. © JAN SMOLEŃSKI

Zmarł Mały Brat Jezusa

KIEDY BRAT MORIS otrzymał w 2007 r. Nagrodę im. ks. Józefa Tischnera, przedstawiono go jako „teologa i filozofa”. To jakby nazwać św. Hieronima „tłumaczem”, a św. Franciszka – „kaznodzieją”. Niby prawda, ale niepełna. Kiedy odwiedziłem go wtedy w domku Małych Braci w Truskawiu pod Warszawą, przez pół nocy opowiadał o wierze. Mówił o Jezusie, który uzdrawiał, dotykając: nie musiał tego czynić w ten sposób, wystarczyłoby samo słowo – ale On chciał okazywać ludziom bliskość. Mówił o Kościele, poza którym podobno nie ma zbawienia: ale przecież można do niego należeć, nawet o tym nie wiedząc. Mówił o sobie – człowieku, który w powojennym Paryżu popełnił chyba wszelkie możliwe grzechy, ale nawrócił się, zaciągnięty przez znajomego na pielgrzymkę do Chartres.

Najpierw próbował wstąpić do trapistów, ostatecznie wybrał „kontemplację w sercu świata”, jak to ujął w tytule jednej z publikacji. Wstąpił do Małych Braci Jezusa, zakonu wyrosłego z nauczania św. Karola de Foucaulda („to



duchowość, która eliminuje termin: »sukces« – pisał Stefan Świążawski). Mali Bracia tworzą wspólnoty żyjące wśród biednych ludzi i podejmują takie jak oni prace. Moris, wysłany do Polski, budował wspólnoty na warszawskiej Pradze (w mieszkaniu bez ogrzewania), a potem w Truskawiu.

– Śmierci nie trzeba się bać – lubił z uśmiechem powtarzać. Zmarł 15 maja w wieku 89 lat.

© MACIEJ MÜLLER



TULLIO M. PUGLIA

Konrad Krajewski kardynałem

„**MOGĘ JUŻ MÓWIĆ »EMINENCJO«?**” – zapytał włoski dziennikarz, gdy abp Konrad Krajewski (na zdjęciu) znalazł się w gronie 14 nowych kardynałów. „Pan żartuje? Kiedy nazywano mnie »ekscelencją«, kazałem płacić 5 euro na biednych, teraz co najmniej dziesięć” – odpowiedział jałmużnik papieża.

To najbardziej zaskakująca z nominacji. Dawniej do głównych zajęć jałmużnika należało udzielanie w imieniu papieża pisemnych błogosławieństw. Abp Krajewski stał się „rękami” Franciszka. W jego imieniu m.in. towarzyszył ratownikom wyławiającym ciała uchodźców z Morza Śródziemnego. Ustawił w kolumnadzie Berniniego kontenery z prysznicami dla bezdomnych. Swoje mieszkanie odstąpił rodzinie syryjskich uchodźców. Wśród pozostałych nominatów znaleźli się hierarchowie z Pakistanu, Portugalii, Włoch, Peru, Iraku, Madagaskaru, Japonii, prefekt Kongregacji Nauki Wiary, wikariusz generalny dla diecezji rzymskiej, substitut ds. ogólnych w Sekretariacie Stanu oraz z racji honorowych trzech emerytów: Meksykanin, Boliwijczyk i Hiszpan.

© ASK

Chile: episkopat do dymisji

PO SPOTKANIU Z PAPIEŻEM chilijscy biskupi złożyli rezygnację z wszystkich pełnionych w kraju urzędów. To próba ratowania honoru episkopatu skompromitowanego – jak napisał Franciszek w poufnym dokumencie – „przestępstwami seksualnymi na nieletnich, nadużyciem władzy, gwałceniem sumień, a także sposobem rozwiązywania tych problemów”. Protesty wierznych przeciwko hierarchom oskarżanym o tuszowanie afer pedofilskich przyniosły skutek. Dymisja chilijskiego episkopatu jest konsekwencją raportu specjalnego wysłannika papieża do Chile. To gest spektakularny, bezprecedensowy, ale niewystarczający. Na zakończenie trzydniowego spotkania Franciszek przestrzegł, że zmiany personalne – choć konieczne – nie rozwiążą problemu, o ile nie pójdzie za nimi zmiana mentalności (formacja księży) i struktur Kościoła (zwiększenie roli świeckich).

© EA

Więcej na: www.tygodnikpowszechny.pl

W SKRÓCIE

KLER GARDEN. Klerycy krakowskiego seminarium duchownego udostępnili mieszkańcom swój ogród. Od 20 maja w jedną niedzielę w miesiącu krakowianie będą mogli wejść za seminaryjne mury, odpocząć na leżakach albo zagrać z klerykami w piłkę nożną. Aktywiści miejscy od lat apelują do klasztorów o udostępnienie mieszkańcom zielonych przestrzeni. W centrum Krakowa łączna powierzchnia ogrodów ukrytych za murami kościelnych budynków to ponad 15 hektarów. „Naszym zadaniem jest być blisko ludzi”, tak decyzyję o otwarciu klerycznego ogrodu tłumaczy ks. Rafał Marciak, przełożony w seminarium.



FACEBOOK

KOMUNIKACJA MIEJSKA.

Ks. Bartosz Rajewski, członek Klubu „Tygodnika Powszechnego” pracujący w parafii w Londynie, opisał na jednym z portali społecznościowych przygodę z londyńskiego metra. „Ja: – Zrobimy sobie fotkę? Ona: – Ze mną? Dlaczego? Ja: – Bo jesteś mużłmanką, a ja chrześcijaninem. Ludzie myślą, że się nie lubimy. Pokażmy im, że to bzdura. Ona: – OK!”.

MIEDZY PANEM A PLEBANEM.

„Przyjdź do kościoła – niedziela – zanim cię przyniosą” – baner z takim napisem pojawił się przy wjeździe do Sieroszewic w powiecie ostrowskim. Na zdjęciu, pod hasłem, widać lokalny kościół i osoby niosące trumnę. Autorem reklamy jest tutejszy proboszcz, ks. Damian Hołoś. „W ten sposób chcę przypomnieć ludziom, żeby do kościoła uczęszczali za życia, a nie wtedy, kiedy rodzina urządzi pogrzeb” – tłumaczy. Baner nie spodobał się jednak wójtowi gminy Sieroszewice, Czesławowi Berkowskiemu: „Nie na miejscu jest, żeby w taki sposób codziennie przypominać o naszej śmierci”.



U SIKOR MODRYCH I SIKOR BOGATEK (na zdjęciu) dzieci migrantów mają trudniej – taki wniosek płynie z badań przeprowadzonych przez Torego Slagsvolda i Karen Wiebe. Zaobserwowali oni, że ptaki, które zamieszkują inny teren niż ten, na którym się wykluły, dostarczają mniej pożywienia (lub gorszej jakości) swoim młodym w porównaniu z osobnikami, które nie migrują. Prawdopodobnie dlatego, że żerowanie jest trudniejsze na mniej znanym terenie. To jeden z kosztów migracji, która jest jednak popularna u wielu gatunków, ponieważ niesie wiele korzyści – np. prowadzi do zmniejszenia konkurencji o zasoby i pozwala unikać chowu wsobnego – krzyżowania się z bliskimi krewnymi.

© P ŁK

Zielonym do góry

GRAWITACJA, CZYLI SIŁA PRZYCIĄGANIA ZIEMSKIEGO, została opisana szczegółowo przez Newtona w XVII wieku. Większość z nas w dzieciństwie podejmowała z nią walkę, wspinając się na drzewa lub trzepaki, byliśmy jednak skazani na porażkę, kończąc tę rywalizację z siniakami i otarciami. U ludzi zmysł równowagi, pozwalający współpracować z grawitacją, mieści się w uchu wewnętrznym. A jak jest u tak różnych od nas organizmów jak rośliny? Skąd roślina np. wie, którędy jest do góry?

Jeżeli wygniemy łodygę pod dowolnym kątem, to roślina i tak zmodyfikuje swój wzrost i rosnąć będzie do góry. Do tej pory naukowcy nie rozumieli, jak rośliny orientują się w swoim położeniu. Wiele się wyjaśniło dzięki eksperymentom francuskich naukowców z Uniwersytetu Aix-Marseille i Uniwersytetu Clermont-Auvergne. Antoine Bérut i współpracownicy odkryli, że w komórkach roślin istnieją czujniki grawitacji podobne w swojej zasadzie działania do poziomic, jaką



FLPA / ROBERT CANIS

posługują się stolarze. Te czujniki to mikroskopijne ziarenka skrobi, zwane statolitami. Nie są to jednak drobinki opadające swobodnie w najniższym punkcie komórki – wtedy nie byłyby w stanie szybko reagować na zmiany. Statolity są w ciągłym ruchu, co pozwala im „wyczuć” najmniejszą nawet zmianę położenia rośliny. Ich właściwości fizykochemiczne bardziej przypominają płyn niż ciało stałe. Położenie statolitów steruje dystrybucją roślinnego hormonu wzrostu, który kieruje wzrost rośliny do góry.

© ANNA BARTOSIK



NASA

Kolizja dwóch galaktyk oddalonych od Ziemi o 62 mln lat świetlnych.

Szczeniące lata wszechświata

W ŚRODĘ 16 MAJA opisano obserwację galaktyki tak oddalonej od Ziemi, że jej obraz, który dziś do nas trafia, powstał zaledwie 500 mln lat po wielkim wybuchu (czyli wędrował do nas przez 13,3 mld lat). To nowy rekord. Okazuje się, że płonęły już wówczas całkiem normalne gwiazdy, a w gązie galaktycznym udało się wykryć tlen – wszechświat dość szybko przyjął więc taką postać, jaką ma dzisiaj. Obserwacje tak odległej epoki są wyjątkowo trudne. W tym tygodniu Chińczycy (we współpracy m.in. z Holendrami) mają wystrzelić satelitę Queqiao, której jednym z zadań jest wykrywanie, zza tzw. ciemnej strony Księżyca, sygnałów z najwcześniejszej epoki wszechświata, kiedy nie zdążyły jeszcze powstać pierwsze gwiazdy.

© ŁUKASZ LAMŻA

Szlaban na trans

GLOBALNEJ ELIMINACJI TŁUSZCZÓW TRANS z produkcji żywności chce do 2023 roku Światowa Organizacja Zdrowia ONZ (WHO). Ta forma tłuszczów, której głównym źródłem są tzw. częściowo utwardzane tłuszcze roślinne (choć obecne są też np. w maśle), przyczynia się według WHO do 500 tys. zgonów na choroby układu krążenia rocznie, a także do nowotworów oraz otyłości.

Przemysłowo utwardzane tłuszcze wykorzystuje się głównie w produkcji fast foodu i przemysłowych wypiekach, jako że mają dłuższy termin przydatności, stałą formę i są odporne na wysoką temperaturę (co pozwala np. smażyć wiele razy w tej samej fryturze). Są też tanie. WHO przekonuje jednak, że zastąpienie ich zdrowymi tłuszczami i olejami nie wpłynie na ceny żywności.

Własne ograniczenia na tłuszcze trans wprowadziły już m.in. Dania (2003 r.), Kanada (2005 r.), a nawet USA (2018 r.). W Polsce stosuje się je bez przeszkód.

© P MK

rzeczy

w Muzeum Warszawy



tysiące

rzeczy

rzeczy

warszawskie

charakter

rzeczy

Otwieramy drugą część
wystawy głównej Muzeum Warszawy

9 czerwca 2018 roku
Rynek Starego Miasta 28-42

Srebrny kubek na czterech nóżkach, 1949–1962



TEMAT
TYGODNIKA

NIC DO STRACENIA

Na protesty pod granicę między Gazą i Izraelem przyszły palestyńskie kobiety, dzieci, niepełnosprawni. Hamas mówił im, żeby się nie bali, bo wojsko nie strzela do takich. Strzelało.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z IZRAELA

PRZYSŁANIAM RĘKĄ SŁUCHAWKĘ – TAK, aby nie słyszała. Ani hebrajskich zapowiedzi lotów z głośników, ani śpiewów rozbawionej młodzieży. Stoję na lotnisku Ben Guriona w Tel Awiwie, oddalonym może o godzinę jazdy od Strefy Gazy. Słyszemy się tak, jakby stała obok. Ale Haneen Sabbah, 24-letnia mieszkanka Gazy, nigdy nie przekroczyła granicy z Izraelem. Gdyby mogła, zrobiłaby to od razu. – Tu nie da się dalej żyć – mówi.

Haneen nie ma pracy, jak większość jej rówieśników z Gazy. Mąż jest budowlańcem. Pieniądze z dniówki, które przynosi, starczą na jedzenie dla nich i dwójki małych dzieci na ten jeden dzień. – Żyjemy tak z dnia na dzień. Nie zastanawiamy się, co będzie jutro. Nie mamy stałego dostępu do wody, prądu, pracy, żadnych szans na godne życie – mówi Palestynka.

Ona próbuje się nie załamywać. Żyje w swoim świecie: pisze, śpiewa, tańczy (przy zamkniętych drzwiach, dla siebie). Marzy, by pojechać w miejsce, gdzie mogłaby zrobić coś szalonego jak na standardy Gazy: zatańczyć na ulicy, zaśpiewać na plaży. Tylko tyle i aż tyle.

Haneen zna angielski. W zeszłym tygodniu, podczas protestów przy granicy Gazy z Izraelem, dorabiała jako tłumaczka dla zagranicznych mediów. Pieniądze, jakie dostała za dwa dni pracy od szwedzkiej telewizji, pozwoliły jej kupić jedzenie na zaczynający się Ramadan. Na protesty, w czasie których jednego dnia, 14 maja, zginęło 65 Palestyńczyków, a 2771 zostało rannych, patrzy z boku: – Wielu znajomych bierze w nich udział. Rozumiem ich: my tu nie mamy nic do stracenia. Jesteśmy wykończeni. Wielu woli umrzeć, bo życie tu nie ma wartości.

W desperacji

Trudno jest żyć w miejscu, które uchodzi za jedno z najbardziej przeludnionych na świecie: w Gazie na 360 km² mieszka 2 mln ludzi. 65 proc. żyje poniżej granicy ubóstwa. 44 proc. nie ma pracy. Jeszcze wyższe jest bezrobocie wśród młodych: 63 proc.

Wielkim problemem jest dostęp do wody: 97 proc. wody jest tu zanieczyszczona, a woda w kranach pojawia się raz na pięć dni – i to głównie słona. Pitną można kupić na ulicy, za astronomiczną cenę. Brakuje systemów kanalizacyjnych, w niektórych miejscach ścieki wypły-

wają na ulice. Mieszkańcy odwykli też od prądu. Częściej go nie ma, niż jest.

Połowa ludzi żyje tu z pomocy międzynarodowych organizacji. Ona sprawia, że mieszkańcy nie cierpią jeszcze głodu. Ale trudno powiedzieć, aby ta pomoc przynosiła coś więcej niż chwilową ulgę. Zabezpieczając doraźne potrzeby przez tak długi czas i nie kreując miejsc pracy, pogłębia ona kryzys. Fatalne warunki i brak nadziei pchają ludzi ku desperacji.

Kto za to odpowiada? Izrael obwinia Hamas, który rządzi w Gazie, twierdząc, że pieniądze od międzynarodowych organizacji wykorzystuje on w celach terrorystycznych, a fatalna sytuacja jest mu na rękę, bo ułatwia antyizraelską propagandę. Hamas zaś twierdzi, że przyczyną niedoli jest blokada Gazy utrzymywana przez Izrael. Że Izrael zamknął ludzi z Gazy w klatce.

Podzielona Autonomia

W Gazie nie ma Izraelczyków: w 2005 r. Izrael wycofał żołnierzy i osadników, którzy byli tam od 1967 r. Sądono, że spełniając postulaty Palestyńczyków, uda się ożywić proces pokojowy. Ale konflikt tylko się spotęgował.

W 2006 r. Hamas wygrał w Gazie wybory. W ten sposób doszło do podziału Autonomii Palestyńskiej składająca się z Gazy i Zachodniego Brzegu Jordanu. Powstały dwa zantagonizowane obozy: radykalna i silnie zislamizowana Gaza opanowana przez Hamas – i Zachodni Brzeg, gdzie rządzi bardziej umiarkowana palestyńska partia Fatah. Świat za przedstawiciela Autonomii uznał rząd prezydenta Mahmuda Abbasa, z Fatahem w roli głównej.

Wkrótce Hamas zaczął ostrzelać pobliskich izraelskich miast i miasteczek. Dla wielu Izraelczyków to był dowód, że wycofanie się z Gazy było błędem. Izrael zaczął jej blokadę. Gaza – izolowana i zradykalizowana – pogrążyła się w kryzysie.

W ostatniej dekadzie Fatah i Hamas podejmowały próby ugody. Ale dotąd nie udało im się porozumieć. Abbas jest w podwójnym kłopotcie: z jednej strony impas w związku z brakiem porozumienia z Izraelem, z drugiej konflikt polityczny na własnym podwórku.

Choć Gaza jest w zapaści, poparcie społeczne dla Hamasu nie maleje. Mieszkańcy są zgodni, że za ich sytuację odpowiadają Izrael i Abbas. Dr Khalil Shikaki z Palestyńskiego Centrum Polityki i Badań Publicznych z Ramallah ocenia, że gdyby →

Na plaży w mieście Rafah, Strefa Gazy, 2016 r.

→ wybory odbyły się dziś i do walki o władzę stanęliby Abbas (ze swym Fatahem) oraz Ismail Hanija (były premier i jeden z liderów Hamasu) – wygrałby ten drugi. Pytanie tylko, czy Hamas sam byłby zainteresowany pełnią władzy – i pełnią odpowiedzialności.

Ludzie jako broń

Hamas nie ma skutecznych sposobów walki z Izraelem. Każda z prób spaliła na panewce.

Rakiety wystrzeliwane z Gazy nie przynoszą efektu, odkąd Izrael ma Żelazną Kopułę – system obrony antyrakietowej. Kopane pod granicą tunele do przerzucania ludzi przestały spełniać swą rolę, bo Izrael je niszczy. Granica lądowa jest zamknięta, a droga morska odcięta. Bezsilność pokazały też ostatnie protesty – użyto w nich kamieni, płonących opon czy latawców z materiałem zapalającym, które zdołały podpalić tylko pola przy otaczających Gazę kibucach.

Izraelska armia udowodniła jednak, że wśród protestujących były osoby używające granatów, butelek z benzyną, a nawet ładunków wybuchowych. Tłumaczyła, że miała podejrzenia, iż byli i tacy, którzy chcieli przedrzeć się do Izraela i dokonać ataków. To w ich stronę miała kierować się użyta przez wojsko siła. Ale to nie one stanowiły o dramatycznym wymiarze tej walki. Ofiarą Izraelczyków padły też kobiety, dzieci czy niepełnosprawni. Nie jest to rzecz nowa. W przeszłości Hamasowi zdarzało się wykorzystywać budynki szkół czy szpitali – ustawiano obok nich wyrzutnie rakiet.

„Wścieknij się!”

Można by więc powiedzieć, że wobec braku innych środków Hamas sięgnął po najbardziej dramatyczną broń: samych Palestyńczyków.

Wcześniej w Gazie rozlepiono plakaty z hasłem „Wścieknij się!” i datą Marszu

Powrotu (jak nazwano protesty): 14 maja. Dziennikarz amerykańskiego radia NPR Daniel Estrin przytacza rozmowę, jaką pod takim plakatem odbył z mieszkańcem Gazy. „Czy wyglądam na idiotę? Na ten marsz idą nasze dzieci, tracą potem ręce i nogi. Kto im później zapewni nowe? Organizatorzy? Oczywiście, to Hamas je tam wysyła. Gdybym powiedział mojemu dziecku, że może iść na granicę, byłbym jedynym winnym, gdyby coś mu się stało” – mówił dziennikarzowi Palestyńczyk.

Haneen Sabbah mówi mi w rozmowie telefonicznej: – To prawda, że Hamas pcha ludzi na protesty. Ale wielu naprawdę chce na nie chodzić. Chcą pokazać złość. Mają dość, że nie mogą wyjechać, nie mogą mieć normalnej pracy, normalnego życia. Czują się ukarani za winy Hamasu.

Po tym, jak 14 maja zginęło 65 Palestyńczyków, Hamas ogłosił propagandowe zwycięstwo. Zdjęcia zakrwawionych nastolatków wzbudziły w świecie empatię i sprowadziły na Izrael lawinę krytyki. Komisja praw człowieka ONZ zaczęła postępowanie sprawdzające, czy Izrael nie przekroczył prawa międzynarodowego, używając siły przeciw ludziom demonstrującym pokojowo, oraz czy działania armii kwalifikują się jako zbrodnie wojenne.

Spór o protesty

Izrael tłumaczy, że ma prawo bronić siebie i swoich mieszkańców. Armia zapewnia, że dołożyła wszelkich starań, by nie strzelać do cywilów. Publikuje dowody, że demonstracje były inicjowane przez np. film z nagraniem Palestyńczyka, któremu udało się przedrzeć przez granicę. Mężczyzna opowiada, że Hamas wysyłał esemesy i wiadomości na Facebooku z zachętą do udziału w protestach.

„Mówią o tym w meczetach, rozdają ulotki. Gdy czasem mamy prąd i telewizję, wszystko, co nadają, to: idźcie tam, protestujcie. Hamas mówi kobietom: idźcie pod granicę, armia nie będzie do was strzelała. Do dzieci: idźcie, nic wam nie będzie, armia nie strzela do dzieci. A potem idą, ścierają się z wojskiem i wychodzą na jaw, że Hamas kłamał” – mówił Palestyńczyk.

Izraelowi „pomogły” też słowa członka Hamasu, Salaha al-Bardawila, który w wywiadzie telewizyjnym powiedział, że pięćdziesięciu zabitych to członkowie tej organizacji. Odparł tak na pytanie, czy Hamas używa mieszkańców i naraża ich na śmierć do swoich politycznych celów.

„Izraelczycy patrzą na nas z góry, nie doceniają nas – mówił anonimowo protestujący w rozmowie z dziennikiem „Haaretz”, zapewniając, że nikt go do udziału w nich nie nakłaniał. – W waszych oczach dobry Arab to kolaborant albo Arab nieżywy. Dlatego ciężko wam zrozumieć, że nikt nie chodzi na te protesty w czyimś imieniu. Każdy protestuje za siebie”.

Deal, ale jaki?

Rozlew krwi sprawił, że 15 maja, który miał być kulminacją protestów, stał się dniem pogrzebów, a walki ustały (co roku 15 maja – dzień po rocznicy powstania Izraela – Palestyńczycy obchodzą dzień „Nakby”, czyli „Katastrofy”, jak nazywają wygnanie ich przodków z domów przez zwycięskich Izraelczyków). W kolejnych dniach liczba ich uczestników spadała.

Rozmawiam z Suhailą Tarazi, dyrektorką szpitala al-Ahli Arab w Gazie: – Sytuacja jest dramatyczna, brakuje nam wszystkiego: leków, sprzętu medycznego, lekarzy. Jednego dnia musieliśmy poradzić sobie z dwoma tysiącami osób z różnymi urazami. Że nie wspomnę o ranach psychicznych, emocjonalnych, bo z takiego szoku długo się nie wychodzi.

Gdy w Gazie opatrują rany, w Izraelu trwają rozliczenia. Lewica, która dołączyła do oskarżycielskich głosów ze świata, spuściła z tonu, gdy na jaw wyszły nagrania potwierdzające znaczny udział członków Hamasu w protestach. Ale Izrael i tak przegrał: świat orzekł, że Izraelczycy dokonali rzezi. Prezydent Turcji poruszył najcięższą strunę – stwierdził, iż nie ma różnicy między postępowaniem nazistów i tym, co Izrael robi w Gazie. Niewielką pociechą mogła być decyzja Gwatemali i Paragwaju, że – idąc śladem Donalda Trumpa – przeniosą ambasady z Tel Awiwu do Jerozolimy.

Co dalej? W czerwcu Trump chce ogłosić swój plan na pokój. Chętni się, że dokona tego, co nie udało się innym. Media spekulują, o jaki *deal* chodzi. Gazeta „Al-Hayat” donosi, że USA i jakieś kraje arabskie negocjują; podobno powstanie niezależny komitet, finansowany przez Europę i USA, odpowiedzialny za poprawę sytuacji w Gazie.

Tymczasem Gaza balansuje na skraju wytrzymałości. Palestyńczyk, z którym rozmawiał dziennik „Haaretz”, mówił: „Jeśli już mamy umierać, róbmy to głośno. Przed kamerami”.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET



KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz

w „Światopodglądzie” Radia TOK FM

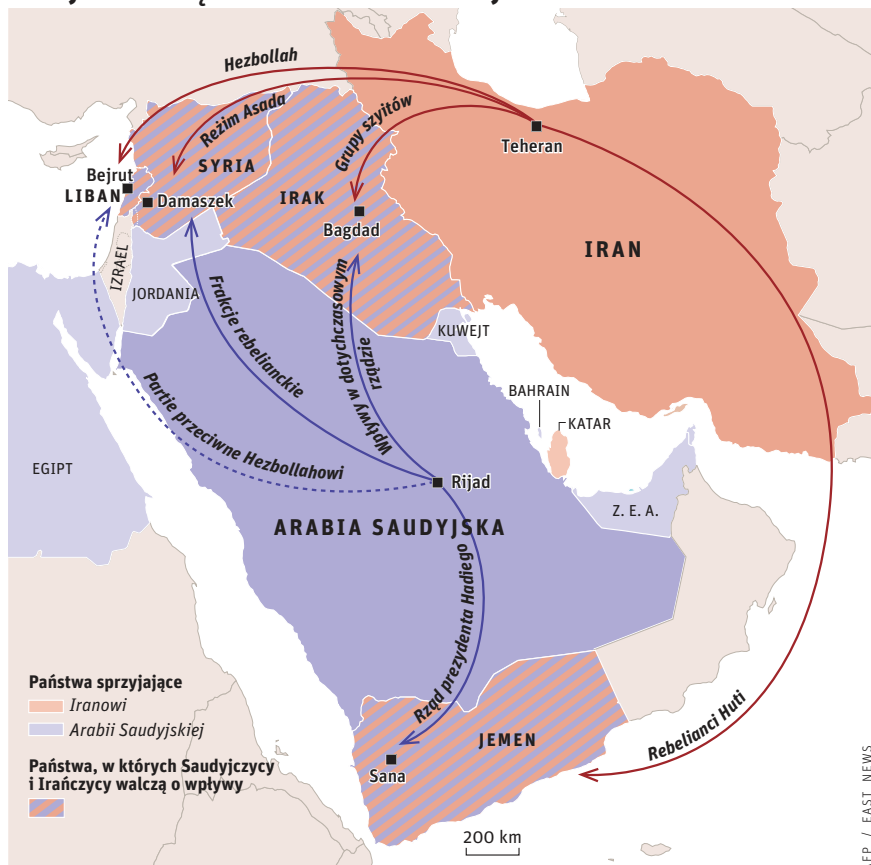
w czwartek 24 maja o godz. 16.00

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń

89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

WOJNY ZASTĘPCZE: ARABIA SAUDYJSKA KONTRA IRAN



AFP / EAST NEWS

łączy strach przed ekspansją Iranu. Dwustronna współpraca saudyjsko-izraelska zacieśniła się około 2006 r., wraz z rozwojem irańskiego programu nuklearnego. Saudyjczycy mieli być m.in. gotowi udostępnić swą przestrzeń powietrzną i lotniska w przypadku izraelskich nalotów na Iran. Dziś powodów do współpracy jest jeszcze więcej, bo Iran jest groźniejszy. Ogromne emocje, które sprawa palestyńska budzi w świecie arabskim i muzułmańskim, znacząco ograniczają pole działania Rijadowi.

Saudyjczycy aż tak bardzo boją się Iranu, że gotowi są sprzymierzyć się z Izraelem, uchodzącym wśród Arabów i muzułmanów za najgorszego wroga?

Rywalizacja Saudyjczyków z Irańczykami ma wymiar symboliczny i toczy się o przywództwo na Bliskim Wschodzie, a także o rząd dusz w całym świecie islamu. Są realne konflikty między nimi – w Jemenie, Syrii, Libanie, państwach Zatok Perskiej. Jednak przede wszystkim Iran jest na Bliskim Wschodzie tym państwem, które usiłuje konsekwentnie i od dziesięcioleci zburzyć tam porządek międzynarodowy, w którym dominującą rolę odgrywały Stany Zjednoczone.

Od dziesięcioleci, czyli od rewolucji muzułmańskiej, która w 1979 r. obaliła proamerykański reżim szacha i wyniosła do władzy ajatollahów.

Arabia Saudyjska – kraj mogący uchodzić za swoiste uosobienie konserwatyzmu – jest w regionie państwem najbardziej zainteresowanym tym, aby utrzymać istniejący porządek albo umocnić w nim jeszcze swoją pozycję. Jest żandarmem starożytności.

Iran ma za sobą potężne terytorium, liczną ludność i armię, a także tysiącletnią historię, cywilizację, doświadczenie regionalnego mocarstwa i wiele stoczonych wojen. Czy w wojnie z Iranem Arabia Saudyjska miałaby jakiegokolwiek szanse?

Saudyjska armia jest znacznie lepiej i nowocześniej uzbrojona. W konwencjonalnej wojnie Irańczycy nie mieliby z nią najmniejszych szans. Tyle że wojna to nie jest rycerski pojedynek i walczą ludzie, a nie same samoloty. W regionalnych rozgrywkach, które nie muszą być otwartą wojną, Saudowie nie mogą się

Nieporządek bliskowschodni

KRZYSZTOF STRACHOTA, ANALITYK:

Chaos zastąpił postkolonialny porządek, który od stu lat utrzymywał się na Bliskim Wschodzie. Przyczynił się do tego także Zachód, usiłując nieudolnie umocnić swoje panowanie nad tym regionem.

WOJCIECH JAGIELSKI: Niedawno saudyjski następca tronu książę Mohammed ibn Salman na spotkaniu z przedstawicielami żydowskich organizacji w Nowym Jorku powiedział, że zamiast żyć mrzonkami, Palestyńczycy powinni przyjąć oferowane im przez Izrael warunki pokoju. A jeśli nie – mówił książę – to niech się przymkną i nie narzekają, bo Arabia

Saudyjska i cały świat mają na głowie ważniejsze sprawy. Jakże to sprawy tak zajmują Saudyjczyków, że uznali sprawę palestyńską za irytującą stratę czasu?

KRZYSZTOF STRACHOTA: Izrael jest dziś dla Arabii Saudyjskiej najbardziej pożądanym partnerem politycznym, a kwestia palestyńska bodaj najpoważniejszą przeszkodą w jej zacieśnieniu. Oba państwa

→ równać z Irańczykami. Jest to również zderzenie dwóch kompletnie różnych doświadczeń. Saudowie są arcybogaci, syci, wygodni, bez osobistych motywacji i doświadczeń w walce. Pilotami saudyjskich samolotów często są Pakistańczycy. Tymczasem obecne elity irańskie to dawni rewolucjoniści, którzy wygrali i z szachem, i z innymi rewolucjonistami. Którzy oświadczyli wojny, okopów, zamachów, sankcji, izolacji. Wiedzą, co znaczy znosić przemoc – i co znaczy ją zadawać. Są arcytрудnym przeciwnikiem dla Saudów.

Iran rzeczywiście musi wzbudzać w Saudyjskich strach, skoro w każdym konflikcie zbrojnym i politycznym na Bliskim Wschodzie dopatrują się oni intryg ajatollahów...

W wojnie syryjskiej Iran wspierał rząd Baszara al-Asada, zaś Saudyjscy wspierali rebeliantów. W graniczącym z nią Jemenie Arabia Saudyjska stała się po stronie władz przeciwko partyzantom Huti, którym z kolei pomagają Irańczycy. W Libanie Arabia Saudyjska usiłuje ustanowić przyjazny sobie rząd, który ukróciłby samowolę Hezbollahu, utworzonego, finansowanego i zbrojonego przez Iran. Dalej: w Iraku – także wtedy, gdy rządził nim Saddam Husajn – Saudyjscy widzieli strefę buforową, powstrzymującą ekspansję irańskiej rewolucji. Z dużym niepokojem przyglądali się inwazji Amerykanów na Bagdad i ustanowionemu tam w jej efekcie rządowi szyitów...

Wszędzie tam mamy do czynienia ze starciem przeciwstawnych interesów Iranu i Arabii Saudyjskiej...

A do tego wszystkiego dochodzi lęk Saudyjskich przed szyitami zamieszkującymi samą Arabię Saudyjską i w ogóle Półwysep Arabski. Saudyjscy są przekonani, że irańscy ajatollahowie zagrzewają tamtejszych szyitów do powstania i chcą

ich wykorzystać jako „piątą kolumnę” do zdestabilizowania saudyjskiej monarchii oraz pozostałych szejkanatów z Półwyspu. Wydarzenia podczas Arabskiej Wiosny w Bahrajnie, gdzie stanowiący większość ludności szyici zbuntowali się przeciwko rządzącym sunnitom, były dla Saudyjskich potwierdzeniem ich najgorszych obaw.

Ilu szyitów żyje w Arabii Saudyjskiej?

Dokładnie nie wiadomo. Szacuje się, że stanowią około jednej piątej z 30-milionowej ludności kraju. Ale dominują w ropośnych, wschodnich prowincjach. Saudyjscy boją się, że gdyby Iranowi udało się ich podburzyć do buntu, mogłoby to zagrozić samemu istnieniu monarchii.

Saudyjscy przegrywają chyba każde starcie z Iranem. W Syrii Irańczycy ocalili władzę Asada. W Libanie Saudyjskim nie udało się próba zastąpienia premiera Saada Haririego kimś innym, kto rozprawiłby się z proirańskim Hezbollahem – wyrosłym na najpotężniejszą w regionie partyzancką armię. Gdy w sąsiednim Jemenie rebelię wywołali partyzanci Huti, wspierani przez Iran, Saudowie dokonali tam inwazji. Ale zamiast szybkiego zwycięstwa, wpłatali się w przewlekły konflikt. Saudom nie udało się nawet zmusić do postępowania Kataru, któremu zarzucali zbyt dużą bliskość z Iranem. Blokada Kataru trwa już rok, a tamtejszy emir ani myśli składać Saudyjskim pokutne hołdy...

Można odnieść wrażenie, że Saudowie boją się postawić wszystko na jedną kartę i zaryzykować otwartą wojnę. Póki co słusznie powątpiewają we własne umiejętności i siłę. Bronią się przed Irańczykami, próbują kontratać, ale przy pierwszych niepowodzeniach wycofują się na obronne pozycje. Dlatego tak pilnie

i konieczne wydaje się im posiadanie potężnych sojuszników – takich jak mający wielką i nowoczesną armię Pakistan, USA czy Izrael. Amerykanie i Izraelczycy bardzo chcieliby, żeby Arabia Saudyjska stała na czele frontu przeciwko Iranowi. Im samym z tysiąca powodów byłoby wyjątkowo niewygodnie wziąć tę rolę na siebie. Chętnie wyręczyliby się Saudyjskimi i gotowi byłiby udzielić im wszelkiego poparcia. Wydaje się, że Waszyngton i Tel Awiw są dziś nieco rozczarowane Saudyjskimi.

A Palestyńczycy? W ogóle się w tej rozgrywce nie liczą?

Oni są za słabi, żeby cokolwiek zmieścić, ale też za silni, żeby można było ich zignorować. I próbują grać: Hamas korzysta z irańskiego wsparcia w Gazie, ale w Syrii walczy przeciw Asadowi.

Czy wszystkie dzisiejsze wojny bliskowschodnie są zastępczymi wojnami, toczonymi przez Teheran i Rijad?

W każdym konflikcie na Bliskim Wschodzie – zarówno zbrojnym, jak i politycznym – dostrzegam zaangażowanie Iranu i Arabii Saudyjskiej. Ale konflikty te wyrastają z lokalnej specyfiki, w którą Teheran i Rijad angażują się wtórnie. Dobrym przykładem jest tu Irak i niedawne wybory, które wygrał tam Muktada as-Sadr, jeden z przywódców irackich szyitów. Gdy Amerykanie najechali Irak, Sadr stanął po stronie wroga Ameryce Iranu. Walczył z amerykańską okupacją, jego partyzanci strzelali do Amerykanów. Strzelali zresztą również do polskich żołnierzy w Karbali. Potem Sadr zaczął się układać z Amerykanami i albo z nimi walczył, albo współpracował – w zależności od tego, co przynosiło mu większą korzyść. Podobnie Sadr postępował z Iranem: na przemian był proirański albo antyirański, zależnie od sytuacji. Ostatnio stworzył w Iraku po-

Amerykańskie siły specjalne na linii frontu przy granicy Syrii z Irakiem, maj 2018 r.



teżny szyicki front, otwarcie nieprzyjazny Iranowi, za to odwołujący się do irackiego nacjonalizmu. Dopiero wtedy Saudyjczycy dostrzegli w nim potencjalnego sprzymierzeńca i zaczęli popierać go przed wyborami. Zrozumieli, że szyici nie muszą być irańską „piątą kolumną”, a nawet mogą odnosić się do Teheranu nieprzyjaźnie.

I że także sunniti, w zależności od sytuacji, mogą zawierać z Iranem przymierza...

...jak chociażby wspomniany już Hamas. Konflikty na Bliskim Wschodzie wybuchają wskutek upadku i rozpadu dotychczasowych struktur państwowych albo całych państw i porządku międzynarodowego, który utrzymywał je przy życiu. Pojawiają się nowi aktorzy, nowe grupy interesów, które ze sobą rywalizują, a niekiedy walczą. Dopiero wtedy do akcji wkraczają poważniejsi rozgrywający, aby wykorzystać konflikt lokalny we własnym regionalnym sporze. Ale także oni muszą często podporządkowywać się regułom lokalnych rozgrywek.

Kiedy upadł ten porządek, który utrzymywał Bliski Wschód w jego dotychczasowym kształcie?

Zaczął się od końca zimnej wojny między komunistycznym Wschodem a kapitalistycznym i demokratycznym Zachodem. Zimna wojna utrzymywała świat nie tylko w trwodze przed globalną wojną i nuklearną zagładą, ale także w równowadze, utrwalonej przez tę wschodnio-zachodnią rywalizację. Po zimnej wojnie nastąpił okres dominacji amerykańskiej, której na Bliskim Wschodzie przeciwstawił się tylko Iran. Niegroźny jednak, nękanym sankcjami i ostracyzmem. Przełomowym momentem była amerykańska inwazja na Irak.

Ta pierwsza, z 1991 roku? Czy druga, z roku 2003?

KRZYSZTOF STRACHOTA:

Na Zachodzie nie zdajemy sobie sprawy ze zmian demograficznych. Prawie połowa mieszkańców Bliskiego Wschodu to ludzie poniżej 25. roku życia. Wojny wywołały wędrówki ludów. Starego świata już nie ma.

Ta druga. Pierwszą można by nawet uznać za wojnę w obronie starego porządku: Amerykanie najechali wtedy na Irak, broniąc Kuwejtu przed Saddamem Husajnem, który chciał go zagarnąć, unieważniając państwowe granice. Natomiast celem drugiej inwazji była gruntowna przemiana Iraku i całego Bliskiego Wschodu. To w jej wyniku upadł postkolonialny porządek, utrzymujący się w tym regionie od stu lat, tj. od schyłku imperium osmańskiego.

Ale przecież Amerykanie nie chcieli unieważniać bliskowschodnich państw ani granic, lecz tylko odmienić Irak tak, aby stał się wzorem do naśladowania dla całego świata islamu. Porządki zaprowadzone w Iraku i rozprzestrzenione przez samych Arabów, Persów, Kurdów, Turków i Beludżów na cały region miały zaprowadzić w nim demokratyczne i prozachodnie porządki, i umocnić też panowanie Zachodu.

Oczywiście wszystko to, co nowe, miało być pod zachodnią kontrolą. Ale zaryzykuję tezę, że być może był to najambitniejszy plan wobec Bliskiego Wschodu, jaki kiedykolwiek skonstruowano dla

tego regionu od czasu proroka Mahometa. W Iraku chodziło nie tylko o usunięcie przywódcy Saddama Husajna i elity władzy oraz o wykluczenie jej na zawsze z dalszych rządów, lecz o próbę całkowitej zmiany struktury społecznej, kultury politycznej, wzorców ekonomicznych. Dodatkowo dano impuls dla państwowotwórczych ambicji Kurdów w Iraku czy podsycano separatyzm azerski oraz beludżyjski w samym Iranie.

Plan szalony w swojej odwadze. Albo w naiwności. Przecież demokracja w Iraku oznaczała, że w Bagdadzie dojdą do władzy szyici, stanowiący większość ludności kraju. Szyici, którzy w ogromnej większości trzymali stronę Iranu, a których tak bardzo obawiał się amerykański sojusznik – Arabia Saudyjska.

Ale właśnie o to chodziło! Nowy Irak miał być wzorcowym państwem przede wszystkim dla Iranu. Szyicka i świecka demokracja miała pokazać, że może być alternatywą dla teokracji ajatollahów. Nadżaf, metropolia irackich szyitów, miał być konkurencją dla Teheranu. Amerykanie ściągnęli tu nawet wnuka Chomejniego – Husajna, szyickiego duchownego, który oskarżał ajatollahów z Teheranu o zdradę rewolucji i przekonywał, że nawet amerykańska inwazja będzie dobra, jeśli uwolni Iran od tyranii.

Rządy ajatollahów krytykował też inny wnuk imama Chomejniego, Hasan. Choć nie zapędził się aż tak daleko, by wzywać na pomoc Amerykanów.

Kiedy Amerykanie obalili w Iraku Saddama Husajna, był czas, gdy zapowiadało się na to, że w Nadżafie uda się – językiem szyitów i ustami młodego Chomejniego – sformułować program kwestionujący teokratyczny ustrój Iranu, a szyizm z tronu powróci do meczetów.

→



→ Ale zakończyło się katastrofą.

Amerykanie nie docenili złożoności sytuacji w Iraku. Ich działania w Bagdadzie mogą posłużyć za przykład fanatycznej zachodniej wiary w inżynierię społeczną. Wydawało się im, że mają w rękach model, według którego świat powinien działać, że wystarczy go przeszczepić na iracki grunt i przypilnować, by nikt go nie zniszczył. Neokonserwatyści, którzy mieli wówczas wielki wpływ na politykę prezydenta George'a W. Busha, byli nawróconymi marksistami, wciąż jednak przekonani, że baza poprzędza nadbudowę, a byt w końcu ukształtuje świadomość. I iracką, i afgańską. Chcieli stworzyć całemu światu nowy wspaniały świat wzorowany na Ameryce. Byli przekonani, że będzie on służył nie tylko im samym, lecz wszystkim, których uszczęśliwią. Ten radosny amerykański idealizm ma swoje dobre, ale i złe strony. W Iraku przerodził się w lekceważący stosunek do zastanej rzeczywistości, do starych struktur społecznych i politycznych, do symboli i emocji. Przerodził się w zadufanie.

Ktoś powiedział mi kiedyś, że pycha jest nie tylko jednym z grzechów głównych, ale znamionuje też to, iż nawet jeśli przejawiające ją imperium jest u szczytu potęgi, to za chwilę zacznie się jego zmierzch. Inwazja na Irak była szczytem potęgi zarówno USA, jak też liberalnych porządków na świecie.

Amerykańska inwazja na Irak wygenerowała potężne problemy. Ale całkowite wycofanie się Amerykanów z Bliskiego Wschodu w 2010 r. przypominało gaszenie pożaru przy pomocy kanistra z benzyną. Opuściwszy region, Stany – jedyne światowe imperium – pozostawiły po sobie próżnię, która musiała się zapełnić. W Iraku w mgnieniu oka pojawiło się Państwo Islamskie, broniące tamtejszych sunnitów przed prześladowaniami szyitów, którzy – zdobywszy władzę dzięki Amerykanom – po ich wycofaniu natychmiast zaczęli jej nadużywać. Trudno wiązać wycofanie Amerykanów z Bliskiego Wschodu z Arabską Wiosną, która zaraz nastąpiła, ale wszystko to miało miejsce w 2010 i na początku 2011 roku. Jestem skłonny przypuszczać, że dla arabskiej ulicy wycofanie Amerykanów z Bliskiego Wschodu mogło również oznaczać, że przyszła pora, aby rozprawić się z ustanowionymi i wspieranymi przez Zachód tyraniami, że wreszcie można to zrobić.



MICHAŁ NIWICZ

KRZYSZTOF STRACHOTA jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie, gdzie kieruje działem Kaukazu, Azji Centralnej i Turcji. Często podróżuje po krajach Bliskiego Wschodu. Stale współpracuje z „Tygodnikiem”, publikując wiele korespondencji z tego regionu.

Arabska Wiosna do reszty uśmierciła dotychczasowe porządki w regionie?

Ujawniła głęboką zapaść, w której znalazły się arabskie państwa. Kiedy nadeszła, Bliskim Wschodem rządili starcy, dawni „młodzi oficerowie”, którzy przed laty poobalali królów, prezydentów i premierów ustanowionych przez kolonialne metropolie. Potem ci „młodzi oficerowie” sami się zestarzelili, ich reżimy skostniały. Arabska Wiosna ujawniła, że kierowane przez nich państwa nie spełniają podstawowych obowiązków. Nie zapewniają bezpieczeństwa, nauki, pracy ani widoków na przyszłość. Okazało się, że starcy u władzy mieli przeciwko sobie poddanych, którzy w ogromnej większości byli młodzi i pełni apetytu na życie. Na ich skargi, a potem na bunt starzy przywódcy umieli odpowiedzieć tylko przemocą. Zdobyli się tylko na obronę starego.

Doszło do kryzysu tożsamości?

Stare się przeżyło, a Zachód, który młodym i liberalnie myślącym Arabom wydawał się oczywistym wzorem do naśladowania, znalazł się akurat w głębokim kryzysie. Islam też nie okazał się żadną podpowiedzią, bo w wydaniu dżihadystów z Al-Kaidy czy Państwa Islamskiego przyniósł tylko zniszczenie i cierpienie

– nic trwałego nie zbudował. Ten w łagodniejszym wydaniu, w postaci takich ugrupowań jak Bracia Muzułmanie, które po Arabskiej Wiośnie wygrywały wolne wybory, nie znalazł wsparcia zarówno ze strony nieufnego wobec niego Zachodu, jak i samych Arabów. Egipcjanie pod rządami Mohammeda Mursiego sami zwrócili się przeciw niemu, uważając, że próbuje odebrać im wywalczone w rewolucji swobody. Poparli wojskowych, którzy go obalili i przejęli władzę, przywracając stan rzeczy sprzed rewolucji.

A Zachód?

Jednocześnie na Bliskim Wschodzie znów zauważono, że Zachód nie staje w obronie przywódców wybranych w demokratycznie, lecz broni tylko tych, którzy stoją na straży jego interesów. Na Zachodzie nie zdajemy sobie sprawy ze zmian demograficznych, jakie zaszły ostatnio na Bliskim Wschodzie. Ze statystyk wynika, że prawie połowa ludności Bliskiego Wschodu to ludzie poniżej 25. roku życia. I że prawie połowa mieszkańców 40-milionowego Iraku i 20-milionowej Syrii, najważniejszych krajów regionu, nie mieszka dziś w domach, które przywykli uważać za rodzinne. Pięć milionów Syryjczyków, jedna czwarta ludności kraju, wyjechała z powodu wojny na zawsze za granicę. Te wymuszone przez wojny wędrówki ludów zmieniły sytuację demograficzną w regionie. A także wyznaniową, bo wyjeżdżali głównie chrześcijanie i sunnici. Starego świata już nie ma.

Czy dziś, po rozczarowaniu właściwie wszystkim, mieszkańcy Bliskiego Wschodu mają jakiś ulubiony drogowskaz na przyszłość?

Niestety odnoszę wrażenie, że wciąż mamy do czynienia z chaosem, z którego nie sposób przewidzieć, co wyniknie. Zaryzykowałbym jednak tezę, że islam przestaje być panaceum na problemy: samozwańczy kalifat w Iraku i Syrii zakończył się katastrofą, Iran się gwałtownie laicyzuje i – podobnie jak Turcja Erdoğan – znów posilkuje się nacjonalizmem. Już nie „Państwo Boże”, lecz zwykłe państwo – albo Imperium, takie pisane dużą literą – wyznacza granice marzeń. Ale do tego długa droga.

©® Rozmawiał WOJCIECH JAGIELSKI

Na stronie 48 czytaj także korespondencję Pawła Pieniążka z frontu w Syrii



S-NET

GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ Z SIECI ILE SIĘ DA

Kupuj Internet on line*

- **NATYCHMIASTOWA** weryfikacja zasięgu
- **spersonalizowana OFERTA**
- **sprawny proces zamawiania**
- **SZYBKA INSTALACJA**

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator

Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl

PAWEŁ

Śpiewak: *Prorocy Baala*



KRÓL IZRAELA ACHAB POWIEDZIAŁ ELIASZOWI, że czyni aż nadto zamieszania i kłopotów w Izraelu. Prorok odrzekł, że to nie on czyni zamieszanie, ale władca, sprowadzając na ziemi Pańskie kapłanów Baalowych. Król godził wprost w prawdę i w religię Jakubową. Postanowił Eliasz publicznie dowieść, jaka jest faktyczna wartość kultu Baala. Wezwał na górę Karmel jego proroków. Było ich czterystu pięćdziesięciu. Ponadto zeszli się prorocy JHWH. Wtedy Eliasz rzekł: „Jeśli okaże się, że nasz Bóg jest prawdziwym Bogiem, idźcie za nim, jeśli Baal, idźcie za nim. Zróbmy test ognia”. Porąbali drwa, poćwiartowali wołu i Eliasz rzekł: „Bogiem prawdziwym okaże się ten, który z wysokości spuści ogień na ofiarę z cielców”. Prorocy Baala długo krzyczeli, żeby obudzić swego boga. Dziubali nożami mięso zwierzęcia, aż polali się jego krwią. Ale po dwóch dniach nic się nie stało. Wtedy Eliasz odbudował dawny ołtarz JHWH. Zalał wodą drwa i cielca tak, że fosa otoczyła miejsce całopalenia. Wzniósł oczy do nieba i zawołał: „Panie Boże, Boże Abrahama i Izaaka, i Izraela, dzisiaj niech poznają, żeś Ty jest Bogiem, byś nawrócił serca potomków Jakuba”. Spadł ogień Pański i pożarł ofiarę, drwa, a wodę wysuszył. Wszystko było jasne. Prawda była po stronie Elohim. Nakazał więc Eliasz pojmać wszystkich kapłanów Baala, zaprowadzić do potoku i tam ich pomordował mieczem (1 Krl 18).

O czym jest ta opowieść pełna okrucieństwa? Powiadają, że o sile modlitwy. Eliasz miał moc poruszania Boga. Ten posłusznie raz spuszczał ogień, kiedy indziej deszcz albo suszę. Śmiertelnik uzyskał olbrzymią siłę ducha. Wstępował na wyżyny dostępne tylko cherubinom i Najwyższemu. Dla niego liczył się tylko JHWH i całym sobą Jego prawdę dowodził innym ludziom.

Kult Baala (jak też Astarte) wywodził się z Fenicji. Niewinne ofiary i modlitwy znane starożytnym Hebrajczykom zastąpiły okrutne i lubieżne formy religijności. Wiara w Baala zakorzeniła się w Izraelu na długo. Bóstwo otaczało wielu kapłanów, a ono samo występowało w postaci byka, odpowiednika siły i bezwzględności. Był bogiem posiadającym moc stwarzania i pobudzania do życia. Najważniejszy jego atrybut wiązał się z ogniem. Nosił koronę złożoną z promieni słonecznych. Słońce, którym kierował, sprowadzało rzekomo na ziemię suszę, głód i wiatry. Uchodził za bóstwo kapryśne i okrutne. W Biblii czytamy, że Żydzi ofiarowywali mu w ofercie ognia swoje dzieci, to, co było dla nich najcenniejsze, próbując wyciszyć gniew boski. Musieli przy tym zachowywać spokój, niemal obojętność. Baalowi towarzyszyła zwykle Astarte, bogini gwiazd. Uchodziła za boską strażniczkę Sydonu, a z Sydonu wywodziła się żona Achaba, kobieta wstrętna i nienawistna.

Eliasz widział w kultach fenickich największe zagrożenie dla trwania ludu Izraela. Walka z nimi wymagała stanowczości. To nie był czas na kompromisy. Prorok był ostatnim na ziemiach północnego Izraela, który bronił i głosił kult Najwyższego, co czynił z największą gwałtownością i stanowczością. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Na wzór Trójjedynego*



PAMIĘTAMY Z KATECHEZY, ILE TRUDNOŚCI naszym rodzicom i katechetom sprawiało objaśnienie nam, co to znaczy, że Bóg jest jeden, ale w trzech osobach. Ta trudność zasługuje jednak na poważne potraktowanie. Nie jest wcale czymś banalnym i do życia niekoniecznym. Przeciwnie, stanowi scenariusz, według którego toczy się życie Boga i nasze. Nie może być inaczej, jeśli prawdą jest, że Bóg stworzył nas na swój obraz i podobieństwo. Paweł w Liście do Rzymian napisał: „Ci, których prowadzi Duch Boży, są synami Bożymi. (...) W Nim wołamy: Abba, Ojcze! Właśnie ten Duch zaświadcza naszemu duchowi, że jesteśmy dziećmi Boga”. Z tego wynika, mówi Paweł, że jesteśmy też „dziedzicami Boga i współdziedzicami Chrystusa”, i jeśli poświęcimy się ludziom tak jak On, to również doznamy Jego chwały. Czyli tak jak Chrystus przeżyjemy śmierć i odnajdziemy się na nowej, zmartwychwstałej ziemi, o której autor Apokalipsy mówi: „Oto mieszkanie Boga z ludźmi. On zamieszka z nimi i będą Jego ludem, a On będzie Bogiem z nimi”. To budowanie nowej ziemi i nowego nieba, już trwa – tych dwu rzeczywistości rozdzielić się nie da – a prowadzi je Duch, „który od Ojca i Syna pochodzi”. Ten Duch przekonuje, że w Kościele nie może być „równych i równiejszych”. Każda msza o tym przypomina, skoro na pozdrowienie samego papieża „Pan z wami” odpowiadamy „I z duchem twoim”, czyli „I z tobą również”.

W artykule „(Prawie) darmowa praca siostr zakonnych” zamieszczonym w „L'Osservatore Romano”, autorstwa siostry Marie-Lucile Kubacki, czytamy: „Duchowny myśli, że siostra będzie mu serwowała posiłek, a kiedy to zrobi, potem sama będzie jadła w kuchni? Czy to normalne, żeby osoba konsekrowana była w ten sposób obsługiwana przez inną osobę konsekrowaną? I ze świadomością, że osobami konsekrowanymi przeznaczonymi do prac domowych są prawie zawsze kobiety, siostry zakonne? Czy nasza konsekracja nie jest taka sama jak ich?”. Pewien rzymski dziennikarz wręcz nazwał zakonnice „siostrami od pizzy”. Dalej s. Marie pisze, że pewien rektor uniwersytetu chciał, aby jedna zdolna zakonnica „kontynuowała studia, ale sprzeciwiła się temu przełożona”, dlatego, „że siostry nie powinny stawiać się zarozumiałe”. A papież Franciszek przypomina: „Dziedzictwo Jezusa jest takie: »Miłujcie się tak, jak Ja miłowałem« i »służcie sobie nawzajem«. Umywajcie nogi jedni drugim, tak jak Ja wam umyłem nogi”. To dlatego Franciszek mieszka nie w pałacu, ale hotelu, „na stacji”, a posiłki jada w „stołówce zakładowej”. Czy trzeba zaraz nazywać taki sposób życia fanaberią lub skażeniem populizmem? Tu też chodzi o życie na wzór Trójcy Świętej. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Widzieć inaczej

Panie, Ty jesteś moim
Umiłowanym, moją
tęsknotą, moim
tryskającym źródłem,
moim słońcem,
a ja jestem Twoim
zwierciadłem.

MECHTYLDA Z MAGDEBURGA



Bo jeśli Eros to bóg
lub jakiś boski
pierwiastek, a on tym
jest naprawdę,
to nie może być
niczym złym.

SOKRATES



LITURGIA PRZYPOMNIAŁA nam niedawno Jezusowe słowa wypowiedziane do apostołów na Ostatniej Wieczerzy: „Jeszcze chwila, a nie będziecie Mnie widzieć, i znowu chwila, a ujrzycie Mnie” (J 16, 16). Pan odchodzi. Za chwilę zniknie im z oczu za granicą śmierci. Ale trzeciego dnia (to dla Niego oznacza „za chwilę”) zmartwychwstanie. I znów Go zobaczą: „i znowu chwila, a ujrzycie Mnie”.

Nie jest to jednak – jak mi się wydaje – zapowiedź jedynie ponownego widzenia; to również obietnica nowego, innego widzenia. Czy nie dlatego św. Jan (w chrześcijańskiej tradycji nazywany „Teologiem”) używa w omawianym zdaniu Jezusa dwóch różnych słów na określenie „widzenia”? Św. Hieronim w Wulgacie nie wyczuwa tego „drobiazgu”, używając w tłumaczeniu jednego słowa: *videre*.

Ale w tekście Jana pierwsze „widzieć” oddane jest greckim *theoreo* – oglądać, zauważyć, patrzeć; zaś drugie: *optanomai* – wpatrywać się, widzieć. Drugie „widzenie” odróżnia się od pierwszego. Nie jestem filologiem klasycznym, ale wiem, że słów na określenie „widzenia” jest w języku greckim jeszcze więcej. Myślę jednak, że w tym fragmencie nie mamy do czynienia z przypadkowością. Widzenie wielkanocne/paschalne jest naprawdę inne niż to wcześniejsze. Czy nie wynika to także z narracji ewangelicznej, opisującej spotkania apostołów ze zmartwychwstałym Panem?

Widzą Go, ale z reguły najpierw nie rozpoznają. Muszą się w Niego „wpatrzeć” innym wzrokiem – wzrokiem paschalnej wiary – to dopiero ona pozwala im Go prawdziwie widzieć. Zobaczyć coś/Kogoś innego. Św. Grze-

gorz Wielki akcentuje to, komentując wyznanie Tomasza: „Pan mój i Bóg mój”. Grzegorz zauważa, że Kogo innego widział, a Kogo innego wyznał. Wyznał to, czego zwykłymi oczami (a nawet dotykem) nie da się uchwycić; można to jednak zobaczyć oczyma wiary.

Czytałem tę Ewangelię w rocznicę bitwy o Monte Cassino. I wspominałem swój pierwszy pobyt na tamtejszym cmentarzu polskich żołnierzy. Oglądałem i odczytywałem niemal każdy z ponad 920 nagrobków, i narastał we mnie płacz: pewnie połowa tamtych poległych pochodziła z naszej dzisiejszej wschodniej granicy. Z terenów, które już wtedy – po konferencji w Teheranie – zostały „oddane” przez aliantów Stalinowi. Oni umierali za Polskę, której już nie było. Podjęte sześć miesięcy wcześniej decyzje polityków odebrały im ich Ojczyznę. Niedługo później generał Anders – dowiedziawszy się o postanowieniach Wielkiej Trójki – zdecydował się wycofać polski Korpus z linii frontu. Czuł, że stracił moralny tytuł po temu, aby posyłać swoich żołnierzy do walki...

Trudno jest, wiedząc o tym, nie zapłakać z przerażeniem na mogiłach Monte Cassino. Trudno nie zapytać o ich sens. I trudno wtedy nie podziękować Bogu za inne widzenie, jakie otrzymujemy dzięki Jezusowej Passze. Zmartwychwstanie Jezusa wszystko zmienia. Radikalnie zmienia optykę. Otwiera inną perspektywę – życie wieczne.

Oto w Bogu jest przestrzeń, gdzie żadne dobro się nie marnuje. Każde jest sensowne. Każde prawdziwe dobro trwa. Żadna ludzka ofiara nie jest zmarnowana. Każda przynosi owoce.

Ci, którzy spotkali Zmartwychwstałego – widzą inaczej. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (27 V – 3 VI)

Niedziela, Najświętszej Trójcy: Pwt 4, 32-34. 39-40;

Ps 33; Rz 8, 14-17; Mt 28, 16-20;

Poniedziałek: 1 P 1, 3-9; Ps 111;

Mk 10, 17-27;

Wtorek: 1 P 1, 10-16; Ps 98; Mk 10, 28-31;

Środa: 1 P 1, 18-25; Ps 147; Mk 10, 32-45;

Czwartek, Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa:

Wj 24, 3-8; Ps 116 B; Hbr 9, 11-15; Mk 14, 12-16. 22-26;

Piątek: 1 P 4, 7-13; Ps 96; Mk 11, 11-25;

Sobota: Jud 17, 20b-25; Ps 63; Mk 11, 27-33;

9. niedziela zwykła: Pwt 5, 12-15; Ps 81; 2 Kor 4, 6-11;

Mk 2, 23 – 3, 6.

Wybrał PIOTR SIKORA

NOWOCZESNY ROZWÓD PETRU

Ta partia miała pokazać nowy styl. Stało się odwrotnie:
padła ofiarą rozgrywek, które od lat toczą
polską politykę.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

TO JUŻ PEWNE – RYSZARD PETRU ZAŁOŻY nową partię. Co prawda sam jeszcze nie wie, z kim i jaką, ale wie, że potrzebuje partii. Własnej, takiej, której już nikt nigdy mu nie zabierze.

Nie, nie ma już szans na taki sukces jak z Nowoczesną, bo sam już nie może uchodzić za polityczną nowalijkę. Wciąż wygląda jak milion dolarów, ale przez ponad dwa lata zrobił wiele, żeby stracić niemal cały polityczny powab.

Po prawdzie nie bardzo wiadomo, czego chce Petru. Jego ludzie czasem widzą się w egzotycznych sojuszach z Robertem Biedroniem i nową lewicą, innym razem stawiają na przyszłą koalicję z Platformą. Wiadomo za to, do czego Petru nowa partia – żeby wzmocnić swą pozycję negocyjną po stronie opozycji. Bo w sprawie „Petru kontra Nowoczesna” tak naprawdę chodzi głównie o ego.

Ładniejsza wersja Platformy

Nowoczesna miała być nową wartością na scenie politycznej. Nowszą, ładniejszą wersją Platformy, która po dwóch kadencjach rządzenia w 2015 r. straciła władzę w wyniku własnych błędów i skandali. Ryszard Petru zręcznie tę zadyszkę Platformy wykorzystał – stworzył Nowoczesną zaledwie kilka miesięcy przed wyborami i wszedł do Sejmu, zdobywając niemal 8 proc. poparcia. Zagłosowali na

niego głównie rozczarowani wyborcy Platformy.

Dla elektoratu antypisowskiego szczupły, młodo wyglądający i dobrze ubrany Petru pasował na mitycznego nowoczesnego lidera, który ma szansę podjąć walkę z anachronicznym i staroświeckim Kaczyńskim. Platforma była *passé*, przybita po porażce, przytłoczona aferami, osierocona przez Donalda Tuska.

Dlatego też w momencie przejmowania władzy w Platformie na początku 2016 r. Grzegorz Schetyna znalazł się pod ogromną presją. Antypisowskie kręgi intelektualistów oraz wrogie nowej władzy media popychały go w ramiona Petru oraz świeżo powstałego Komitetu Obrony Demokracji, kierowanego przez politycznego hippisa Mateusza Kijowskiego.

Szyld Platformy wydawał im się skompromitowany, a jej sztandar stanowił kłopot, bo blokował przegrupowanie po stronie opozycji. Przegrupowanie, w którym to Petru miał być nową polityczną twarzą, Kijowski zaś trybunem ludowym. A że Petru jednocześnie bardzo mocno wspierał KOD – i robił to, w odróżnieniu od Schetyny, szczerze – tym bardziej taka zmiana wydawała się logiczna dla domorosłych ideologów antypisu.

Schetyna, nie tak gładki jak Petru i niewywołujący takich emocji jak Kijowski, nie chciał o tym słyszeć. Nie po to latami





– zwalczany przez klakierów Tuska, marginalizowany i poniżany – marzył o szefostwie Platformy, by teraz potulnie dokonać samospalenia.

Miesiącami potajemnie, choć brutalnie, walczył z Nowoczesną i KOD, jednocześnie oficjalnie występując z nimi na antypisowskich sabatach. Czasem tylko go ponosiło, gdy naciski na oddanie insygniów szefa opozycji były zbyt intensywne. Wtedy wyrywało mu się publicznie zdanie w stylu: „Nowoczesna to partia telewizyjna, istnieje tylko w mediach”. Petru nie pozostawał mu dłużny: „Nie traktuję Schetyny poważnie”.

Bez pieniędzy, bez powagi

Euforyczne sondaże i zadyszka Platformy przysłały brutalną prawdę. Nowoczesna od pierwszego dnia po wyborach praktycznie nie miała szans na prymat po stronie opozycji. Powód był trywialnie bolesny – partia była bankrutem. Przez szkolne błędy w rozliczeniach kampanii Nowoczesna nie dostała dofinansowania z budżetu państwa – lekko licząc, 6 mln zł rocznie. Błędy popełnił ówczesny skarbnik Michał Pihowicz, mąż Kamili Gasiuk-Pihowicz.

To był pierwszy cios, który praktycznie uniemożliwił Nowoczesnej konkurencję z Platformą, której roczny budżet przekracza 16 mln zł.

Bez pieniędzy partia nie miała szans, by zbudować struktury w terenie, a co za tym idzie: zakorzenić się na scenie politycznej i powalczyć w kolejnych wyborach z dobrze osadzoną w terenie Platformą. Petru zbierał pieniądze poprzez swe kontakty, ale nie miał szans ściągać tyle, ile stracił przez błędy Pihowicza. Mąż posłanki został dyplomatycznie poproszony o rezygnację, ale żadne inne skutki finansowego wykończenia Nowoczesnej go nie spotkały. Petru nigdy nie mścił się na jego żonie, która stała się nawet twarzą protestów przeciw zmianom w sądownictwie lansowanym przez PiS.

Finansowe kłopoty Nowoczesnej dało się tuszować do końca 2016 r. PiS narzucił takie tempo polityki, że wszystko inne zeszło na dalszy plan. Jeszcze jesienią 2016 r. poparcie dla Nowoczesnej znacząco przekraczało 20 proc., co dawało Petru nieformalny tytuł lidera opozycji.

I wtedy doszło do tąpnięcia – w Sejmie wybuchł protest opozycji, który przekształcił się w kilkutygodniową okupację sali plenarnej. Petru stał się w naturalny sposób jedną z twarzy protestu. Publicznie wieszcząc koniec demokracji, wybrał się jednak w tym czasie na sylwestra do Portugalii z posłanką Joanną Schmidt.

Okazało się, że do pustek w kasie dołączył nowy kłopot – przerażający brak politycznego wyczucia u lidera. Już wcześniej Petru przysparzał partii problemów swoimi słynnymi wpadkami: nieprzemyślanymi wypowiedziami, myleniem faktów, nieznajomością realiów.

Ale nawet na tym tle Portugalia to było wydarzenie przełomowe. Nie dość, że Petru nie powinien balować, gdy demokracja dogorywa, to jeszcze nie powinien tego

*Ryszard Petru z Katarzyną Lubnauer
po posiedzeniu Rady Krajowej Nowoczesnej,
Warszawa, 16 grudnia 2017 r.*

→ robić z nową partnerką, posłanką własnego ugrupowania. Petru już na tym wyjeździe zrozumiał swój błąd. Obserwując z portugalskiej oddali, co się święci, obawiał się, że po powrocie do kraju nie będzie miał czego zbierać. Z posłanką-partnerką zastanawiał się, co robić i jak nie wpaść w objęcia wścibskich mediów oraz pasjonatów portali społecznościowych (bo to jeden z nich namierzył i zadenuncjował ich nową polityczną miłość).

Ten wyjazd podważył wiarygodność Petru w mateczniku Nowoczesnej, jakim jest antypisowski elektorat. Jednocześnie ściągnął na niego zainteresowanie tabloidów, które zaczęły mu grzebać w życiu prywatnym. To był początek końca Nowoczesnej – sondaże szybko spadły w okolice progu wyborczego.

Wygrana partii kobiet

Petru mimo wszystko liczył, że się odbije. Potrzebował do tego jednak lojalnego wsparcia kluczowych posłów klubu Nowoczesnej. Wobec rachitycznych struktur w terenie to najważniejsze ciało w partii. Momentem próby były rozpisane na jesień 2017 r. wybory na szefa partii. Petru był pewien, że wygra, bo był pewien, że takie wsparcie ma.

W tej wewnętrznej, nowoczesnej układance szczególnie istotna była Katarzyna Lubnauer. Ambitna, nieco kostyczna, zawsze miała duże ambicje. Przez lata próbowała dobić się do politycznej ekstraklasy – zasiadała w ostatnim zarządzie krajowym Unii Wolności i jej reinkarnacji, partii Demokraci.pl – ale do Sejmu weszła dopiero dzięki Petru.

Po portugalskiej katastrofie i na pół roku przed wewnętrznymi wyborami Petru uznał, że powinien się nieco wycofać i podzielić władzę z wyrazistymi kobietami Nowoczesnej. Wiosną ubiegłego roku zrezygnował z szefostwa sejmowego klubu partii na rzecz Lubnauer. Petru wybrał ją świadomie, bo uważał, że to sprawna organizatorka, w pełni wobec niego lojalna – gdy byli ze Schmidt w Portugalii, Lubnauer z miedzianym czołem przekonywała media, że to wyjazd służbowy.

Wszystko wyglądało na kontrolowany przez Petru scenariusz – gdy ogłosił, że oczywiście będzie startował w wyborach na szefa N, Lubnauer go oczywiście poparła. Mówiła mi wtedy, znów z zimną krwią: „Oczywiście, zgłoszę na Ryśzarda”. Szkopuł w tym, że to była jedynie gra pozorów. A Petru nie zdawał sobie

Wykrwawiona Nowoczesna jest potrzebna

Grzegorzowi Schetyń: spróbuje z niej zrobić swoją liberalną przystawkę.

sprawy, że przestał być głównym scenarzystą.

Zaczął się powoli i nawet zabawnie – jako pierwszy wyzwanie rzucił Piotr Misiło, barwny poseł z drugiego szeregu. Ale Petru szybko zrzędał mina, gdy swój start ogłosiła Lubnauer. A naprawdę groźnie dla lidera zrobiło się wtedy, gdy do wyścigu włączyła się Kamila Gasiuk-Pihowicz, najpierw ogłaszając swój start, a potem popierając Lubnauer.

W obu wylansowanych przez Petru posłankach obudziły się wielkie ambicje. Lubnauer uwierzyła w sondaże, które dają jej wysoki poziom zaufania. W ówczesnym badaniu dla portalu OKO.press jedynie 16 proc. wyborców Nowoczesnej stawiało na Petru, zaś 38 proc. właśnie na nią.

Dopiero gdy Petru sensacyjnie przegrał, zrozumiał, że Lubnauer i Gasiuk-Pihowicz zawarły pakt przeciwko niemu wiele miesięcy wcześniej. I że konsekwentnie poprowadziły selekcję delegatów na konwencję wyborczą tak, by go pobić. Petru tego nawet nie zauważył, przekonany – jak większość posłów N – że obie panie tak bardzo się nie znoszą, iż nie są w stanie współpracować. Okazało się, że są pragmatyczne i wbrew pozorom karier nie budują na emocjach. Lubnauer została szefową partii, Gasiuk-Pihowicz zaś objęła władzę w klubie parlamentarnym.

Ich wolta musiała jednak doprowadzić do ruiny zaufania na szczytach partii. „Nie doceniłem roli intryg i wielomiesięcznego knucia – mówił mi Petru pod koniec 2017 r., bodaj najtrudniejszego w jego 46-letnim życiu, bo zaczętego wycieczką do Portugalii, a zakończonego utratą władzy w partii, nie wspominając o rozwodowych perypetiach po drodze. – Gdyby cała polityka nowych władz Nowoczesnej miała być prowadzona w kontrze do moich propozycji, to nie widzę się dalej w tej partii”.

Komu wolno być zamordystą

Szanse dla Nowoczesnej bez Petru od początku były nikłe. Szybko wyszło na jaw,

że partia ma kilkumilionowe długi, a bez Petru napływ gotówki się skończył.

„Do tej pory, gdy była kumulacja płatności, to brałem telefon i obdzwaniałem różnych ludzi, którzy są sympatykami Nowoczesnej, żeby wpłacili 1 tys. czy 5 tys. zł – kogo na ile stać. I jakoś się udało” – mówił mi wtedy Petru. „Teraz pan dzwoni?”. „Muszę mieć poczucie wpływu na Nowoczesną” – odparł, co było jasnym przyznaniem, że odłożył słuchawkę.

Lubnauer się nie patyczkowała: zaatakowała Petru za pustki w kasie, choć wiedziała, że adresem tych zarzutów powinien być mąż jej sojuszniczki.

Te pierwsze słowne utarczki zwiastały poważniejsze, fundamentalne kłopoty. Z jednej strony trudnością nie do przeczwyczenia okazało się to, że Petru traktował Nowoczesną jak własność i nigdy nie pogodził się z porażką. Z drugiej – nowe liderki wprowadziły w partii i klubie niespotykany dotąd zamordyzm, który tylko podgrzewał konflikt.

Wzorując się na PiS Kaczyńskiego czy PO w czasach Tuska, chciały rządzić bezdyskusyjnie i dowodzić poprzez rozkazy. Szkopuł w tym, że nie miały takiej pozycji w partii, by sobie móc na to pozwolić. Schetyna – choć znany jest z ciężkiej ręki – nie rządzi przez zamordyzm, bo zdaje sobie sprawę, że nie jest liderem o niekwestionowanym autorytecie.

Lubnauer nie podjęła nawet próby, by zagospodarować ambicje Petru i ukoić jego frustracje po klęsce. Czy takie jest zadanie zwycięzcy? Formalnie nie. Szkopuł w tym, że Nowoczesna powstała wokół Petru, zatem jego status w partii był znacznie poważniejszy niż zwyczajnego lidera. Jej polityka wewnętrzna i zewnętrzna obliczona była na marginalizowanie Petru oraz jego ludzi jako potencjalnego zagrożenia. Lubnauer, nie tworząc dla Petru wygodnej niszy w partii, nie tylko odcięła partię od pieniędzy, ale wręcz przyczyniła się do pogrzebania Nowoczesnej.

Reakcja łańcuchowa

W finale sytuacja w klubie N przypominała groteskę: grupa 10 posłów związanych z Petru (czyli więcej niż co trzeci) chciała odwołania Gasiuk-Pihowicz, oskarżając ją o kłótlawy charakter i bałaganiarstwo. Wniosek był blokowany i ukrywany, a miedzianoczoła Lubnauer twierdziła, że go w ogóle nie ma. Nowa szefowa partii pod rękę z nową szefową klubu na

prawo i lewo rozdawały posłom zakazy wypowiedzi – tak się składa, że knebłowały głównie ludzi Petru, a nawet jego samego.

Już od kilku tygodni było wiadomo, że katastrofa się zbliża. Iskrą, która doprowadziła do reakcji łańcuchowej, był knebel dla Joanny Scheuring-Wielgus. Sojuszniczka Petru dostała zakaz wypowiadania się w sprawie protestu niepełnosprawnych, którym przecież sama umożliwiła dostanie się do Sejmu. Odeszła z partii ona, godziny po niej Schmidt, a w finale postawiony pod ścianą Petru. W dodatku w najbliższych miesiącach mogą odejść kolejni posłowie, którzy czekają tylko na domknięcie list samorządowych Nowoczesnej z Platformą, na których chcą umieścić swoich ludzi.

Choć N miała pokazać nowy styl polityki, to stało się odwrotnie – partia padła ofiarą klasycznych, patologicznych rozgrywek, które toczą od lat polską politykę. Może dlatego, że większość najbardziej skonfliktowanych – na czele z Petru, Lubnauer i Gasiuk-Pihowicz – ma za sobą doświadczenia z innymi partiami i wniosła

do N to nieszczęsne wiano? A może to uniwersalne mechanizmy polityczne towarzyszące rozbuchanym ambicjom i ostrej walce o władzę?

Jakakolwiek jest odpowiedź, Nowoczesna to partia bez założyciela, bez pieniędzy i z marnymi strukturami w terenie.

Los przystawki

Ale to nie koniec opozycji liberalnej. Po dwóch ciężkich latach odetchnąć może wreszcie Grzegorz Schetyna. Gdy nowaliki N i KOD straciły powab, Platforma przy wszystkich swych defektach pozostaje najsilniejszym ugrupowaniem opozycji. Liderem antypisu jest Schetyna i to on będzie dyktował warunki przed wszystkimi wyborami w tym i przyszłym roku. Wykrwawiona i zbankrutowana Nowoczesna jest mu nawet potrzebna. Spróbuje z niej zrobić swą liberalną przystawkę, ofertę dla wyborców, których mierzi konserwatywny sznyt PO, lub takich, którzy wciąż nie rozgrzeszyli Platformy z afer jej dwukadencyjnych rządów.

Paradoks polega na tym, że w tym tworzone już po cichu wielkim antypisow-

skim bloku pod dowództwem Schetyny finalnie znajdują się pewnie i Nowoczesna kierowana przez Lubnauer, i jakaś przyszła „Jeszcze Bardziej Nowoczesna” Petru. To tym bardziej pokazuje, że o ego tu chodzi, nie o wizję czy program.

Na razie Petru nieformalnie wspomaga niektórych niezależnych kandydatów samorządowych. W Warszawie jego ludzi można dostrzec w otoczeniu kandydata na prezydenta Jacka Wojciechowicza, byłego zastępcy Hanny Gronkiewicz-Waltz, skłóconego z Platformą. Na pozór logiki w tym nie ma – wszak Petru jeszcze jako lider N lansował prezydencki tandem: Rafał Trzaskowski (PO) – Paweł Rabiej (N). Ale Petru po prostu szuka teraz ludzi, na których mógłby oprzeć w przyszłości swe nowe ugrupowanie.

Petru chce jeszcze raz zawalczyć, bo za-inwestował zbyt dużo i nie chce zamknąć rachunku „polityka” na dużym minusie. A sztandar Nowoczesnej? Można wyprowadzić.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

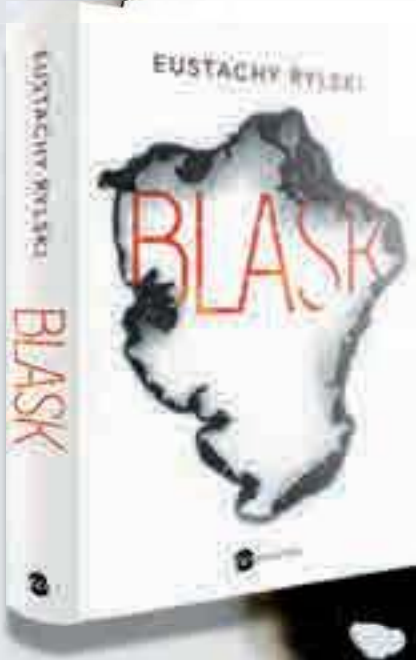
Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem”.

REKLAMA



Pierwsza książka Natalii Fiedorcuk *Jak pokochać centra handlowe* była objawieniem i została wyróżniona Paszportem Polityki.

Ulga jest jak huragan, który zbiera wszystko po drodze, zostawiając niepokojącą ciszę.



Wspaniała wielka powieść mistrza prozy.

Blask lśni ciemnym światłem.

JUŻ W KSIĘGARNIACH

WIELKA LITERA

Koniec emerytury

RAFAŁ ZYCHAŁ

Na taki krok nie zdecydował się nikt przed nim. Jeśli Bronisław Komorowski zechce powalczyć o Parlament Europejski, może liczyć na dobre miejsce. Tylko jak to odbiorą wyborcy?

TEMAT STARTU BYŁEGO PREZYDENTA w przyszłorocznych wyborach do Parlamentu Europejskiego wraca od wielu miesięcy. Sam zainteresowany unika jednoznacznych deklaracji, ale wiele wskazuje na to, że się zdecyduje. Niektórzy przekonują nawet, że klamka już zapadła.

Istotnie, od kilku miesięcy Komorowski jeździ na spotkania w Polsce, częściej gości też w mediach. Wydał „białą księgę” naruszeń konstytucji przez obecnie rządzących. Ale zapytany wprost o start, zwykle odpowiada podobnie: nie ma takich planów, ale nie mówi „nie”. Zastrzega, iż czuje się politykiem spełnionym, by zaraz dodać, że jednak wciąż ciągnie wilka do lasu.

Na razie nie jest to też temat, który szczególnie zajmuje liderów PO. Partia musi skupić siły na najbliższym starciu, czyli walce o samorządy. To jedyny bastion dotąd niezdobyty przez PiS. Bitwa rozegra się już jesienią i rozpocznie trzyletni maraton wyborczy. Grzegorz Schetyna nie może sobie pozwolić na falstart.

To będzie precedens

„Nie da się dobrze przygotowywać do dwóch bitew jednocześnie – mówią w samej Platformie. – Zresztą, po wyborach samorządowych świat może być inny. Zobaczymy też, jak zadziała Koalicja Obywatelska, którą zawarliśmy z Nowoczesną”. Politycy tej partii czujnym okiem spoglądają też na poczynania innego potencjalnego koalicjanta – PSL. I przypominają, że lider ludowców, którzy o samorządy powalczą samodzielnie, takiego scenariusza jednoznacznie nie odrzuca. Na układanie list przyjdzie więc jeszcze czas.

Jak do tej pory, żaden z byłych prezydentów nie zdecydował się na start w wyborach parlamentarnych – zarówno tych krajowych, jak i europejskich. Najbliżej tej decyzji był w 2014 r. Aleksander Kwa-

śniewski. Wtedy jako jeden z liderów firmował centrolewicową listę Europa+, ale ostatecznie na start się nie zdecydował.

Był też nieco już zapomniany epizod z 2009 r., czyli flirt Lecha Wałęsy z eurosceptycznym ruchem Libertas. Wałęsa oczywiście nie byłby sobą, gdyby i wtedy nie był „za, a nawet przeciw” – w tej samej kampanii wspierał bowiem i kandydatów Platformy Obywatelskiej. Do walki o mandat jednak nie stanął.

Ewentualny start Komorowskiego byłby więc precedensem w polskiej polityce. Ale czy byli prezydenci w ogóle powinni w takich wyborach kandydować? Zdaniem prof. Antoniego Dudka taki ruch wcale nie podniesie prestiżu ich funkcji. – Czym innym jest ubieganie się o ważne stanowiska międzynarodowe, to jest oczywiście przyjęte od dawna. Ale w tym przypadku, mówiąc wprost, może zostać odebrane jako chęć przełożenia popularności na wysokie zarobki – tłumaczy politolog z UKSW.

A różnica w dochodach z pewnością kusi. Były prezydent dostaje dziś na rękę nieco ponad 6 tys. zł. W tym samym czasie na konto europosła wpływa ponad cztery razy tyle. A to tylko pensja. Bo są jeszcze równie hojne dodatki, które długo można wyliczać.

Nie bez znaczenia może być też fakt, że Komorowski, w przeciwieństwie do Wałęsy, nie jest szczególnie zasypywany ofertami płatnych wykładów. Owszem, jego nazwisko pojawia się na liście mówców podczas konferencji, choćby w USA, ale do byłego przywódcy Solidarności jeszcze mu daleko. Nie zdecydował się on też, jak Kwaśniewski, by wejść do świata biznesu w roli doradcy.

Zabliźnione rany

Jeśli poprzednik Andrzeja Dudy zdecyduje się powalczyć o Brukselę, to raczej nikt z jego byłej partii nie będzie mu robił

specjalnych trudności. Choć Komorowski nigdy nie stworzył w Platformie swojej frakcji, to nie dorobił się również śmiertelnych wrogów, którzy mogliby teraz wykorzystać okazję i boleśnie się odegrać. Sam Grzegorz Schetyna z pewnością pamięta też, że kilkakrotnie stawał po jego stronie w sporach z Donaldem Tuskiem.

A i relacje z samą partią wydają się dziś cieplejsze niż przed kilkunastoma miesiącami. Bolesna porażka na ostatniej prostej przed ostatnimi wyborami prezydenckimi poróżniła oba obozy. Były prezydent nie krył żalu, nie szczędził też krytyki pod adresem PO. A i politycy Platformy nie pozostawali mu dłużni i wytykali błędy popełnione w kampanii przez współpracowników z Pałacu. Swoistym rozliczeniem i zamknięciem tego sporu jest też książka, którą niedawno wydał Tomasz Nałęcz, jeden z najbliższych współpracowników Komorowskiego.

– On zrozumiał, że w imię prawdy historycznej o niektórych rzeczach trzeba powiedzieć głośno. Że warto ten makijaż zmyć. I ja to zrobiłem – tłumaczy Nałęcz. Samą kampanię z roku 2015 nazywa „fatalną” i przyznaje, że był prezydent zachęcał go do tego, by opisać ją w sposób bardziej dosadny, nawet jeśli to będzie bolało. Bo taka była prawda.

Bronisław Komorowski może liczyć na bardzo dobry wynik. Wybory prezydenckie przegrał o włos, a w drugiej turze poparło go ponad 8 mln Polaków. To potężny kapitał i atut w jego rękach.

– Na pewno nie będzie obciążeniem dla Platformy. Takim kłopotem byłaby Hanna Gronkiewicz-Waltz, gdyby chciała startować. Ale myślę, że nikomu, włącznie z nią samą, taka myśl nie chodzi po głowie – przekonuje prof. Dudek.

– Nie można też mówić, że jest on politykiem skompromitowanym. Jak do tej pory, nie potwierdziły się żadne istotne zarzuty, które by go obciążały – tłumaczy dalej politolog. A to rodzi trudność dla potencjalnych rywali, przede wszystkim dla PiS. Oczywiście, można po raz kolejny sięgnąć po błędy czy wpadki z czasów prezydentury, ale to wszystko już było. Niekoniecznie zadziała.

Zresztą ludzie Kaczyńskiego skupią się w swojej kampanii zapewne na Donaldzie Tusku. Tak się składa, że w maju przyszłego roku, kiedy kampania do europarlamentu będzie na ostatniej prostej, powoli kończyć się będzie jego kadencja jako szefa Rady Europejskiej. A sygnałów



WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI DLA „JP”

Po prezydenturze, Warszawa, sierpień 2015 r.

świadczących o tym, że Tusk jednak ma ochotę wrócić do krajowej polityki, jest co raz więcej.

Skąd do Europy?

Najbardziej oczywistym i logicznym wyborem wydaje się Warszawa. To nie największy, ale z pewnością najbardziej prestiżowy okręg w Polsce. Solidną kartą przetargową w rękach Komorowskiego będą wyniki, jakie tu osiągał. W pierwszej turze starcia z Andrzejem Dudą w stolicy poparło go ponad 350 tys. wyborców.

Za kandydaturą byłego prezydenta może przemawiać również to, że PO nie ma wyraźnego lidera w Warszawie. W poprzednich wyborach mandaty dla PO zdobyli Danuta Hübner oraz Michał Boni. Jeśli Komorowski powie „tak”, któregoś z nich będzie musiało ustąpić mu miejsca i wystartować z innego okręgu w Polsce.

W przyszłorocznym starciu można się spodziewać podobnego rozstrzygnięcia jak w 2014 r. – PiS i PO zapewne wezmą po dwa mandaty. Ale ktoś z dwójki Hübner–Boni może otwierać listę PO w Łodzi. Tam zwolniło się miejsce po Jacku Saryusz-Wolskim, który opuścił szeregi Platformy. Szansą może być też to, że w przyszłym roku Polacy będą wybierali o jednego europosła więcej. To „zasługa” brexitu.

Jedyną osobą, która może nieco namieszać w wyścigu o „jedynekę” w stolicy,

jest Ewa Kopacz. Choć i ona nie złożyła oficjalnej deklaracji, to wiadomo, że ma ochotę na start. – Wydaje mi się, że Ewa wystartuje i będzie jednym z najmocniejszych nazwisk. Stolica byłaby dla niej naturalna, bo stąd przecież startowała ostatnio do Sejmu. Ale przez lata kandydowała z Radomia, więc może to być też okręg mazowiecki – mówi jeden z bliskich współpracowników Kopacz.

Kto ostatecznie znajdzie się na listach, będzie zależało także od innych czynników. Jeśli PO dobrze wypadnie w wyborach samorządowych, to z pewnością mniej osób będzie chciało opuścić krajową politykę. Do walki o prezydenturę Kielc i Gdańska szykują się przecież dzisiejsi europosłowie – Bogdan Wenta oraz Jarosław Wałęsa.

I choć wybory europejskie w naturalny sposób są wygodniejsze dla PO, a PiS podczas tej kampanii będzie coraz silniej odczuwał trudy związane z rządzeniem, to walka będzie zacięta. Pokazało to już poprzednie starcie. Jeśli obecna dynamika na scenie politycznej się utrzyma, to w 2019 r. znów możemy się spodziewać remisu ze wskazaniem. Tym razem jednak raczej na PiS.

Politycy Platformy zwracają też uwagę na jeszcze jedną rzecz – brak pewności co do tego, jak ostatecznie będzie wyglądała ordynacja. A PiS potrafi zmienić zasady

gry w ostatniej chwili, co zrobił choćby przed tegoroczną walką o samorządy. – Nic się nie zmieni? A może będzie system mieszany? Jeszcze rok temu wszyscy mówili, że będzie lista krajowa. Teraz już chyba nikt nie wie – mówi jeden z posłów.

Kiedy decyzyja?

Czasu do namysłu Bronisław Komorowski ma jeszcze sporo. Mało prawdopodobne, by swoją decyzję ogłosił przed wyborami samorządowymi. Jeśli się zdecyduje na start, możemy być świadkami ciekawego pojedynku w Warszawie. Nie wykluczone, że jego główną rywalką będzie Beata Szydło. Bo i takie pogłoski słyszeć dziś na sejmowych korytarzach, choć była premier może też powalczyć o mandat z rodzinnej Małopolski.

Były prezydent przez ostatnie lata nieco odwykł od kampanijnych starć z rywalami. Musi też przekonać wyborców, nawet mu bliskich, że ten ruch nie jest motywowany wyłącznie względami finansowymi. Tabloidy z pewnością mu o tym przypomną. A „jedyneką”, nawet w stolicy, to jeszcze nie mandat. On sam nie wpadnie w ręce, podobnie jak było z prezydenturą, o czym się boleśnie przekonał.

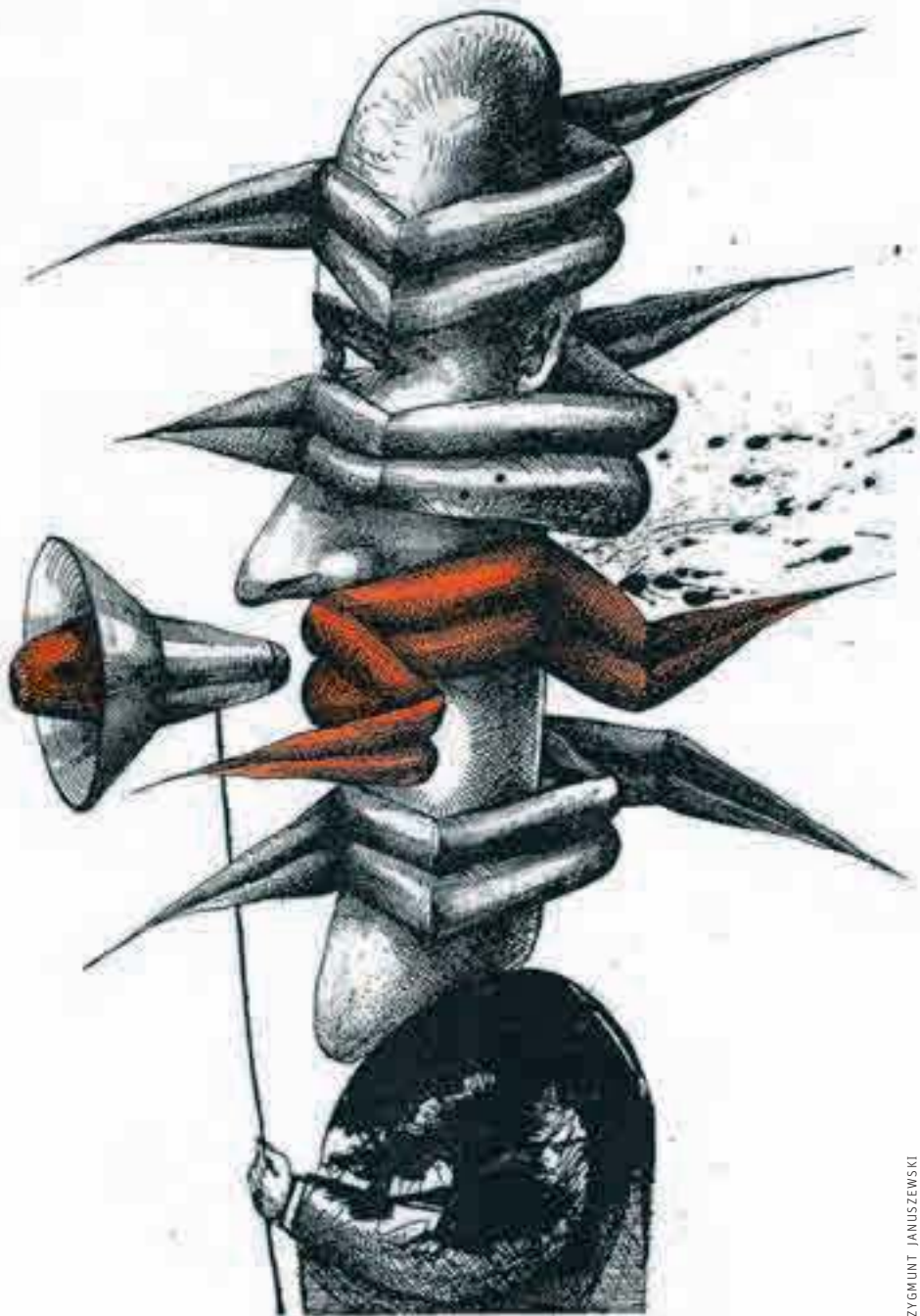
Wraca więc pytanie: czy byli prezydenci w ogóle powinni startować? Może najwyższy czas pomyśleć nad tym, jak zagospodarować te osoby, które dziś są pozostawione same sobie? Wzorem z pewnością jest status, jaki mają byli prezydenci USA. Ten model raczej jednak będzie trudno przenieść nad Wisłę. Ale może warto skorzystać z rozwiązań włoskich i dać byłym prezydentom dożywotni mandat w Senacie?

– To rozwiązanie warte rozważenia – przekonuje prof. Dudek. Ale zdaniem politologa byli prezydenci przede wszystkim powinni być wykorzystywani w polityce zagranicznej. Jest tylko jeden problem – przy obecnym poziomie kultury politycznej to po prostu niemożliwe.

– O ile z Lechem Wałęsą byłoby to trudne, bo jego ciężko „zaprogramować” w jakimkolwiek kierunku, to już Aleksandra Kwaśniewskiego czy właśnie Bronisława Komorowskiego dałoby się namówić do takich działań. Warunek jest jeden: trzeba tego chcieć. Na razie to czysta abstrakcja. Nasi politycy najpierw musieliby zacząć ze sobą normalnie rozmawiać – kwituje Dudek.

©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl



ZYGUNT JANUSZEWSKI

Kij na psa stróżującego

BARTOSZ KLIMAS

Organizacje pozarządowe od ponad pół roku mają nowego rządowego „opiekuna” – Narodowy Instytut Wolności. Nie wydaje się, by jego działanie miało zaradzić bolączkom trzeciego sektora.

Z RZĄDOWYCH DEKLARACJI WYNIKA, że dzięki powołaniu – ustawą z 15 września 2017 r. – Narodowego Instytutu Wolności (NIW) sprawami rozwoju społeczeństwa obywatelskiego zajmie się instytucja publiczna skoncentrowana wyłącznie na sprawach organizacji pozarządowych. Nadzór nad nową jednostką pełni przewodniczący Komitetu ds. Pożytku Publicznego (KPP), czyli wicepremier Piotr Gliński.

Tyle że dokręcanie śruby rządowej kontroli nad organizacjami nie jest istotą społeczeństwa obywatelskiego.

– Uporządkowanie formuły przekazywania środków przez rząd nie byłoby złe, np. po to, aby uniknąć sytuacji, w której ministerstwa prowadzą sprzeczną politykę albo robią konkursy znacznie różniące się poziomem profesjonalizmu – mówi Katarzyna Szymielewicz, prezeska Fundacji Panoptykon, działającej na rzecz wolności i ochrony praw człowieka w społeczeństwie nadzorowanym. – Patrząc na same przepisy, można jeszcze było mieć nadzieję, że Narodowy Instytut Wolności będzie przede wszystkim pełnił funkcję koordynacyjną, bez ideologii i politycznego nadzoru. Jednak styl działania nowej instytucji i sposób dystrybuowania środków już te nadzieje za-przepaściły.

Katarzyna Batko-Tołuć z Sieci Obywatelskiej Watchdog Polska zwraca m.in. uwagę na preambułę ustawy o NIW, która pojawiła się już po etapie konsultacji społecznych i mówi, że „państwo polskie wspiera wolnościowe i chrześcijańskie ideały obywateli i społeczności lokalnych, obejmujące tradycję polskiej inteligencji, tradycję niepodległościową, narodową, religijną, socjalistyczną oraz tradycję ruchu ludowego”. Jej zdaniem takie wyliczenie oznacza dla aparatu państwa wskazówkę – co wolno wspierać, czego nie.

W uzasadnieniu projektu autorzy trafnie określili problemy organizacji pozarządowych. Nie wiadomo jednak, w jaki sposób powołanie NIW miało się przyczynić do ich rozwiązania.

„Jako jeden z mankamentów polskiego sektora pozarządowego od lat wskazuje się jego uzależnienie od środ-

ków publicznych i ograniczenie, w rezultacie, swobody działania. Tymczasem proponowany w projekcie system wsparcia przewiduje utworzenie jeszcze bardziej scentralizowanej instytucji, nad którą praktycznie całkowitą kontrolę będą sprawowały organy władzy wykonawczej” – argumentował Jacek Kucharczyk, prezes Instytutu Spraw Publicznych przy okazji konsultacji publicznych do projektu ustawy o NIW.

Grantoza i brak wizji

Bolączki sektora (wskazywane w uzasadnieniu projektu ustawy) to m.in. słabość organizacji strażniczych, eksperckich i konsumenckich, obawa, że NGO-sy często korzystają z dotacji nie po to, by realizować cele społeczne, ale dla zabezpieczenia podstawowych potrzeb egzystencjalnych i własnego przetrwania. Do tego brak stabilności i przewidywalności finansowania.

– A także „grantoza”, czyli doraźne projekty o bardzo sztywnych wskaźnikach wyceny, w rodzaju: trzy szkolenia w roku, nieważne z czego, byleby papiery się zgadzały – dodaje Katarzyna Szymielewicz. – Zamiast tego potrzebne jest finansowanie długofalowe, obarczone większym ryzykiem, ale z szansą na zmianę społeczną. To dziś w Polsce rzadkość.

Prezesa Panoptykonu przyznaje, że dotychczasowy system przekazywania środków publicznych dla organizacji pozarządowych jest chaotyczny.

– W zamyśle głównym miejscem ich dystrybucji miał być Fundusz Inicjatyw Obywatelskich – mówi. – Nie wiem, czy się nim stał, wiem jedynie, że Panoptykonowi nigdy nie udało się pozyskać środków z FIO, mimo że prowadzimy przecież działania bardzo pro-obywatelskie i mimo że wygrywamy znacznie bardziej skomplikowane konkursy. Trudno patrzeć na to inaczej niż przez pryzmat oceny politycznej, bo w końcu jednym z komponentów jest tu tzw. ocena strategiczna ministra pracy i polityki społecznej, która może przekreślić wniosek dobrze oceniony przez ekspertów. Wygląda to tak, jakby ministerstwo zlecało organizacjom pozarządowym realizację swojej polityki.

Przy okazji prac nad ustawą o NIW Ogólnopolska Federacja Organizacji Pozarządowych (zrzesza 130 organizacji) zwracała uwagę, że proponowane mechanizmy nie zapewniają stosowania zawartych w przepisach o działalności pożytku pu-

blicznego zasad: pomocniczości (mówiącej, że każdy szczebel władzy powinien realizować tylko te zadania, które nie mogą być zrealizowane przez szczebel niższy lub jednostki działające w ramach społeczeństwa), suwerenności stron, partnerstwa, efektywności, uczciwej konkurencji i jawności przy rozdzielaniu funduszy. Nie gwarantują także bezpiecznych warunków umowy dla podmiotów otrzymujących dofinansowanie.

Władza wygrywa 6:5

Zgodnie z ustawą Narodowym Instytutem Wolności kieruje dyrektor powoływany przez przewodniczącego Komitetu ds. Pożytku Publicznego. Piotr Gliński powołał na to stanowisko Wojciecha Kaczmarczyka, dotychczasowego dyrektora Departamentu Społeczeństwa Obywatelskiego w Kancelarii Premiera Rady Ministrów (a przy tym pełnomocnika rządu ds. społeczeństwa obywatelskiego oraz ds. równego traktowania, który – jak twierdził rzecznik rządu – z powodzeniem jednoosobowo zastąpił rozwiązana w 2016 r. Radę ds. Przeciwdziałania Dyskryminacji Rasowej, Ksenofobii i związanej z nimi Nietolerancji).

W 11-osobowym ciele doradczym NIW – Radzie – pięć miejsc zajmują członkowie reprezentujący organizacje pozarządowe (powołuje ich przewodniczący KPP na wniosek tychże), kolejnych pięć miejsc obsadzają instytucje państwa (jeden członek wyznaczony przez prezydenta, trzech wyznaczonych przez – znów – przewodniczącego KPP oraz jeden wyznaczony przez ministra właściwego do spraw finansów publicznych). Do tego reprezentant jednostek samorządu terytorialnego.

W tym meczu władza wygrywa więc 6:5, a kluczowe decyzje i tak podejmuje dyrektor po zasięgnięciu opinii Rady.

– W takiej formie widzę bardzo duże upolitycznienie Rady, która powinna mieć formę społeczną – uważa Katarzyna Szymielewicz. – Rząd może akceptować jej skład, jednak powinni tu dominować ludzie nie wybierani przez polityków, ale reprezentujący sektor obywatelski i naukę, bo długofalowa polityka finansowania trzeciego sektora wymaga rozumienia świata.

– Rada nigdy nie będzie ciałem autonomicznym, niezależnie od składu – przyznaje Weronika Czyżewska-Wagłowska powołana do Rady NIW z rekomendacji Ogólnopolskiej Federacji Organizacji Po-

zarządowych, której jest wiceprezeską (jej kandydaturę wsparło 67 organizacji). – Ma agendę z góry narzuconą przez ustawę, powoływana jest w konkretnym celu, ma jasno ustalone kompetencje i zadania, jej członków wybiera przewodniczący KPP. Trudno mówić o niezależności takiego organu. Choć jako OFOP byliśmy przeciwni powstaniu tej instytucji – kontynuuje Weronika Czyżewska-Wagłowska – uważamy, że naszą rolą jest m.in. monitorowanie działań Narodowego Instytutu Wolności. I choć kompetencje Rady NIW są mocno ograniczone, wydaje się być ona jedyną przestrzenią przedstawiania głosu organizacji zrzeszonych wokół OFOP.

Pytania bez odpowiedzi

Do rady NIW powołano również Ilonę Gosiewską i Tymoteusza Zycha. Oboje zasiadają w zarządzie utworzonej w lutym 2017 r. Konfederacji Inicjatyw Pozarządowych Rzeczypospolitej (KIPR) – ciała propagującego patriotyzm, wspólnotę, suwerenność, wolność (jednakże nie tę rozpatrywaną „w kategoriach abstrakcyjnego permissywizmu”), społeczeństwo obywatelskie i rodzinę.

W zakładce „Organizacje” na stronie internetowej KIPR zamieszczono 13 logotypów organizacji najwyraźniej wchodzących w jej skład. Na pytanie o ich – być może pełniejszą – listę nie uzyskałem odpowiedzi.

„Nie popieramy izolacjonizmu czy autarkii, jednakże stoimy na stanowisku, że decyzje w najważniejszych kwestiach winny leżeć w kompetencjach poszczególnych krajów, zaś prawdziwa europejska solidarność może opierać się tylko na dobrowolności oraz odwoływaniu się do wspólnego kośca ideowego: greckiej filozofii, rzymskiego prawa oraz chrześcijańskiej etyki” – napisano w manifestie programowym.

Ilonę Gosiewską do Rady NIW zarekomendowało Stowarzyszenie Odra-Niemien, którego jest prezesem (w zakresie działalności m.in. Polonia i Kresy oraz „żołnierze wyklęci”), Tymoteusza Zycha zgłosiła nowo powołana KIPR, nie zaś jego macierzysta organizacja, fundacja Ordo Iuris.

Przewodniczącym, którego Rada wybrała ze swojego grona, został Wojciech Jachimowicz – jednocześnie członek zarządu Rady ds. Pożytku Publicznego, a więc ciała opiniodawczo-doradczego →

→ przy przewodniczącym Komitetu ds. Pożytku Publicznego (czyli – powtórzmy – nadzorcy Narodowego Instytutu Wolności).

Kolejnego z członków, Sebastiana Wijasa, zarekomendowała fundacja KGHM Polska Miedź (powołana przez spółkę Skarbu Państwa), w której jest wiceprezsem zarządu.

Co istotne, lista członków Rady NIW nie pokrywa się z listą osób, które uzyskały największą liczbę głosów poparcia ze strony organizacji pozarządowych. Redakcja „Tygodnika” nie otrzymała odpowiedzi na pytanie o kryteria wyboru, skierowane do biura prasowego KPRM.

Wiadomości o naborze i kandydaturach do Rady NIW próżno szukać w Biuletynie Informacji Publicznej KPRM (już zostały usunięte) albo na stronie internetowej NIW (w przygotowaniu).

– Przedstawienie tych informacji przy okazji wyników naboru działałoby z pewnością na korzyść Instytutu i byłoby dobrą praktyką, działaniem w kierunku przejrzystości – uważa Weronika Czyżewska-Wagłowska.

Psy stróżujące

Trudno się zgodzić, rządzący przyjmują bowiem kolejne przepisy – często w mało przejrzysty sposób – a obywatele nie mają czasu i możliwości, by sprawdzać wszystkie projekty. Mają jednak „watchdogi” – organizacje o charakterze strażniczym, które robią to w ich imieniu.

Nie tylko analizują to, co jest dostępne publicznie, wyciągają też to, co publikowane nie jest – tym zajmuje się m.in. Sieć Obywatelska Watchdog Polska. A władze watchdogów nie lubią. Pod koniec 2016 r. „Wiadomości” TVP przeprowadziły atak na wybrane organizacje pozarządowe (m.in. Fundację Rozwoju Demokracji Lokalnej), sugerując, że za ich finansowaniem stoją osobiste powiązania, co – jak się wydaje – miało zniechęcić opinię publiczną do całej idei trzeciego sektora.

– Można tak spekulować. Ma to sens, jeśli rzeczywiście rząd próbuje zrobić „skok” na organizacje pozarządowe – przynajmniej Katarzyna Szymielewicz.

Największe problemy

mogą teraz czekać organizacje, które zajmują się grupami dyskryminowanymi, takimi jak kobiety doświadczające przemocy czy imigranci.

Według badań przeprowadzonych przez firmę Millward Brown na zlecenie Stowarzyszenia Klon/Jawor (które gromadzi i udostępnia wiedzę o organizacjach pozarządowych w Polsce oraz aktywności społecznej Polaków i Polek) atak rządowych mediów się nie powiodł – w 2017 r. 60 proc. respondentów (z reprezentatywnej próby tysiąca dorosłych Polaków) stwierdziło, że ma zaufanie do fundacji, stowarzyszeniom ufa 53 proc., a organizacjom pozarządowym 55 proc. Dla porównania, w 2014 r. fundacjom ufało 56 proc., stowarzyszeniom 50 proc., a organizacjom pozarządowym – 44 proc.

Atak na „obce” pieniądze

– W tej chwili trudno mówić, że od jednej ustawy o Narodowym Instytucie Wolności nastąpi eliminacja niewygodnych organizacji – uważa Katarzyna Batko-Tołuć, dodaje jednak, że sytuacja przywołuje skojarzenia z Węgry, a także Rosją, na której premier Viktor Orbán się wzoruje. – W Polsce pierwszy etap ataku polegał na podważaniu uczciwości i sensowności działania organizacji, które otrzymują finansowanie publiczne. Ale przecież organizacje najbardziej krytyczne wobec władzy korzystają z publicznego finansowania tylko w niewielkim stopniu lub w ogóle. Bo one wiedzą, że trzeba unikać tej zależności. To jedna z ich żelaznych zasad. Skąd zatem mają pieniądze? Często z zagranicznych źródeł i uważam, że to będzie następny cel ataku, jeśli w planach jest dalsze dyskredytowanie. Przy czym

nie sędzę, by atak pojawił się ze strony władzy, temat podniesie jakieś środowisko – przewiduje przedstawicielka Watchdog Polska.

– Nie chciałabym suflować tego rządowi, zapewne jest dobrze poinformowany, jeśli chodzi o taktyki węgierskie i rosyjskie. Wiele z nich zostało powtórzonych. Politycznie tak, to możliwe, ale prawnie nie do wyobrażenia – uważa Katarzyna Szymielewicz, potwierdzając, że istotnie, prowadzona przez nią fundacja nieczęsto korzysta z publicznych pieniędzy.

– Jeśli chodzi o działalność strażniczą, czyli walkę o dobre prawo, sygnalizowanie nadużyć i problemów związanych z polityką, nie korzystamy ze środków publicznych rozumianych wąsko: ministerialnych, rządowych. Tak sobie założyliśmy. Jednak środki publiczne to szeroka kategoria – mogą pochodzić np. od rządu norweskiego i zostać przetworzone przez mechanizm funduszy europejskich. Zdarzało się, że startowaliśmy w konkursach ogłaszanych przez polskie ministerstwa, jednak tylko przy okazji działalności innej niż strażnicza – np. z zakresu edukacji cyfrowej (mamy program dotyczący zagrożeń w sieci) – organizowanych przez Ministerstwo Edukacji Narodowej czy Ministerstwo Cyfryzacji.

Jak zauważa Katarzyna Batko-Tołuć, nie jesteśmy bezbronni w walce o organizację strażniczą. – Zamiast reagować w emocjach, gdy atak nastąpi, już dziś powinniśmy wspierać regularnymi sumami wybraną organizację. Takie wpłaty byłyby legitymacją dla organizacji strażniczych. Każda z nich będzie teraz oglądana pod lupą, by sprawdzić, ile ma pieniędzy zagranicznych. Im więcej „polskich” pieniędzy od ludzi, tym lepiej.

Przedstawicielka Sieci Obywatelskiej Watchdog Polska zauważa przy tym, że największe problemy mogą w przyszłości czekać organizacje, które zajmują się dyskryminowanymi grupami, takimi jak kobiety doświadczające przemocy czy imigranci. – Tutaj państwo nigdy nie było zbyt hojne, ale jednak pomagało. Teraz się odwróciło. Tu chyba też nie uda się bez obywateli. © BARTOSZ KLIMAS

ANNA

Dziewit-Meller:

Tonacja moll



W CZASIE PROCESU SOCJALIZACJI SWYCH DZIECI moi rodzice wyznawali różne zasady. Na przykład: nie czyni potomkom, co tobie nie miłe, gdyś sam był dzieckiem. Tak więc ojciec mój, w swoim czasie uprzedzony zwłaszcza do dwóch instytucji: harcerstwa i szkoły muzycznej – stopował moje zapędy, by stać się zuchem, a także by realizować me muzyczne powołanie. Nie pozwolił mi się zapisać do szkoły muzycznej, choć się upierałam. Twierdził, że znienawidzę muzykę po wsze czasy i szkoda zachodu.

O ile wizja biegania z saperką po lesie i stania nocami w strugach deszczu na wachcie, by pilnować proporca, faktycznie szybko mi obmierzła, o tyle z muzyką nie chciałam się tak łatwo poddać. Zapisalam się natychmiast na dwa kółka muzyczne, które oferowała moja podstawówka. Jedno było kółkiem cymbałkowym, realizującym moje marzenie o czarnobiałych klawiszach, drugie – a jakże – kółkiem gry na flecie prostym. W pierwszym rychło awansowałam na wokalistkę, która z towarzyszeniem cudownie fałszujących i grających zazwyczaj nie w rytmie dzwonek chromatycznych jeździła po konkursach z Chopinowską pieśnią „Życzenie” na ustach. W drugim zaś nasza nauczycielka, surowa pani Bibianna, postanowiła z nas zrobić współczesną odpowiedź na trubadurów i truwatorów. Zaczęła z nami trenować skomplikowane utwory z cyklu „Duety na flety proste”, zamówiła nawet stylizowane na kostiumy z serialu „Królowa Bona” łaszki ze sztucznych tworzyw.

Rodzice odetchnęli z ulgą, nie mając już wizji jeżdżenia ze mną po pracy do odległej szkoły muzycznej, i nawet kupili mi nowy elegancki flet drewniany. Nie mogę o sobie powiedzieć, że stałam się wirtuozem fletu prostego, ale na pewno dzięki próbom naszego zespołu znacząco podniosłam swoje kwalifikacje w tym zakresie, zwłaszcza na tle mojej klasy. Albowiem flet prosty za sprawą podstawy programowej stał się zmorem wielu moich rówieśników i tak oto przed nami wszystkimi stanęło w którymś momencie zadanie poważne – zaliczenie „Ody do radości”.

O niezapomniane godziny popołudniowe, kiedy z wielu okien na naszym osiedlu płynęły piskliwe i żałosne dźwięki Beethovenowskiego evergeenu, wydobywane z wściekłością lub znużeniem z drewnianych instrumentów, które nierzadko ciskane były w kąt, mokre od śliny (a nieraz potu i łez). O pamiętne E-E-F-G-G-F-E-D-C-C-D-E-E-D-D tłuczone do skutku na zaliczenie w pracowni muzycznej u pani Bibianny, która tułała do rytmu stopą, z której zawsze zzuwała swoje buty na koturnach, prezentując pedikiur. Za jej sprawą spółka autorska Beethoven-Schiller w mojej pamięci pozostanie dopóty, dopóki macki sklerozy nie powiodą mnie gdzieś na łono Abrahama. Obudzona o trzeciej w nocy zwrócę się w poprawnej formie do „Radości iskry Bogów, kwiecie elizejskich pól”, a potem z werwą zagram to na flecie prostym. Po ciemku. W pizamie.

Z wielkim więc przejęciem przeczytałam w lokalnej prasie, że oto radny PiS w stołecznej dzielnicy Żoliborz skierował interpelację do burmistrza w której stoi: „Mieszkaniec naszej dzielnicy przekazał mi list, w którym zwraca się z prośbą o interwencję w sprawie nauczania wykonywania na fletach podczas zajęć teatralnych »Żoliborskie Promyczki« w Ognisku Pracy Pozaszkolnej »Ody do Radości« – hymnu Unii Europejskiej, a dokładnie do zaprzestania ćwiczenia tego utworu”. Radny Marek Pękal proponuje, by w stulecie niepodległości Polski uczyć dzieci utworów takich jak „Bogurodzica”, który to utwór uznaje znacznie bardziej godny tego, by śliniono nim ustniki polskich fletów.

Panie Radny Marku Pękalu! Nie znając Pana dokonań muzycznych, ni doświadczeń w edukacji dzieci, pragnę Pana przekonać, że zagranie przez Żoliborskie Promyczki „Bogurodzicy” może być zadaniem znacznie trudniejszym niż odegranie przez nich żywiołowego fragmentu IX symfonii Ludwiga van Beethovena. A na pewno mniej przyjemnym. „Oda do radości” nie bez powodu od lat pilowana jest przez setki tysięcy dzieci w różnych pracowniach muzycznych. Po pierwsze, inkryminowany utwór jest znacznie bardziej melodyjny i to w pozytywnej, wesołej tonacji dur, po drugie – jest rytmiczny. Proponowana przez pana „Bogurodzica” to utwór oparty na starej skali, blisko pentatonicznej, z którą dzieci są kompletnie nie osłuchane, a w dodatku nie ma stałego metrum co – proszę wierzyć starej weterance fletu prostego – nie ułatwia roboty muzykowi, zwłaszcza pięcioletniemu. Oczywiście i z „Bogurodzicą” przychodzi się z czasem mierzyć młodym flecistom, ale – na Apollina – nie pozbawiajmy dzieci możliwości kontaktu z IX symfonią wyłącznie przez wzgląd na Franza Timmermansa i kłopoty rządu z Komisją Europejską. No bez jaj. Niech Pan nie będzie – Szanowny Radny Pękalu – barbarzyńcą wśród tych elizejskich pól. ©

TP

„Tygodnik Powszechny” zaprasza na

IZRAELSKI PIKNIK W WARSZAWSKICH ŁAZIENKACH

który odbędzie się z okazji 70-lecia Izraela 26 i 27 maja w Warszawie.

W programie: prezentacja i degustacja kuchni izraelskiej, zajęcia sportowe i muzyczne, szybkie lekcje języka hebrajskiego, warsztaty tańca izraelskiego oraz atrakcje dla najmłodszych, m.in. prawdziwe izraelskie przyjęcie urodzinowe dla dzieci.

Wstęp wolny. Organizatorami są Ambasada Izraela w Polsce i Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie.



PRZESTAŃ BYĆ TYLKO MATKĄ

Poprzez syna weszło światło w moje życie – mówi Beata Bronakowska. – Moja książka to dwugłos, Michał prowadzi swoją narrację, ja jestem jego medium. Wcześniej próbowałam się wdzierać do jego świata, ale na moich zasadach. A teraz Michał jest moją muzą.

KATARZYNA KUBISIOWSKA

W 2009 roku zostaje matką. Radość, bo dziecko; zmęczenie, bo absorbujące. W tym samym roku jej przyjaciółka Lucyna „rodzi” w języku angielskim tomik poezji.

– Z Lucyną Prostko chodziłyśmy do liceum w Augustowie, obie pisałyśmy wiersze, wysyłałyśmy na te same konkursy i zbierałyśmy podobne wyróżnienia – wspomina Bronakowska. – Po maturze Lucyna wyemigrowała do Stanów, ja pojechałam do Krakowa studiować. Korespondowałyśmy, czasem przysyłała mi wiersze po polsku, czasem po angielsku. Siadałam ze słownikiem i tłumaczyłam. Wiedziałam, o czym jest konkretny wiersz, ale mimo wszystko pozostawał on za szybą, nie czułam go cieleśnie. I jednocześnie ogromnie cieszyłam się z jej debiutu. Sama zadawałam sobie pytanie: a kiedy ja? Było mi żal, że muszę zająć się dzieckiem, a nie poezją. W dzienniku dramatyzowałam: „nie ma mnie” lub „gdzie ja jestem?”. Czekałam, aż Michał skończy trzy lata, pójdzie do przedszkola, będę miała więcej czasu dla siebie.

A tu nic z tego, świat wywrócił się do góry nogami.

Ciemność

Bronakowska początkowo myśli, że to ADHD – Michał jest nadpobudliwy. Nie słucha jej, wybiega na ulicę. Po trafi zafiksować się na głośnym otwieraniu i zamykaniu kuchennych szafek. Histerie przy wsiadaniu i wysiadaniu z samochodu, zanoszenie się od płaczu. Z mężem stoją przy otwartych drzwiach auta – proszą syna, błagają, potem już tylko bezradni czekają w milczeniu. Przy przechodzeniu przez garaż do windy kolejne krzyki przez pół godziny. Nie wiadomo, o co Michałowi chodzi, bo nie mówi.

– W 2011 roku na kontrolnej wizycie z ust pediatry usłyszałam: to może być autyzm – wspomina Bronakowska.

– Najpierw szok, potem żaloba, psychologia mówi, że to po wizerunku dziecka, które miało być zupełnie inne. Zadanie jest podwójnie trudne: trzeba się wydobyć z psychicznej zapaści, by mieć siły potrzebne do pomocy własnemu dziecku.

→ – Moje „wydobywanie się” powoduje, że przestaję pisać. Milknę wspólnie z Michałem: podwójna niemota. Nie jestem w stanie wyrazić tego, co się dzieje. Czego? Rozpaczy i bólu. Proszę w liście Lucyne, by pisała za nas obie, bo ja nie wiem, kiedy do tego wrócę. I czy w ogóle.

Ale w sprawie syna Bronakowska podejmuje natychmiastowe działania. Wie, że czas gra ogromną rolę. Im dziecko młodsze, tym mózg bardziej plastyczny i łatwiej wyprowadzać z autyzmu, który jest zaburzeniem funkcjonowania ośrodkowego układu nerwowego, objawiającym się zakłóceniami w trzech sferach: komunikowania się, budowania relacji z innymi oraz brakiem elastyczności w zachowaniu. Często pojawiają się również trudności z integracją wrażeń zmysłowych.

Pierwszy, drugi, trzeci telefon, Beata umawia Michała na terapie – behawioralne, sensoryczne, psychologiczne, indywidualne, z czasem też grupowe. Trzy razy w tygodniu po cztery godziny pod okiem specjalistów, potem jeszcze ich wspólna praca w domu. Dzieli się z mężem obowiązkami: ona zajmuje się dzieckiem, on zarabia na życie.

W styczniu 2012 roku terapeutka chwali Michała, jest drugim dzieckiem, które tak szybko zaczyna mówić. Michałowe mówienie w owym czasie polega na wydawaniu głosek stanowiących szczytki poszczególnych wyrazów. Np. swoje imię dzieli na pół: albo jest „Mi”, albo „Chał”. Kiedyś niespełna trzyletni synek terapeutki na widok Michała krzyknie: „O, Michał!”. Bronakowska uzna go za geniusza.

– Tak naprawdę mowa Michała ruszy w roku 2012 po powrocie z turnusu rehabilitacyjnego w Ochojnicy Dolnej. Michał nagle zaczyna wszystko komentować: mama siedzi, mama pije, mama czyta, ja siedzę, ja jem, mama ziewa, a ja jeżdżę rowerkiem. Pamiętam z tego czasu takie zdarzenie: Michał budzi się rano, ja też zrywam się na nogi i zaczynam nucić piosenkę, którą dzieci codziennie śpiewały w przedszkolu: „Witaj, Michał, witaj, Michał, jak się masz, jak się masz, wszyscy cię witamy, wszyscy cię witamy, bądź wśród nas, bądź wśród nas!”. I wtedy usłyszałam z jego łóżeczka cichutkie: „Witaj, mama, witaj, mama, jak się masz, jak się masz”.

Oślupiałam. Kilka dni później Michał podszedł do mnie i powiedział: „będzie dobrze”.

Zachwyt

Gdy ktoś pytał, kim będzie, jak dorośnie, mówiła: poetką. Ona tego nie pamięta, ale tak mówi jej mama.

Za to dobrze pamięta Izę Basińską, charzmatyczną polonistkę z podstawówki. Początkowo Bronakowska z wypracowań dostaje tróje, za przecinki – ich brak lub nadmiar. Potrafi się o nie wyklócać. Interpunkcja jest pretekstem – uczennica chce w ten sposób zwrócić na siebie uwagę. Basińska powie jej jeszcze, że ma pracować nad stylem, i zachęca do pisania dziennika, co konsekwentnie czyni do teraz.

Po latach Basińska z Bronakowską przejdą na ty. Beata mówi o niej: „moja mistrzyni”.

W końcówce liceum Bronakowska zajmie trzecie miejsce w olimpiadzie polonistycznej. Czyta z zachwytem Miłosza, można mówić nawet o uzależnieniu. Bliższe są jej Miłoszowskie wątki związane z przemijaniem, z nieustannym powracaniem do przeszłości, do dzieciństwa i młodości na Wileńszczyźnie.

Ma indeks w kieszeni – to nagroda dla finalistów olimpiady. Iza Basińska namawia ją na studia w Krakowie, bo cyganeria, bo Piwnica pod Baranami, bo poeci, bo muzea, koncerty, atmosfera, Rynek.

Nie żałuje. Powie, że tu przeżywa „rozkwit młodości”. Kryzys przychodzi na trzecim roku: „formuła studiów mnie rozczarowuje”. Pracę magisterską pisze o Miłoszu jako krytyku literackim. W 1998 r. jedzie do Warszawy: mąż, prawnik, dostaje tam dobrą posadę. A Bronakowska zaczyna kolejne studia: *gender*. Jest rok 2001.

– W końcu zaczynam czytać książki pisane przez kobiety, na polonistyce omawialiśmy głównie autorów-mężczyzn – wspomina początek XXI wieku.

Dopytuje: – Ważna jest płęć autora? A nie sam fakt, że książka wartościowa?

– Kiedyś wydawało mi się, że płęć twórcy nie ma większego znaczenia. Z czasem przekonuję się coraz bardziej, że język jest też mocno zmysłowy, cielesny, a skoro w grę wkracza ciało, to nieuchronnie pojawiają się i doświadczenia z nim związane. W przypadku kobiet cała ta sfera związana najpierw z dojrzewaniem, potem z seksualnością, porodem i w ogóle doświadczeniem macierzyństwa, wreszcie ze szczególnie dla nas bolesnym procesem starzenia się.

Bronakowska docenia zajęcia z Agatą Araszkiewicz dotyczące relacji matki i córk

w literaturze. Czytają Virginie Woolf, Anielę Gruszecką, Colette. Na zaliczenie zajęć Araszkiewicz poprosi o esej. Temat dowolny. Bronakowska pisze o relacji ze swoją matką. Wykładowczyni powie: w trakcie lektury płakałam. Zachęca Bronakowską do pisania.

Więc pisze – i prozę, i poezję. W 2004 roku w „Pograniczach” ukazuje się jej opowiadanie „Jezioro”. Pojawia się w nim dwóch bohaterów – ojciec, który umiera, i matka, która jest postacią centralną.

– To dla mnie bardzo ważny rok – mówi Bronakowska. – Umiera mój „rodzony” ojciec i ojciec duchowy, Czesław Miłosz. Odkładam Miłosza na półkę, przestaję go czytać. Moje wiersze z tamtego okresu są nim przesiąknięte. Wiem, że muszę „odtruć się”, odnaleźć swój głos. Sporo czasu mi to zajmie.

– A matka i córka? Dlaczego ta relacja jest tak istotna? – pytam.

– Mammy przekazy „syn–matka”: Miłosz, Słowacki – mówi Bronakowska. – A niewiele relacji, w których matka mówi o swoim dziecku. W 2007 r. zaczęłam pisać większy tekst o relacji z moją mamą, ale w pewnym momencie utknęłam. Może teraz do tego wrócę. Genealogia kobieca jest dla mnie ważna. W mojej rodzinie kobiety nie pisały wprawdzie wierszy czy opowiadań, ale przekazywały sobie wiedzę o świecie i o swoim życiu poprzez ustne narracje. To były bajarki, kronikarki, jak moja babka Aniela. Zauważyłam, że schedę po niej przejęła moja matka. I teraz ona powtarza na głos wiele jej opowieści, do których nauczyła się dodawać własne.

– Fascynujące jest to porównywanie historii przekazywanych przez kolejne pokolenia kobiet i szukanie dla nich formy – kontynuuje Bronakowska. – Wciąż zajmuje mnie kwestia, w jaki sposób opisać losy babki Anieli czy Heleny, ich życie na wsi i ciężką pracę na gospodarstwie, rozległe kontakty rodzinne i sąsiedzkie, liczne porody, czy też doświadczenia z czasów drugiej wojny. A jaki język będzie najlepszy do opisu życia mojej matki, która wprawdzie wyrwała się już do miasta i pracowała jako urzędniczka, ale której losy też były niełatwe?

Babcia Aniela opowiedziała mi, jak jej babcia Franciszka przepowiedziała swoją śmierć. Babcia nie żyje od 2011 roku – to kolejna ważna data. Śmierć babci i diagnoza Michała – śmierć moich złudzeń.

Ale byłam na tyle przytomna, żeby opowiedzieć babci nagrywać na dyktafon. W 2015 roku coś mnie tknęło, wróciłam do jednego z nagrań i jej relację przerobiłam na wiersz. Pełnię tu funkcję wyłącznie medium. Przeczytać?

„Franciszka babka moja ostatnie / dwadzieścia lat w łóżku przeleżała / bo chore nogi miała i z jedzeniem / miseczkę zawsze żegnała / i różaniec co dzień mówiła / a co piątek tylko chleb i woda / na wieczór taka modląca była / mama moja co niedzielę ją obmywała / i bieliznę długą zakładała / jednej niedzieli babka jej powiedziała / *Ja nie chcę tej bielizny / ty mnie daj tę co na śmierć ja mam* / syny jej przysłali ubranie / piękne czarne z Ameryki / pamiętam taki czepek na głowę biały / i fartuch też haftowany / powtarzała żeby przynieść jej to ubranie / mama mówi: *Wy umierać nie będziecie* / i nie przyniosła jej ale tata / na chrzciny do Karolin / już nie pojechał razem z nim / Ania siostra moja / została a babka ciągle o wodę prosiła / co zanieś Ania tej wody / to ona nogi myje i znowu *Wody* / tak twarz myła i nogi myła / potem Ania bułeczki usmażyła / i ona jedną bułeczkę zjadła / *Resztę ja pod poduszkę położyła / na drogę będę miała* / nad wieczór tata poszedł krowy poić / a ona do Ani: *Weź ty mnie pod ręce i do okna doprowadź* / wntczas zobaczyła tatkę / syna swojego Wawrzyńca / jak krowy poi i mówi: *Jaki świat miły jaki ten świat miły* / Ania okno otworzyła *Tatusiu* / ledwie zdążyli na łóżko ją donieść / No zobacz jak wiedziała kiedy umrze”.

Moja mama – dodaje Bronakowska – przeczytała ten wiersz na zaduszkowym spotkaniu Poetów Augustowskich, bardzo się spodobał. I uruchomił w ludziach pamięć – zaczęli opowiadać swoje rodzinne historie.

Gdy pytam o wspomnienia z mamą, mówi o pływaniu kajakami po augustowskich jeziorach i wspólnie jedzonych plackach ziemniaczanych, które kiedyś można było kupić na plaży.

– Mama była mną zachwycona, trochę jak matka Colette, Sido, która mawiała do córki: jesteś moim arcydziełem. Tym darowanym mi zachwytem karmiłam się, gdy było mi tak strasznie ciężko. Życie daje popalić, bywa bezlitosne. A ta bezwarunkowa miłość okazywana dziecku jest dla niego kapitałem na zawsze. Lepiej ją nawet dać na wyrrost, w nadmiarze, by w przyszłości miało z czego czerpać.



PIOTR SĄDURSKI DLA „JP”

**Mama była
mną zachwycona,**
trochę jak matka Colette,
która mawiała do córki: jesteś
moim arcydziełem. Tym
darowanym mi zachwytem
karmiłam się, gdy było mi tak
strasznie ciężko.

Światło

W 2014 roku Bronakowska przechodzi kryzys.

– Straciłam impet z początku terapii, kiedy myślałam, że wszystko od razu da się wyleczyć – mówi. – To były skutki przewlekłego stresu. W czasie odwiedzin w Augustowie poszłam z Michałem do Izy Basińskiej. My przy stoliku – kawka, ciastko – a Michał zajmuje się wyciąganiem książek z półek i sprawdzaniem, ile mają stron. Rzuca je na podłogę i wyciąga następne. Najbardziej fascynowały go te tysiącstronicowe z białymi błyszczącymi kartkami. Zrzędziłam: „Proszę, nie rusz tego, proszę, posprzątaj po sobie”. Iza uspokaja, że nic nie szkodzi i niech sobie robi to, co chce. A ja i tak nie potrafiłam się wyluzować.

Następnego dnia czytam esemesa od Izy, że jest pod wrażeniem Michałka i że musi to ze mną przegadać. Spotkałyśmy się już same. Iza wręcza mi kartkę, poznaję jej charakter pisma. Czytam: „Bardzo posłuszny, ale sztuczny; oddzielnie matka i syn; przestań być matką; zapisuj, jak się zmienia, a właściwie odkrywaj go jako niesamowitą istotę, nie jak syna; nie przerabiaj go na klasyczny schemat dziecka,

odkrywaj jego świat w najdrobniejszych szczegółach”.

Posłuszny, ale sztuczny; zabolalo, zirykowałałam się. Ona widzi Michała po prawie trzyletniej intensywnej terapii, kiedy mogę go wreszcie zabrać do czyjegoś domu bez lęku, że nagle zwali na ziemię telewizor, jak kiedyś u mojej matki. To były zachowania, które go ze świata raczej wykluczały.

I marzyłam właśnie o tym, aby Michał był dzieckiem „klasycznym”. Żebyśmy mogła z nim pójść choćby do spożywczego i żeby on mi tam nie biegał jak w amoku i nie zrzucił z półek tego czy tamtego, a potem żebyśmy mogła poczekać te kilka minut w kolejce bez wrywania się z jego strony i spokojnie w kasie zapłacić, i już nie musiała znosić tych spojrzeń, które jedno tylko zwykle wyrażały: jaki to rozpieszczony bachor jest! Tak, marzyłam, żeby pójść do kawiarni, zamówić sobie kawę, a jemu soczek i żeby on nie zrywał się po trzech minutach zaraz po jego wypiciu i nie pędził na oślep prosto na ulicę. I jeszcze marzyłam, żeby można go było zabrać do teatryku dla dzieci i żeby po niespełna pół godzinie nie krzyczał, że już nie chce tu być, że chce wyjść, wyjść! Natychmiast, już! Myślę, że jednak nie o taki indywidualizm tu szło.

Ale w jednej kwestii Iza miała absolutną rację. Musiałam przestać być tylko matką, bo to doprowadziło mnie do psychicznej ruiny i paradoksalnie oddaliło od własnego dziecka – mówi.

Latem 2015 roku Bronakowska wyśle trzynaście wierszy, w tym kilka o Michale, do Biura Poetyckiego na „Połów” – to projekt skierowany do poetów przed debiutem książkowym. Znajdzie się w finale wspólnie z koleżanką z Augustowa, Urszulą Sienkowską-Cioch.

– Wtedy mogło się coś zadziać – wytworzyła się specyficzna energia, ferment. Czytaliśmy wiersze w Kołobrzegu na plaży, w Gdańsku na Starówce, w centrum Stronia Śląskiego. Dwie starsze poetki wśród młodzieży 20 plus. Czuło się inność doświadczenia i inność języka – mój wydawał mi się archaiczny. Godzinami słuchałam poezji młodszych, która może nawet nie robiła na mnie wrażenia, ale wnikała we mnie jak mgła. To właśnie ta cielesność tekstu.

Wróciłam do domu, napisałam wiersz i zobaczyłam, jak bardzo zmienił się mój język. W październiku zaczyna powstać pierwszy tomik. Po kilku wierszach →

→ orientuję się, że układają się one w cykl. Tytuł, „Proś o kolor”, zaczerpnę z filmu „Mój Nikifor”. Jest tam scena, kiedy Nikifor do swojego uczonego kolegi mówi: „Źle maluje. Trzeba prosić o kolor”.

W tym czasie Michał zaczyna tworzyć rysunki, które przypominają sztukę naiwną – więc i tu odzywa się Nikifor. Bronakowska: – Te rysunki ilustrują mój tomik. „Dziecko bez głowy” trafi na okładkę.

Michał z czasu diagnozy i dzisiejszy dziecięciolatek to dwie różne osoby.

– Reaguję na moje emocje. Gdy zdarza mi się płakać, pyta: dlaczego jesteś smutna? Ma coraz lepszy kontakt wzrokowy, a patrzenie w oczy to bodziec dla ludzi z autyzmem ogromnie stresujący, sprawiający im czasami nawet ból fizyczny. Bo to chodzi o coś więcej, o rozumienie potrzeby uzyskania informacji, jak druga osoba rozumie to, czego wspólnie doświadczamy, co czuje, jak myśli, co jest dla niej ważne. Rzecz piekielnie trudna dla autystów, którzy potrzeby uważności na drugą osobę zwykle nie mają.

Jestem dumna z Michała, że ma tyle potencjału. Rysuje, rymuje. Kiedyś zamiast „autystyczne” napisałam „artystyczne” – pięknie te dwa słowa nakładają się na siebie. Na nowo zachwyciłam się własnym dzieckiem. „Proś o kolor” to nasz dwugłos – Michał w nim prowadzi swoją

osobną narrację, ja jestem tylko jego medium, jak w przypadku babci Anieli. Tytułowy „kolor” dostałam od dziecka, poprzez Michała weszło światło w moje życie. Wcześniej byłam zadaniowa, taka matka-terapeutka. Nie mogłam z synem złapać kontaktu, próbowałam się wdzierać do jego świata, ale na moich zasadach. A teraz Michał jest moją muzą. Widzę chłopczyka, który potrafi coś udawać, czyli załapał, czym jest zabawa symboliczna – kilka lat temu to było nie do pomyslenia. Jasne, czasami się wścieka, bywa nieznosny, ma problemy z koncentracją – nad tym wciąż pracujemy. Kiedyś jak pytałam Michała, jaki będzie dzień tygodnia 23 marca 2020 r., to on bezbłędnie odpowiadał. Byłam przekonana, że miał pamięć skanową – przeglądał roczniki kalendarzy i stąd brała się ta wiedza. Ostatnio podpytałam, jak to robi, a on mi wytłumaczył swój system obliczania: trzeba pamiętać, że za rok będzie o dzień do przodu, ale też trzeba pamiętać, że za cztery lata będzie rok przestępny itd. Wcześniej o tym nie mógł opowiedzieć, bo jego język nie był na tyle rozwinięty.

Tomik „Proś o kolor” ukazał się pod koniec zeszłego roku w wydawnictwie Universitas. Otrzymał też nagrodę w Konkursie im. Anny Świrszczyńskiej za najlepszy debiut. „Cierpienie i radość”, brzmi tytuł

ostatniego, pośmiertnego zbioru wierszy Świrszczyńskiej.

– Te dwa obszary doświadczenia, cierpienie i radość – mówi Bronakowska – są mi ogromnie bliskie. Przechodzenie od emocji dotkliwych i paraliżujących do nadziei i działania. Świrszczyńska jest jedną z moich ukochanych poetek, czytałam ją jeszcze w szkole, zwłaszcza jej dwa tomiki: „Jestem baba” i „Zbudowałam barykadę”.

Ostatnio jest mi szczególnie bliska, kiedy pisze o ambiwalencji macierzyństwa. Weźmy wiersz „Macierzyństwo”, w którym najpierw pojawia się obraz: „Urodziłam życie / Wyszło krzycząc z moich wnętrzności / i żąda ode mnie ofiary z mojego życia”, aby za chwilę wyłonił się kolejny, zanurzony już w innej zupełnie energii: „Pochyliłam się nad małą kukielką (...) i oto zalewa mnie / wysoka, jasna fala pokory. / Bezsilna tonę”.

Pamiętam jeszcze swój zachwyt nad książką autorstwa Agaty Araszkiewicz „Wypowiadałam wam moje życie. Melancholia Zuzanny Ginczanki”, pokazującą, jak ból może kobietę twórczo uaktywnić. Poprosiłam Agatę o dedykację, to był rok 2004. Nie planowałam jeszcze, że będę matką. Agata napisała: „Dla Beaty, aby łączyła w sobie melancholię i żalobę z otwarciem na świat. I aby nie przestała pisać”. © KATARZYNA KUBISIOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy
na
„Lekcje
czytania”



KUBISIOWSKA O PILCHU

W poniedziałek 21 maja w II LO im. ks. prof. Józefa Tischnera w Rabce-Zdroju KATARZYNA KUBISIOWSKA dyskutowała z młodzieżą o tym, gdzie kończy się felieton i zaczyna literatura. Przyczynkiem do rozmowy były felietony Jerzego Pilcha „Boski Janusz”, „Stary Kubica i ciemność” oraz „Uwagi o samotności”.

„LEKcje CZYTANIA” NA COPERNICUS FESTIVAL

Środa, 23 maja, o godz. 11.00 ŁUKASZ LAMŻA poprowadzi spotkanie wokół książki „Kwantowy kosmos. Od wczesnego świata do rozszerzającego się uniwersum” Clausa Kiefera, a o godz. 13.00 ŁUKASZ KWIATEK przeczyta z uczestnikami „Od bakterii do Bacha” Daniela Dennetta.

Czwartek, 24 maja, o godz. 11.00 ŁUKASZ KUREK zachęci uczniów do dyskusji o „Pułapkach myślenia. O myśleniu szybkim i wolnym” Daniela Kahnemana.

Natomiast o godz. 13.00 BARTŁOMIEJ KUCHARZYK spotka się z młodzieżą, by analizować „Piłkomatykę. Matematyczne piękno futbolu” Davida Sumptera.

Piątek, 25 maja, godz. 11.00, ostatnia lekcja w festiwalowym cyklu dotyczyć będzie książki „Filozofia przypadku. Kosmiczna fuga z preludium i codą” Michała Hellera. Prowadzenie – MICHAŁ JAKUBIEC.

Program festiwalu: copernicusfestival.pl

■ Chcesz zorganizować u siebie „Lekcje czytania” – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl



COPERNICUS
FESTIVAL



EUROPA

Z WIDOKIEM NA PRZYSZŁOŚĆ

TRADYCJA. TOŻSAMOŚĆ. WARTOŚCI 1918 – 1989 – 2018

VI EUROPEJSKIE FORUM W GDAŃSKU

28 maja 2018

14.00–16.30

SEMINARIUM

Czy jest możliwa zmiana polskiej narracji o wspólnocie europejskiej?

Wprowadzenie

/ Basil Kerski, dyrektor Europejskiego Centrum Solidarności

29 maja 2018

10.00–12.00

OTWARCIE FORUM

PANEL I

Europa 1918 – 1989 – 2018 | Tradycja. Tożsamość. Wartości

Wystąpienia

/ Basil Kerski, dyrektor Europejskiego Centrum Solidarności

/ Jarosław Sellin, sekretarz stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Paniści

/ Daniel Beauvois, historyk, slawista, pisarz, tłumacz

/ Włodzimierz Borodziej, historyk, nauczyciel akademicki, Uniwersytet Warszawski

/ Olga Irisowa, analityczka polityczna, redaktor naczelna portalu Riddle

Prowadzący

/ Michał Wójcik, historyk, dziennikarz

13.00–14.30

PANEL II

Polityczne i kulturowe dziedzictwo 1968 roku

Paniści

/ Mieczysław Abramowicz, pisarz, teatrolog, dramaturg

/ Bogdan Borusewicz, polityk, historyk, działacz opozycji demokratycznej w czasach PRL, wicemarszałek Senatu RP, uczestnik demonstracji w marcu 1968 w Gdańsku

/ Georges Mink, historyk, Francuska Akademia Nauk, Kolegium Europejskie w Natolinie

/ Eugeniusz Smolar, dziennikarz, działacz opozycji demokratycznej w czasach PRL, uczestnik demonstracji w marcu 1968 w Warszawie

/ Gabriela Svárovská, zastępczyni dyrektora Praskiego Centrum Społeczeństwa Obywatelskiego

Prowadzący

/ Marcin Żyła, dziennikarz, zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego”

18.00–20.00

AMBASADOR NOWEJ EUROPY

Wręczenie nagrody i dyskusja z laureatem

oprawa muzyczna | Marcin Kozioł Quintet, Bałkańska Muzyka dla Pokoju na Świecie

30 maja 2018

10.00–11.30

PANEL III

Europejska ekonomia po kryzysie

Paniści

/ Eoin Drea, ekonomista, historyk, Wilfried Martens Centre for European Studies

/ Dariusz Filar, ekonomista, nauczyciel akademicki, pisarz, członek Rady Polityki Pieniężnej (2004–2010)

/ Sebastian Płóciennik, ekonomista i prawnik, kierownik Programu ds. Trójkąta Weimarskiego w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych

Prowadząca

/ Irene Hahn-Fuhr, politolożka, dyrektorka warszawskiego biura Fundacji im. Heinricha Bölla

12.30–14.00

PANEL IV

Żadnych zmian na Wschodzie?

Paniści

/ Andriej Jurow, obrońca praw człowieka, filozof i trener, Międzynarodowa Szkoła Praw Człowieka i Aktywności Obywatelskich

/ Natalia Kurdiukowa, dziennikarka, aktywistka, Nakipelo.ua

/ Wacław Radziwinowicz, dziennikarz, wieloletni korespondent „Gazety Wyborczej” w Rosji

/ Paulina Siegień, publicystka, dziennikarka, „Gazeta Wyborcza”

Prowadzący

/ Adam Reichardt, dziennikarz, publicysta, redaktor naczelny „New Eastern Europe”

16.00–18.00

PANEL V

Europa z widokiem na przyszłość. Tradycja. Tożsamość. Wartości

Wprowadzenie

/ Robert Alagjovzovski, filozof, minister kultury Macedonii

Paniści

/ Paweł Kowal, historyk, publicysta, Polska Akademia Nauk

/ Mykoła Riabczuk, krytyk literacki, pisarz

/ Beata Stasińska, wydawczyni, redaktorka, animatorka kultury

Prowadząca

/ Agnieszka Lichnerowicz, dziennikarka, Radio TOK FM

28–30/05/2018

Gdańsk, Europejskie Centrum Solidarności
rezerwacja miejsc | ecs.gda.pl/europazwidokiem

organizatorzy



GDAŃSK
miasto wolności

ecs.gda.pl

ŁASKA CIEMNOŚCI

Wbrew teologii przydającej Maryi wręcz boskie przymioty
matka Jezusa często nie rozumiała swojego Syna.
Co mogą oznaczać dla nas jej trudności w wierze?

JÓZEF MAJEWSKI

SŁOWO „TRUD” NALEŻY DO WAŻNIEJSZYCH w słowniku papieża Franciszka. W polskim przekładzie jego programowej adhortacji „*Evangelii gaudium*” występuje blisko 40 razy. W życiu i wierze Matki Jezusa, zgodnie ze świadectwem Biblii, papież widzi źródło światła, które pomoże pojąć sens trudności w życiu i wierze Kościoła oraz każdej uczennicy i ucznia Chrystusa.

Wierze Maryi – uważa papież – nie brakowało zmagania z trudnościami. Cztery Ewangelie wskazują, że w niektórych sytuacjach nie rozumiała postępowania i nauczania Jezusa, a nawet robiła Mu wyrzuty. Wśród nielicznych maryjnych tekstów Nowego Testamentu znajdziemy i takie, które bibliści określają mianem antymaryjnych, stawiających mariologię katolicką przed nadzwyczaj trudnymi problemami interpretacyjnymi.

Akcentowanie trudności na drodze wiary Matki Jezusa może zaskakiwać, ale Franciszek nie jest w tym oryginalny – nawiązuje do rozważań Jana Pawła II z encykliki „*Redemptoris Mater*”. Z obu dokumentów wynika, że trudności wiary Maryi mogły wręcz przyjmować postać – papież sięgają tu po język wielkiej mistyki – „ciemnej nocy wiary”.

Mariologia na wyrost

Nawet dziś można jeszcze usłyszeć, że Maryja posiadała nadzwyczajną, wręcz doskonałą teologiczną wiedzę wlaną – wszak była Matką wszechwiedzącego i wszechmocnego Boga. A jednak w tej materii

Franciszek nie pozostawia złudzeń, wieńcząc adhortację słowami (nr 287): Maryja „dała się prowadzić Duchowi na drodze wiary, ku przeznaczeniu służby i płodności. Dzisiaj ku Niej kierujemy spojrzenie, by pomogła nam głosić wszystkim orędzie zbawienia i aby nowi uczniowie stawiali się ewangelizatorami. W tym pielgrzymowaniu ewangelizacji nie brakuje okresów jałowości, ukrywania się [wł. *nascondimento* chyba lepiej przetłumaczyć jako »ciemność« lub »zasłonięcie« – JM], a nawet pewnego utrudnienia, jak to, które przeżywała Maryja w latach spędzonych w Nazarecie, gdy Jezus wzrastał”. I dalej cytuje Jana Pawła II: „Nie trudno jednak dostrzec (...) także swoisty trud serca, jaki związany jest z »ciemną nocą wiary« – używając słów św. Jana od Krzyża – jakby z »zasłoną«, poprzez którą wypada przybliżać się do Niewidzialnego i obcować z tajemnicą. W taki też sposób Maryja przez wiele lat obcuje z tajemnicą swojego Syna i idzie naprzód w swojej pielgrzymce wiary”.

Jan Paweł II chyba jako pierwszy biskup Rzymu tak wyraźnie akcentował trudności w wierze Matki Jezusa. Wykorzystał swoją pasję, jaką było zgłębianie twórczości jednego z największych mistyków w dziejach Kościoła – Jana od Krzyża. Teologia hiszpańskiego świętego z XVI wieku posłużyła papieżowi do tego, by – przez analogię – zrozumieć doświadczenia, postawę i słowa Maryi. Ta analogia pozwoliła Janowi Pawłowi II podkreślić, iż „ciemna noc wiary”, zgodnie z jej

sensem mistycznym, w istocie jest łaską Bożą. Innymi słowy: trudności w wierze pojawiają się nie z winy człowieka, ale z woli Boga, i prowadzą ostatecznie do miłosnego z Nim zjednoczenia. Analogia ta umożliwiła papieżowi wyrazić coś z przepastnej – w jego rozumieniu – „szerokości i głębokości” owych trudności, jakie mogła przeżywać sama Matka Boża.

W „ciemnej nocy wiary” – jak ujął to o. Anselm Grün – „ludzie doświadczają uczucia własnej bezsilności, bezbronności i nagości, samotności, opuszczenia i wyobcowania. Czują się bezwartościowi, wewnętrznie odwrócenii, winni i grzeszni. Doświadczenie to jest przesycone strachem, beznadziejnością i bezsensownością. Człowiek przeżywa w sobie głęboką ciemność. (...) Jest to bolesne doświadczenie pustki i ciemności”. Tego rodzaju trudności wiary w przypadku Maryi – czy to na pewno możliwe?

Autorowi polskiego tłumaczenia „*Redemptoris Mater*” „ciemna noc wiary” u Matki Boga wydała się nie do przyjęcia. Poczuli się zmuszeni, by w kilku miejscach wygładzić papieską charakterystykę wiary Maryi. Oto dwa znaczące przykłady.

Wyniszczenie wiary

W polskim tekście tej encykliki czytamy: „Uwierzyć – to znaczy »powierzyć siebie« samej istotnej prawdzie słów Boga żywego, znając i uznając z pokorą, »jak

Matka Boska – rewers obrazu dwustronnego, deska, farba olejna, koniec XIX w., Polska



→ niezbadane są Jego wyroki i niezgłębione Jego drogi» (por. Rz 11, 33). Maryja, która z odwiecznej woli Najwyższego znalazła się – rzecz można – w samym centrum owych niezgłębionych dróg oraz niezbadanych wyroków Boga, poddaje się w półcieniu wiary, przyjmując całkowicie i z sercem otwartym to wszystko, co było przewidziane w planie Bożym” (nr 14).

W łacińskim oryginale papież pisze: „*in umbra fidei*”, czyli po prostu „w cieniu wiary”. Dodajmy, że „*in umbra fidei*” można oddać także wręcz przez „w ciemności wiary”. W liczbie mnogiej łacińskie „*umbræ*” oznacza „podziemny świat umarłych”, gdzie panują już tylko ciemności. Papież i w tym miejscu posługuje się zatem językiem mistyki, która zna „noc” czy też „cień wiary”, ale nie zna jej „półcienia”.

Nieco dalej (nr 18) w polskim tłumaczeniu encykliki dowiadujemy się, że pod krzyżem Jezusa wiara Jego Matki była „pełna światła”: „Jest to chyba najgłębsza w dziejach człowieka »kenoza« wiary. Przez wiarę Matka uczestniczy w śmierci Syna – a jest to śmierć odkupieńcza. W przeciwieństwie do uczniów, którzy uciekli, była to wiara pełna światła”. Z tłumaczenia wynika, jakby właśnie na Golgocie miała ustać „ciemna noc wiary” Maryi, jakby w ciemności Jej wiary – na widok ukrzyżowanego Syna – nagle wybuchło oślepiające światło. Tymczasem w oryginale łacińskim papież wiarę Matki Jezusa porównuje z wiarą uczniów inaczej. Piśze, że wiara ta „*multo magis erat illuminata*” – a zatem nie: „była pełna światła”, ale: „była dużo bardziej oświecona”. To zupełnie co innego!

W ujęciu Jana Pawła II o ile uczniowie pod krzyżem Jezusa stracili resztki wiary, o tyle wierze Maryi wystarczyło choćby nikłe czy blade światelko, by w porównaniu z (nie)wiarą uczniów okazała się dużo bardziej oświecona. Jak zresztą można zgodzić się na „pełnię światła”, jeśli Maryja pod krzyżem swojego Syna – według „*Redemptoris Mater*” – przeżyła „kenozę” wiary, i to najgłębszą w dziejach człowieka „kenozę”, czyli wyniszczenie?

Łukasz: czego Maryja nie rozumiała

O trudnościach w wierze Maryi jeszcze przed wydarzeniami na Golgocie traktują dwie ewangelijne perykopy: o odnalezieniu dwunastoletniego Jezusa w świątyni (Łk 2, 41-50) oraz o dorosłym już Jezu-

„Ciemna noc” wiary przeżywana przez Maryję

oznacza, że trudności nie muszą być czymś niezwykłym i niechcianym, że mogą być naturalne w życiu chrześcijan.

sie i Jego prawdziwych krewnych (Mk 3, 20-35). Oba opowiadania należą do tzw. tekstów antymaryjnych, kłopotliwych dla mariologii katolickiej. Łatwiej radzono sobie z opowiadaniem Łukasza, gorzej z historią Marka, którą zwykle pomijano albo – jak w „*Redemptoris Mater*” – omawiano ogólnie, harmonizując z maryjnymi informacjami innych ewangelistów.

Zasadniczy problem z opowiadaniem o odnalezieniu Jezusa w świątyni wiązał się ze słowami o niezrozumieniu Jezusa przez Maryję (i Józefa), słowami, które zdawały się przeczyć przekonaniu o tym, że doskonale znała i rozumiała tajemnicę Syna. Jak pogodzić to ze zwiastowaniem anioła i dziewiczym poczęciem Jezusa? – pytano. Ostatecznie z antymaryjną wymową tekstu jedni teologowie radzili sobie np. w taki sposób, że zaimek „oni” („oni jednak nie zrozumieli...”) odnosili nie do Józefa i Maryi, ale do świadków ich rozmowy z Jezusem w świątyni. Inni przyjmowali, że niezrozumienie Józefa i Maryi nie dotyczy słów: „Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego Ojca?”, ale jakiejś innej, niepodanej przez Łukasza, tajemniczej wypowiedzi.

Dzisiaj ze świecą szukać poważnych badaczy, którzy przyjmowaliby takie wyjaśnienia. Jedną z najciekawszych interpretacji zaproponował francuski mariolog ks. René Laurentin, którego intuicje i inspiracje – jak się zdaje – można odkryć w „*Redemptoris Mater*”. Według niego Łukasze opowiadanie to przykład charakterystycznego dla Jezusa symbolicznego, a tym samym tajemniczego stylu działania i wypowiedzania się, co z natury rzeczy – bez winy słuchaczy – musiało rodzić niezrozumienie. Także Maryja nie była w stanie w pełni pojąć postępowania swojego Boskiego Syna, kiedy decydował

się na symboliczne czyny i słowa. Zatraskana o Jezusa, którego trzy dni szukała „z bólem serca” (greckie słowo „*odynoma*” w innych miejscach Ewangelii Łukasza ten sam tłumacz Biblii Tysiąclecia oddaje – słusznie – przez „straszenie cierpieć” i „cierpieć męki”), nie potrafiła zrozumieć dwóch rzeczy.

Po pierwsze nie pojęła misternej gry słów w ustach Syna: ona „Jego ojcem” nazywa Józefa, Jezus – Boga. Po drugie Maryja nie była w stanie uchwycić w słowach Syna profetycznej aluzji do Jego śmierci i zmartwychwstania – do odnalezienia Go „po trzech dniach” (zob. Łk 2, 46; 24, 7. 21) i do Jego odejścia z tego świata do domu Ojca. Laurentin był przekonany, że ów profetyczny sens słów Jezusa ostatecznie musiał dotrzeć do Jego Matki później, co mają zapowiadać słowa, które Łukasz zanotował bezpośrednio po zdarzeniu w świątyni: „Potem [Jezus] poszedł z nimi i wrócił do Nazaretu; i był im poddany. A Matka Jego chowała wiernie wszystkie te wspomnienia w swym sercu” (2, 51).

Ostatecznie Laurentin doszedł do wniosku, który zbliża jego mariologię do tej Jana Pawła II: Maryja „w życiu swoim uczestniczyła w tym, co jest wspólne ludzkiej kondycji, w uniżeniu i ubóstwie (...). Jej wiara nosiła znamiona wspólne wierze każdego człowieka; Jej szczęście nie było szczęściem widzenia, ale wiary, która poznaje Boga jakby w zwierciadle, w ciemności. Maryja rozumiała nie poza czasem, nie bez wysiłku przemyślenia, nie bez trudu, jak również nie bez doświadczenia prób (...) czy rozwoju albo postępu w wierze, o czym otwarcie naucza Konstytucja (...) »*Lumen gentium*«: *in peregrinatione fidei processit*, »szła naprzód w pielgrzymce wiary«. Ewangelista Łukasz (zob. 2, 50: »Oni jednak nie zrozumieli tego, co im powiedział«) znacząco ukazuje nam świadectwo o tym niezrozumieniu i zarazem postępie”.

Marek: jednomyslnie na modlitwie

W rozdziale trzecim Ewangelii św. Marka czytamy: „Potem [Jezus] przyszedł do domu, a tłum znów się zbierał, tak że nawet posilić się nie mogli. Gdy to posłyszeli Jego bliscy, wybrali się, żeby Go powstrzymać. Mówiono bowiem: »Odszedł od zmysłów«. (...) Tymczasem nadeszła Jego Matka i bracia i stojąc na dworze, posłali po Niego, aby Go przywołać. Właśnie tłum ludzi siedział wokół Niego, gdy Mu



Święta Rodzina Kaliska, płótno, farba olejna, ok. 1820 r., Sopotnia Wielka

powiedzieli: »Oto Twoja Matka i bracia na dworze pytają się o Ciebie«. Odpowiedział im: »Któż jest moją matką i [którzy] są braćmi?«. I spoglądając na siedzących dokoła Niego rzekł: »Oto moja matka i moi bracia. Bo kto pełni wolę Bożą, ten Mi jest bratem, siostrą i matką« (Mk 3, 20-21. 31-35).

Cały ten fragment, włącznie z pominiętą tu jego (integralną) częścią o wrogości uczonych w Piśmie wobec Jezusa i o grzechu przeciwko Duchowi Świętemu, uchodzi za najbardziej antymaryjne opowiadanie ze wszystkich w Ewangeliach. Dla teologii protestanckiej stanowiło ono główny biblijny argument przeciwko mariologii katolickiej, ponieważ grecka gramatyka i oryginalne słownictwo usprawiedliwiają nieprzychylną Maryi wymowę. Oto naturalna rodzina Jezusa („Jego bliscy”), włącznie z Jego matką, mówią, że zwariował, a kiedy przybywają tam, gdzie nauczał, nie wchodzi do domu, ale przez innych pytają o Krewnego, który w odpowiedzi daje do

zrozumienia, że – z jednej strony – w czasach mesjańskich istotne są nie rodzinne z Nim więzi, ale więzi duchowe, które zawiązują się dzięki pełnieniu woli Boga, oraz że – z drugiej strony – Jego krewni, razem z Maryją, nie spełniają tego duchowego warunku.

Protestancka wykładnia opowiadania Marka niewątpliwie ma mocne podstawy językowe, a i trudno nie przyjąć, że w jakiejś mierze przemawia za nią odwieczny katolicki dystans do tego tekstu. Wielu katolików odrzucało i nadal odrzuca ideowy związek między wierszami 20-21 oraz 31-35 (sugeruje to Biblia Tysiąclecia, gdzie oba fragmenty traktuje się jako niezależne, co podkreśla nadanie im osobnych tytułów: „Wzmógł się ruch” i „Prawdziwi krewni”). W rezultacie Matka i bracia Jezusa stojący pod domem, gdzie On nauczał, nie mogą być identyfikowani z „Jego bliskimi”, którzy oskarżają Go o szaleństwo i którzy chcą Go siłą powstrzymać. Te argumenty jednak nie przekonują.

Inni katolicy przyjmują, że gramatyka opowiadania Marka mimo wszystko dopuszcza interpretację przychylną, a przynajmniej neutralną dla Maryi: krewni Jezusa, włącznie z Jego Matką, chcą Go powstrzymać, ponieważ obawiają się o Niego, słysząc, że inni ludzie (np. uczeni w Piśmie) mówią, iż zwariował; udają się do Krewnego, lecz z powodu tłumów pytają o Niego przez pośredników; odpowiedź Jezusa nie wyklucza Jego krewnych z rodziny duchowej, bo jej celem jest określenie, kto może należeć do niej, nie zaś kto jest z niej wykluczony. Argumenty te są mocniejsze, ale nadal słabsze od argumentów wykładni protestanckiej.

Jakkolwiek interpretować Markowe opowiadanie, jedno wydaje się pewne: potwierdza ono, że Maryja nie rozumiała swojego Syna, że miała z tym poważne trudności, podobnie zresztą jak w Ewangelii Marka nie rozumieli Jezusa inni ludzie, także apostołowie. O niezrozumieniu tych ostatnich ewangelista mówi wielokrotnie, jak wtedy, gdy Jezus zapowiedział im swoją śmierć: „Oni jednak nie rozumieli tych słów, a bali się Go pytać” (Mk 9, 32; por. 4, 40; 6, 52; 7, 18; 8, 16; 9, 10; 9, 18; 10, 24). Musiało upłynąć nieco czasu, by zrozumieli...

Trudna wiara

Czy zrozumiela również Maryja? Ewangelista nic nie mówi na ten temat. Zapewne milczały o tym źródła, z których korzystał, pisząc swoją Ewangelię. Wiedzę o tym, że Maryja zrozumiela, posiadał Łukasz, autor zarówno Ewangelii, jak i Dziejów Apostolskich. W tej drugiej księdze czytamy, że po wniebowstąpieniu Jezusa uczniowie „wrócili do Jerozolimy (...). Przybywszy tam, weszli do sali na górze i przebywali w niej: Piotr i Jan, Jakub i Andrzej, Filip i Tomasz, Bartłomiej i Mateusz, Jakub, syn Alfeusza, i Szymon Gorliwy, i Juda, [brat] Jakuba. Wszyscy oni trwali jednomyślnie na modlitwie razem z niewiastami, Maryją, Matką Jezusa, i braćmi Jego” (Dz 1, 12-14).

„Ciemna noc” Maryi oznacza, że trudności w wierze nie muszą być czymś niezwykłym i niechcianym, że mogą być naturalne w życiu chrześcijan. Że nie dyskwalifikują wiary ani Kościoła, ani poszczególnych wierzących, jeśli przeżywa się je i traktuje jako wyzwanie, przeszkodę do pokonania, czas intensywnej modlitwy, namysłu, dyskusji, może nawet sporów – by odszukać właściwy kierunek na drodze wiary.

© JÓZEF MAJEWSKI



Parafialne księgi metrykalne, Katowice, marzec 2018 r.

HENRYK PRZONDOŃCZO / FOTO GOŚĆ / FORUM

Kłopotliwe dane

ARTUR SPORNIAK

Wbrew optymistycznym sygnałom, że Kościół katolicki jest przygotowany do RODO, czeka go wiele trudnych sytuacji po zaostrożeniu przepisów dotyczących ochrony danych osobowych.

ZGODNIE Z NOWYM UNIJNYM PRAWEM dotyczącym ochrony danych osobowych związki wyznaniowe uzyskały możliwość tworzenia własnych systemów ochrony, pod warunkiem, że zostaną one wprowadzone do 25 maja (art. 91 RODO). Kościół katolicki stworzył taki system. Episkopat opracował odpowiednie przepisy dostosowujące prawo kościelne do wymogów prawa unijnego. Dokument, którego pełna nazwa brzmi: „Dekret ogólny w sprawie ochrony osób fizycznych w związku z przetwarzaniem danych osobowych w Kościele katolickim”, otrzymał rekognicję (potwierdzenie) Watykanu.

2 maja podczas spotkania na Jasnej Górze Rada Stała Konferencji Episkopatu Polski powołała też Kościelnego Inspektora Ochrony Danych (KIOD), mającego dbać o wprowadzenie w życie nowych regulacji. Gdyby instytucja Inspektora nie powstała, nadzór nad ochroną danych osobowych w Kościele przeszedłby na państwowego Głównego Inspektora Ochrony Danych Osobowych.

Wydaje się zatem, że Kościół katolicki jest przygotowany do zmiany. Z optymizmem mówi też o niej w pierwszych wypowiedziach sam kościelny inspektor ks. Piotr Krocze, kanonista z Uniwersy-

tetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. „Kościół nie musi w tym zakresie przechodzić rewolucji, gdyż już wcześniej znał wagę ochrony tych danych. Po wspomnianej dacie zmieni się jedynie w pewnym zakresie procedura postępowania w zakresie ochrony danych” – mówił w rozmowie z KAI po nominacji. Gdy się jednak dokładniej przyjrzyć nowym regulacjom, nietrudno przewidzieć piętrzące się trudności.

Słabość prawa

Najpierw sprawa kompetencji kościelnego inspektora. Według Dekretu KIOD może żądać od administratorów danych (np. od proboszczów, ale także od biskupów) udzielenia informacji związanych z przetwarzaniem i ochroną danych; przeprowadzić kontrolę ich działań; nakazać im postępować zgodnie z przepisami. Są to jednak uprawnienia „na papierze” – inspektor nie został wyposażony w żadne narzędzia egzekwowania swoich uprawnień. Może prosić, upominać, może skarżyć się biskupowi na opieszałego czy opornego proboszcza, ale nie może np. nałożyć kary finansowej, tak jak świecki inspektor. Ostatecznie, gdy problem stanie się poważny i dotknie szczebla diecezji, KIOD może skargę skierować do Kongregacji ds. Biskupów. I na tym koniec.

Tymczasem problem jest istotny, gdyż nowa ustawa o ochronie danych osobowych, która czeka w tej chwili jedynie na podpis prezydenta, za przetwarzanie danych osobowych bez podstawy prawnej oraz za utrudnianie lub uniemożliwianie kontroli przewiduje kary do 2 lat pozbawienia wolności, natomiast kary finansowe zaczynają się od 10 tys. euro. Wystarczy więc, że sprawa trafi do świeckiego sądu, a kościelni administratorzy i inspektor mogą mieć kłopoty.

Słabością przepisów kościelnych jest też sam status KIOD. Wedle Dekretu ma to być instytucja niezależna od biskupów („Kościelny Inspektor Ochrony Danych jest niezależnym organem monitorującym i zapewniającym przestrzeganie przepisów o ochronie danych osobowych”, art. 35). Tymczasem ks. Krocze jest przecież inkardynowany do konkretnej diecezji i jako duchowny podlega swojemu biskupowi ordynariuszowi. Nawet jeśli ordynariusz w praktyce nigdy nie będzie ingerował w jego pracę jako inspektora, obrona strony, która wnie-

sie proces do sądu świeckiego przeciwko Kościołowi w jakiejś przyszłej sprawie, może próbować podważać jego niezależność.

Ten problem w jeszcze większym stopniu dotyczyć będzie diecezjalnych inspektorów, którzy mają zostać z czasem powołani. Wyobraźmy sobie zasłużonego dla diecezji proboszcza z dużym autorytetem i świetnymi relacjami z biskupem oraz młodego księdza notariusza, posłanego na studia podyplomowe na UKSW dotyczące ochrony danych osobowych i mianowanego diecezjalnym inspektorem ochrony danych – czy taki inspektor będzie w stanie cokolwiek wyegzekwować od owego proboszcza?

Można powiedzieć, że stworzone przez Episkopat przepisy zawierają w sobie strukturalny problem. Kościelny system opiera się na założeniu dobrowolnej współpracy, odpowiedzialności i dobrej woli administratorów. Jest to szczytne, ale jednak naiwne podejście. Prawo unijne, a za nim Dekret nakłada na administratorów obowiązek zgłaszania naruszenia danych inspektorowi (art. 27) oraz osobom,

których dane zostały naruszone (art. 28). Załóżmy, że naruszenie zostało spowodowane przez zaniedbanie administratora. Czy można naiwnie sądzić, że on dobrowolnie sam na siebie doniesie? Twórcy kościelnych przepisów jakby zapomnieli, że „łaska działa na naturze” i nie można zakładać działania z czystych pobudek religijnych, ignorując naturalny psychologiczny opór człowieka do składania dobrowolnej publicznej samokrytyki. Świecki inspektor ma uprawnienia do nakładania wysokich kar i w ten przykry sposób mobilizowania administratorów danych – kościelnemu inspektorowi takich narzędzi brakuje.

Nowe sytuacje

Trudności omówione do tej pory wynikają z konstrukcji przepisów. Można je zatem będzie pokonać po prostu doskonale z czasem prawo. To także jedno z zadań nałożonych na KIOD – ma on przekazywać sugestie związane z ewaluacją przepisów.

O wiele trudniej będzie się zmierzyć z nowymi sytuacjami, które wygeneruje

wymóg zaostrożenia ochrony danych osobowych. Przykład łatwy do przewidzenia: od 25 maja każdy członek Kościoła będzie mógł się domagać wglądu do swojej karty w kartotece parafialnej. Znajdują się tam informacje zbierane przez księży podczas kolędy, czyli corocznej wizyty duszpasterskiej w domach parafian. Oprócz zwyczajnych informacji personalnych notowane są też dane wrażliwe, np. traktujące o sytuacji w danej rodzinie. Załóżmy, że proboszcz opiekuje się rodziną z problemem alkoholowym i przemocą w domu. Z parafią współpracuje żona alkoholika i to ona informuje proboszcza o swojej sytuacji. Nietrudno się domyślić perturbacji, do jakich może doprowadzić wizyta męża w kancelarii parafialnej po 25 maja i zapoznanie się przez niego z danymi na swój temat.

Z drugiej strony Kościół do swojej działalności duszpasterskiej potrzebuje mieć wgląd w to, co dzieje się w parafii. Nie może przecież zasłaniać się przepisami i stać się ślepy na ludzką biedę. Jak problem danych wrażliwych rozwiązać? Czy księża mają je teraz wykreślać →

REKLAMA

Szmul Zygielbojm. Milczeć nie mogę i żyć nie mogę

Wystawa czasowa 10.05–22.07.2018

Shmuel Zygielbojm. I can neither be silent nor live

Temporary exhibition 10.05–22.07.2018

Żydowski Instytut Historyczny
im. Emanuela Ringelbluma,
ul. Tłomackie 3/5, Warszawa

Organizator:

ידידישער
היסטארישער
אינסטיטוט
ŻYDOWSKI
HISTORICAL
INSTITUTE

Finansowanie:

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Patronat
honorowy:

Urząd
Miejscowy
w Warszawie

Partnerzy
instytucjonalni:

NARODOWE
ARCHIWUM
CYFROWE



Partner:

TYCODNIK
POWSZECHNY

Patroni medialni:

CHIDUSZ.COM

DZIEJE.PL

Jewish.pl
יהודי

Midrasz

Pola Dwurnik, Szmul Zygielbojm, olej na płótnie, 2018.



→ z kartotek parafialnych? Przenosić w inne miejsca – np. do archiwów parafialnych zespołów charytatywnych? Przed problemem nie uciekniemy, bo każda czynność dokonana na danych osobowych jest ich przetwarzaniem, a osoby, których dane dotyczą, mają być o tym przetwarzaniu informowane.

Sytuacje nie muszą być zresztą aż tak dramatyczne, by przewidywać trudności. Wystarczy, że do kancelarii zgłosi się znany w parafii antyklerykał prowadzący długoletni spór z proboszczem. Czy rzeczywiście tak łatwo proboszcz udostępni mu jego teczkę?

Kłopot nie tylko z apostatami

Jeśli weźmiemy pod uwagę to, ile sądowych perturbacji wywołało w przeszłości domaganie się przez apostatów wykreślenia z ksiąg chrztów, a więc dość wąski problem – to w przypadku nowych przepisów o ochronie danych osobowych sytuacja może się jeszcze bardziej skomplikować. Przestrzeń sporu i możliwych nieporozumień jest teraz o wiele większa.

Dotyczyć to może przede wszystkim tzw. prawa do zapomnienia. W Dekrecie jest napisane, że przepisy kościelne co do otrzymanych sakramentów obowiązują obecnych, ale też byłych członków Kościoła. Oznacza to np., że będąc apostatą, nie można żądać wykreślenia z księgi chrztów. Ale osoby, które formalnie opuściły Kościół, mogą domagać się zaniechania innych form przetwarzania swoich danych. Czy w praktyce będzie to możliwe? Założmy, że po wypis z metryki chrztu potrzebny do zawarcia małżeństwa przyjdzie córka apostaty. Czy można sobie wyobrazić wydanie takiego dokumentu bez nazwiska ojca? Pytań jest wiele.

Kształt, jaki obierze praktyka stosowania nowych przepisów, zapewne w jakiejś mierze będzie wykuwany na salach sądowych. Kościół instytucjonalny tego nie uniknie. Ostatecznie jednak wszystkich nas czeka praca nad zmianą mentalności, bo do tej pory rzadko myśleliśmy o bezpieczeństwie danych, z którymi mamy do czynienia. © ARTUR SPORNIAK



W mormońskim Centrum Historii Rodziny, Warszawa, 2005 r.

Życie w jednej torbie

ZUZANNA BUKŁAHA

Mormoni od wielu lat tworzą genealogiczne bazy danych. I mają ku temu ważny powód: chrzczą zmarłych przodków, aby dać im szansę na zbawienie.

MAGDA PRACĘ DLA KOŚCIOŁA JEZUSA Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich znalazła przypadkiem. W 2015 r. wyjechała z Krakowa do Pragi, po studiach chciała podróżować. – Klasyczne marzenie o poznaniu świata – uśmiecha się. – Mówię po czesku, więc Praga była naturalnym wyborem.

Przeglądając ogłoszenia, jedno przyciągnęło jej uwagę: „Praca w archiwach miejskich w Europie, wymagana znajomość języka angielskiego i elastyczność, dobre warunki finansowe”. Rozmowa kwalifikacyjna odbyła się przez telefon. Mężczyzna z włoskim akcentem zapropono-

wał: płacimy trzy centy za jedno zdjęcie, ale musisz założyć firmę i ją opłacać, bo nie zapewniamy umowy o pracę. Kupił jej za to bilety do Avellino, miasteczka na południu Włoch, niedaleko Neapolu. Zastrzegł: „Mieszkanie załatwiasz sobie sama”.

Pracę zaczęła po dwóch tygodniach. Nikt nie pytał, jak nazywa swojego Boga i jakie ma doświadczenie. Oczekiwano tylko jednego: żeby pracowała szybko, ale dokładnie.

W archiwum miejskim w Avellino, budynku po dawnym więzieniu z XVIII w., pracownicy przyjęli ją z otwartymi ramionami. Pokazali miejsce pracy: długi stół, nad nim zawieszony obiektyw aparatu, komputer do podglądu. I kartony książek. Do tego wózek, aby odkładać je na miejsce.

Obok dwa niemal identyczne stanowiska. Magda nie będzie pracowała sama – jej nowi koledzy z pracy, Manjit i Ari, przyjechali ze Sri Lanki. W archiwum codziennie stawiają się o siódmej rano, Magda zazwyczaj przychodzi dwie godziny później. Tylko od nich zależy, ile zdjęć zrobią i ile w ostateczności zarobią. Manjit robi siedem tysięcy zdjęć dziennie, Magda zaczyna od tysiąca.

– Z chłopakami pracowało się naprawdę super, ale oni z archiwum praktycznie nie wychodzili – śmieje się. – Przynieśli swój toster, zgrzewkę wody i od rana do nocy robili zdjęcia. Mieli trudniej, bo część pieniędzy wysyłali rodzinie. Ja po pięciu, sześciu godzinach kończyłam zmianę. Chcia-

łam zwiedzać, no i po pewnym czasie zaczął mi bardzo przeszkadzać kurz.

Książki, które trafiają w ich ręce, to spisy urodzeń, zgonów i zawartych małżeństw. – Nigdy nie zastanawiałam się, po co to robimy. Dyrektor archiwum był zadowolony, bo dostawał kopię zdjęć książek, które były praktycznie w rozsypce – Magda przypomina sobie wielkie, półmetrowe księgi, które przy pierwszym zetknięciu rozpadały się na kawałki: – Tym sposobem ratujemy część ludzkiego życia przed zapomnieniem.

Zdjęcia trafiały nie tylko do dyrekcji archiwum, ale także co piątek, na dysku, przesyłane były kurierem do Salt Lake City – siedziby amerykańskich mormonów. Po tygodniu przychodziła odpowiedź, które zdjęcia są w porządku, a które do poprawki. Maile podpisane: „Dziękujemy za Twoją pracę. Siostra Susana”.

Mormoni, wyznawcy Kościoła Josepha Smitha, dane o zmarłych kolekcjonują od wielu lat. I mają ku temu ważny powód: chrzczą zmarłych przodków, aby dać im szansę na zbawienie.

Nauczamy, by uszczęśliwić

Joseph ma 23 lata i od prawie roku mieszka w Warszawie. Rodzicom jest wdzięczny za dwie rzeczy: wychowanie i imię. – To dla mnie wielkie wyróżnienie, bo mam jeszcze dwóch braci, ale to ja, a nie oni, dostałem od rodziców nagrodę w postaci takiego imienia – mężczyzna podczas rozmowy poprawia granatowy garnitur. I opowiada o proroku, swoim imienniku: – Wierzmy, że Smithowi, który urodził się w 1805 r., ukazali się Bóg i Jezus. Nasz prorok podczas gorącej, żarliwej modlitwy zapytał Boga, do którego Kościoła powinien należeć. Wtedy usłyszał coś, co go zszokowało: „do żadnego”. I sam został wyznaczony do tego, aby przywrócić na ziemię Kościół Jezusa Chrystusa w Dniach Ostatnich.

Tyle w skrócie. Joseph Smith jest także według mormonów autorem Księgi Mormona, która zawiera na nowo opisaną historię Żydów. Tych, którzy 600 lat przed naszą erą przybyli do Ameryki. I tych, którym Jezus miał się objawić. To najważniejsze z wydarzeń opisanych w Księdze: obecność Jezusa na kontynencie amerykańskim wkrótce po jego zmartwychwstaniu.

Joseph, ten z Warszawy, naśladuje proroka: też nawraca niewierzących. Do Polski przyjechał z Salt Lake City, bastionu mormonów. Pierwsze zaskoczenie? War-

szawa, o której mówili, że jest wielkim miastem, okazała się być taka malutka. – Wieżowce, ulice, samochody. Wszystko jest jakby pomniejszone – śmieje się Joseph. I opowiada o sobie: dzień rozpoczyna na basenie, o świcie, potem śniadanie i nauka języka polskiego. Około dziesiątej razem z przyjacielem Rayem rozstają się ze swoimi broszurami o „jasnej stronie życia” pod wejściem do stacji metra Pole Mokotowskie. – Ludzie podchodzą, pytają, czy jesteśmy sektą – opowiada. – Ale my się nie obrażamy. Jesteśmy po to, aby odpowiadać na pytania.

Młodzi mężczyźni w Polsce odbywają dobrowolną misję – nawracania. Wysyłani w świat przez dwa lata nauczają, nawracają i „mężnieją”. Wszystko po to, aby „uszczęśliwić innych”.

Ile masz żon?

Główna siedziba mormonów w Polsce znajduje się w Warszawie przy ul. Wolskiej, ale budynki gminy można znaleźć w kilkunastu miastach, choćby w Kielcach i Szczecinie. W stołecznym sekretariacie można się dowiedzieć, że polska wspólnota liczy ok. 1,5 tys. osób, na świecie – ok. 15 mln.

Joseph: – Podczas misji utrzymujemy się sami. Przywódcy Kościoła płacą nam jedynie za przelot. I to oni wybierają miejsce, do którego musimy się udać, aby nauczać.

Na czele Kościoła mormonów stoi tzw. Rada Prezydenta oraz Kworum Dwunastu Apostołów. Od stycznia 2018 r. przewodniczy im Russel Nelson, kardiochirurg.

Sami mormoni mówią o sobie, że są chrześcijanami, ale Kościół katolicki nie uznaje tego stanowiska.

Ray: – Najczęstsze pytanie, jakie słyszymy, wcale nie brzmi: „W co wierzymy?”, ale „Ile mamy żon?”. Zawsze się z tego śmiejemy.

Mormoni mogą mieć jedną żonę, jednak pytania o małżeństwa nie padają bez powodu. Joseph Smith miał ich trzydzieści i dopiero jego następcą pod koniec XIX w. wprowadził monogamię.

Jak twierdzą, wizerunek psuje im także tzw. Fundamentalny Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, od którego się odcinają, a który uważa się za spadkobiercę Josepha Smitha, i który odrzucił zmiany przyjęte w 1890 r. Zachowując m.in. wielożenstwo.

Ray: – Nie w głowie mi dziewczyny ani małżeństwo. Oczywiście chciałbym mieć

dużo dzieci, najlepiej piątkę. Ale w Polsce jestem z inną misją.

Joseph: – Na obowiązek, jakim jest znalezienie żony, przyjdzie jeszcze czas.

Nikt nas nie zmusza

Magda cieszy się z wyboru, którego dokonała. – Nikt nie stoi mi nad głową. No i zwiedziłam świat – opowiada.

Wylicza: kilka miejscowości na południu Włoch, Irlandia, Wielka Brytania, Litwa. Za miesiąc z powrotem przeprowadza się do Czech – wciąż czeka na decyzję, gdzie dokładnie odbędzie się kolejny projekt. Jest już mistrzynią pakowania życia w jedną dużą torbę. – Nigdy nie zastanawiałam się, po co to robię. Traktuję to jak pracę: zarabiam, zwiedzam, a ludzie mają z tego pożytek. Ale czeski projekt będzie moim ostatnim. Zmiana miejsca zamieszkania co trzy, cztery miesiące może być i fascynująca, i męcząca. A znajomi? Zazdroszczą, choć nie wierzą, że nie zmieniłam wyznania. Mówią o mnie „mormonka”. A tak naprawdę z nikim nigdy o mojej wierze nie rozmawiałam. I to mi się podoba. Dla moich pracodawców najważniejsze było, żeby z szacunkiem traktować dokumenty, które trafiają w nasze ręce. W końcu to praca z żywą historią.

Jej szef jest Włochem. Magda rzuca jedno słowo: „konkretny”. To przede wszystkim. Zawsze elegancko ubrany, czwórka dzieci, jedna żona. – Choć podejrzeliśmy w jego barku, gdy kiedyś z innymi pracownikami nocowaliśmy u niego w domu, wódkę o nazwie „7 Wives” („7 Żon”) – śmieje się. – A mówią, że alkoholu nie pija.

Oficjalne zakazy obejmują także kawę, herbatę, tytoń.

Ray: – Nikt nas do niczego nie zmusza. To nasz wybór.

A wybór, którego dokonują, ma cel: podążanie wyznaczoną ścieżką oznacza życie wieczne na najwyższym ze „stopni chwały”. Bo w końcu poziomy nieba nie są sobie równe. Mormoni nie uznają klasycznego podziału na niebo i piekło. Istnieje tylko to pierwsze, ale nie oznacza, że wszyscy po śmierci trafiają w to samo miejsce. Są trzy opcje: królestwo celestialne, terestialne i telestialne. To ostatnie przeznaczone dla grzeszników.

– Nasz Bóg jest miłosierny. I sprawiedliwy. I przede wszystkim potrafi wybaczć. Jednak mówiąc kolokwialnie: myślę, że nie ma się czego bać – zapewnia Joseph. – Wystarczy szczerą pokutę. ➔

→ Naprawdę warto zaufać planowi, który ma dla nas Bóg.

Jakie są jeszcze według Josepha drogi ku szczęśliwej wieczności?

Na przykład: szczęśliwe życie małżeńskie i rodzinne na wieczność. Mormoni biorą śluby w specjalnych świątyniach – ci z Polski muszą pofatygować się do niemieckiego Freibergu. Wierzą, że – dochowując wierności sobie i Bogu – będą trwali ze sobą także po śmierci.

Joseph, uparcie: – Żeby to osiągnąć, trzeba zainwestować w siebie. Najpierw samodoskonalenie, a potem rodzina.

Dajemy duchom wybór

W Polsce Kościół Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich uzyskał status prawny w 1977 r. Uroczystość odbyła się w warszawskim Ogrodzie Saskim, a prezydent Kościoła mormońskiego Spencer Kimball wygłosił przemowę, w której chwalił „piękny kraj z tysiącami jezior, licznymi rzekami, cichymi lasami, urodzajnymi polami i mnóstwem bogactw naturalnych”. Mormoni dość dobrze dogadywali się z władzą komunistyczną, choć oficjalnie do polityki nigdy się nie mieszają. Tyle że za sprawą Mitta Romneya, w 2012 r. kandydata na prezydenta USA, ten temat wciąż do nich wraca.

Karierę Romneya prześwietlono nie tylko dlatego, że jest multimilionerem, ale także dlatego, że to pierwszy kandydat, który był wyznawcą Kościoła mormońskiego. Dziennikarze zasypywali go pytaniami: o wierzenia, praktykę. Szczególnie o te, które wzbudzają największe kontrowersje.

Mormoni wierzą, że są nie tylko dziećmi swoich rodziców, ale także bezpośrednio Boga. Dochodzi też kwestia chrztu, dostępnego dopiero od 8. roku życia, ale również po śmierci. Tłumaczą: ponieważ Kościół mormoński został „przywrócony” dopiero w XIX w., ludzie nie mieli szans sami przyjąć prawdziwego chrztu – więc dzisiejsi wyznawcy robią to za nich.

Magda: – Oficjalnie robimy zdjęcia, które trafiają na stronę familysearch.com, czyli portalu, gdzie każdy może poszukać swoich korzeni i przodków. Po roku pracy, gdy zaczęłam trochę więcej o mormonach czytać, okazało się, że dane, które im wysyłam, są im potrzebne także do ochrzczenia tych, którzy już nie żyją. Czy to dziwne? Trochę tak – bo dlaczego ktoś ma decydować za umarłych? Z drugiej strony nie przejmuję się zbyt: praca to praca.

Ray: – Do przyjęcia chrztu potrzebna jest cielesna obecność.

Joseph: – Dlatego my ją zmarłym dajemy. Tak jakby w zastępstwie, występujemy w ich imieniu.

Mormoni wierzą, że duchy także mają wolną wolę i po przymusowym chrzcie mogą same zdecydować: czy chcą zostać ochrzczone, czy nie. Wyznawcy dają im tylko na to szansę.

– Zdjęcia, które co tydzień wysyłamy do Utah, zawierają imię, nazwisko, datę urodzin i śmierci. I ewentualnie spis zawartych małżeństw – tłumaczy Magda. I powtarza za swoim szefem, że mormoni zgromadzili najwięcej danych na świecie, w tym zbiory genealogiczne z całego globu. Mogą z nich korzystać wszyscy. A żarty, że w Stanach wykorzystuje je do swoich celów CIA, są nie na miejscu.

Ale pośmiertne chrzty oburzają wiernych innych wyznań, szczególnie Żydów. Temat stał się głośny po tym, gdy była wyznawczyni Kościoła odkryła przypadkiem, że amerykańscy mormoni ochrzcili m.in. rodziców Szymona Wiesenthala, słynnego tropiciela zbrodniarzy hitlerowskich, oraz rodziców Elie Wiesela, żydowskiego noblisty. Na liście znalazł się też, wtedy jeszcze żyjący, sam odznaczony Nagrodą. Wybuchł skandal, bo Kościół mormoński obiecywał, że ofiar Holocaustu nie będzie poddawał swoim obrzędom.

Ostatecznie kontrowersyjne nazwiska wykreślono, choć wyznawcy bronią się, zasłaniając treścią Pierwszego Listu do Koryntian (15, 29) – że chrzty za zmarłych były dokonywane także w czasach służby apostoła Pawła. I nie ma w nich nic dziwnego.

10 procent dla Kościoła

Magda, już na walizkach, przed kolejną podróżą otwiera jeszcze mail. Siostra Susana przesyła pozdrowienia, życzy miłej podróży. Na końcu cytat: „We wszystkim zachować umiar”.

– To trzeba im przyznać: są pogodni i opanowani. Dobrze się z nimi współpracuje. Jeżeli czegoś im brakuje, to tylko trochę luzu.

Pierwsi mormoni znosili ciężkie prześladowania. Dziś miliony misjonarzy rozsianych po świecie nie wzbudzają większych emocji. I choć raczej nikomu nie przeszkadzają, to nadal nie udaje im się dojść do porozumienia z dyrekcją wielu polskich ar-

chiwów. – Zdjęć w Polsce nie robimy – komentuje Magda.

Nie wie, że wśród zasobów, jakimi dysponuje stołeczne Centrum Historii Rodziny związane z Kościołem mormońskim, są także dokumenty z polskich urzędów i parafii. Violetta Romańska, rzeczniczka Kościoła mormońskiego w Polsce, przyznaje jednak, że rzeczywistość niektóre parafie i archiwa nie życzą sobie, aby przekazywać dostęp do swoich danych. – Mamy sporo dokumentów z centralnej Polski, także z Lublina. To, czy w parafii udostępnione zostaną dokumenty, zależy od danego proboszcza. Zdarza się, że nie chcą mieć z nami nic wspólnego. I takiej zgody nie wyrażają. Zależy to od dobrej woli jednostki. Aby móc zdigitalizować cokolwiek, potrzebna jest umowa zawarta z archiwum i parafią. A taką negocjują często osoby decyzyjne, w Kościele postawione bardzo wysoko. – Nie znamy konkretnych procedur. Są osoby, które się negocjacjami zajmują. My tylko udostępniamy dokumenty i je indeksujemy, czyli zdigitalizowane projekty wpisujemy w specjalne formularze, aby były dostępne online dla każdego człowieka – tłumaczy Magdalena Nowak-Dresler z CHR. – Wiem jednak, że w Polsce ten proces negocjacyjny bywa często wydłużony, i nie kończy się na jednym spotkaniu.

Monika Jurgo-Puszcz, dyrektor Archiwum Państwowego w Warszawie: – Nie wpłynęło do nas zapytanie ze strony mormońskiego Kościoła Jezusa Chrystusa w Świętych Dniach Ostatnich. Natomiast w naszym zasobie znajdują się mikrofilmy akt stanu cywilnego, które w latach 60. i 70. były wykonywane przez tę organizację.

Kościół mormoński nie działa na zlecenie żadnego państwa. Jest niezależny finansowo. Jego członkowie płacą dziesięcinę, czyli 10 proc. swoich dochodów.

Joseph: – Dzięki temu jesteśmy w stanie czynnie działać w Kościele. I sami się utrzymywać.

Magda: – Wiedzą, jak zarządzać pieniędzmi.

– Ale i tak to nie one są najważniejsze, choć świadczą o naszej zaradności – powtarza Joseph. – Najważniejsze jest zbawienie.

© ZUZANNA BUKŁAHA

Imiona niektórych bohaterów zostały zmienione.

SZYMON

Hołownia:

Biskupi, nie lękajcie się!



A GDYBY TAK POD OTOCZONĄ DZIŚ ZASIEKAMI świątynię polskiej demokracji przyszedł ktoś i stanął – w koloratce, z biskupim krzyżem na piersi, nie wcześniej umawiany i przepuszczany, ale właśnie niewpuszczany do okupowanego przez rządzących

Sejmu, jak jego bracia i siostry? Gdyby przychodził tak codziennie, na chwilę, by postać, pomodlić się za tych kilka rodzin, które od tygodni w dramatycznych warunkach próbują wydrzeć państwu (nieważne, przez kogo rządzonemu) swoją godność? Gdyby zechcieli go wpuścić – gdyby posiedział z nimi chwilę na tej podłodze, dał im odczuć, że jest cały dla nich...

Miesiąc temu internet obiegło sprawozdanie z posiedzenia rady parafialnej w Tarnowskich Górach, w którym zapisano, że co do kościelnego stosunku do osób rozwiedzionych w kolejnych związkach, to „czekamy na potwierdzenie nauki Ojca Św. przez Episkopat Polski”. Może swoją obecnością na Wiejskiej ten ktoś potwierdziłby więc polskim „spoconym mężczyznom w pogoni za władzą” inny wątek nauczania Franciszka (choć te niezwiązane z seksem czy bioetyką zwykle są dla polskiej publiczności mniej interesujące) – że „polityka to jedna z najwyższych form miłości miłosiernej”. Pokazałby popękanemu jak ziemia po suszy polskiemu społeczeństwu, jak absurdatne są nasze podziały na lewaków i prawaków, skoro w tej akurat sprawie Jezus Chrystus i Jacek Kuroń („Drugi człowiek, przede wszystkim słaby i krzywdzony, jest w duchowości lewicy przeżywany jako *sacrum*”) mówią jednym głosem.

Boże, jak ja tęsknię za takim biskupem... Tak, cieszę się z tego, że do protestujących wybrał się kard. Kazimierz Nycz, że – jak już pisałem – pełen bzdur wywiad abp. Henryka Hosera został „przykryty” częściowo przez wywiad bp. Wiesława Szlachetki. Ale tu trzeba jeszcze czegoś więcej: nie biskupiej publicystyki, nie tylko „bywania”, ale pokazania, że się z nimi jest. Jestem głęboko przekonany, że jeden biskup, mówiący wprost: „Jestem tu dlatego, że tu są moi ludzie, i że jest im ciężko”, zrobiłby dla za-trzymania laicyzacji w Polsce więcej niż sto piętnaście wymyślonych za kurialnymi biurkami programów duszpasterskich, sto jeremiad w katolickich mediach oraz piętnaście konferencji.

Znam osobiście kilkunastu polskich biskupów. To dobrzy, wierzący księża, spowiadałbym się u nich, chrzcili i bierzmowali dzieci, powtórzyć: księżmi są wspinałymi. Pytam ich jednak, gdy tylko jest okazja: gdzie wy – liderzy wspólnoty, jej elita – byliście, gdy wdowy po ofiarach katastrofy smoleńskiej ze łzami w oczach błagały, by nie wyciągać z grobów zwłok ich najbliższych? Jasne, są rodziny, które zgodziły się na ekshumację, tych moje pytanie nie dotyczy. Ale czy dla człowieka, który zna przecież Ewangelię pięćset razy lepiej ode mnie, czysta polityka w wydaniu prokuratury naprawdę może znaczyć więcej niż łzy bezsilnej wdowy? Wobec kogo macie pierwszą powinność: wobec

państwa czy cierpiących z jego powodu ludzi? Gdybyście powiedzieli jasno *non possumus*, władza nie ośmieliłaby się z wami zadrzeć. Słyszę teraz od jednej ze wspomnianych wdów: „Zawiodłam się, nie wybaczę, nikt mnie nie obronił, co uzyskaliście w zamian? Ilu ministrów na jakiej pielgrzymce? Maturę z religii? Dotacje na remont ilu budynków? Zwrot jakiej nieruchomości?”.

Czterdzieści lat żyję w Kościele, który nauczył mnie nie potrzebować biskupa. Uczono mnie, że to ojciec. Tyle że – akurat tam, gdzie przychodzi mi mieszkać – ojca ciągle nie ma. Jest na obchodach. Jest na wizytacji z parafialnym aktywem (któż inny przychodzi na wizytację?). Ma spotkanie w seminarium, komisję z rządem, obrady Episkopatu. Abstrahując od moich prywatnych relacji z paroma hierarchami, ja jako katolik od trzech dekad uczęszczający do kościoła średnio ze cztery razy w tygodniu (czyli: nadprogramowy dewot) miałem w nim z lokalnym biskupem (a mieszkalem w czterech diecezjach) kontakt w sumie może siedem razy. Trzydzieści lat przeżyłem nauczony, że zasadniczo ojciec ma ważniejsze niż ja sprawy. Że raz na parę miesięcy, wraz z kolegami, napisze do mnie zbiorczy list o tym, co on uważa za moje problemy, zwykle doskonale niepokrywające się z problemami, którymi ja żyję. Wiele razy robiłem już tę sondę, zrobiłem ją i teraz, na potrzeby tego tekstu: obdzwoniłem kilkudziesięciu znajomych, pytając, jak nazywa się ich diecezjalny biskup. Prawidłowo odpowiada zwykle 15 do 20 proc.

Jasne, że są biskupi, którzy naprawdę nie są nad ludźmi, lecz z ludźmi. Ja też nikogo nie atakuję, naprawdę. Potraktujcie to, drodzy Księża Biskupi, jako wyraz szczerzej, niekokieternej tęsknoty. Mam wrażenie, że pracujecie, jak umiecie, ale jako Episkopat w pojęciu zbyt wielu Polaków jesteście dziś częścią systemu sprawowania nad nimi władzy. Myślę, że Episkopat mieści się po prostu na innym niż rząd piętrze tego samego gmachu z szyldem „Centrum Zarządzania Prostem Ludem”. Politycy schrzaniłi wszystko, zbrukali wszystkie pojęcia i społeczne świętości. Nikt poza Wami nie ma już takiej mocy, by pokazać, że władza jest służbą. Że dbanie o wspólnotę to bycie zawsze z biednym. Wiem, że użeracie się z księżmi, tyracie na wizytacjach, rozwiązujecie tryliardy problemów, którymi zavalają Was ludzie, pamiętajcie jednak proszę, że największym problemem są ci, którzy z żadnym problemem już się do Was nie zgłoszą, którzy przestali Was do czegokolwiek potrzebować. Te kilkanaście milionów – jeśli wierzyć badaniom ISKK – zagubionych owiec.

Parę razy w życiu słyszałem od moich pasterzy, że się boją. Nie tylko o kogoś, ale kogoś. Przyznawali, że mówią czasem „naokoło”, bo może kogoś urażą; że co będzie, „jak Rydzyk o mnie coś powie, a przecież ludzie z tej partii to tak samo moja owczarnia”. Nie umiem rzecz jasna rozwiązać takich dylematów. Ale sam dość późno, jakoś po czterdziestce, odkryłem, że nie jestem stuzłotówką, więc naprawdę nie każdemu będę się w życiu podobał. Myślę też, że nikt nie oczekuje dziś od biskupa deklaracji politycznej. Wiele oczekuje zaś, że głowa (lokalnego) Kościoła przemówi gromko, dobitnie, nie tańcząc na palcach, by nie obudzić olbrzymia państwowej władzy. Językiem znaku, Ewangelii. Znaku, bo wyświechtane na wszystkie strony słowa nie mają już dziś żadnej mocy, jeśli nie idzie za nimi ewangelizacja na poziomie znaku właśnie: na poziomie bandaża, przytulenia, wsparcia, oddania swojego czasu i krwi. I naprawdę nie bójcie się: jeśli tam pójdziecie, nie zostanieie sami. My pójdziemy za Wami. A jeśli okaże się, że jesteśmy jednak w mniejszości? Cóż, frekwencja pod krzyżem bywa nieimponująca. ©



WPOŁU WIDZENIA TYLKO PIACH, rzadziej kurz. Bezkresna pustynia we wschodniej Syrii, którą praży coraz intensywniejsze słońce.

Mahdi, oficer prasowy Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF, koalicja oddziałów kurdyjskich i arabskich, kontrolowana przez Kurdów), odtwarza trasę z pamięci. Trudno zgadnąć, skąd wie, w którym miejscu na tym piasku skręcić w prawo lub lewo. Nie ma tu żadnych dróg, tylko słabo zarysowane ślady opon.

Co jakiś czas mijamy spalone pojazdy: cysterny, samochody osobowe, ciężarówki. Czasami wraki są tak zdewastowane, że trudno poznać, co to było wcześniej. Oprócz piachu nieustannie towarzyszy nam głośna muzyka puszczana przez Mahdiego: po arabsku lub angielsku,

trafia się nawet piosenka w języku rosyjskim.

Minęła już niemal godzina, odkąd opuściliśmy ostatnią wieś. Z czasem pojawiają się pozycje SDF. Punkty oporu – usypane z piachu wały w kształcie koła, które wyglądają jak wielkie ptasie gniazda. Im bliżej do irackiej granicy, tym jest ich więcej. Przed pozycjami często stoi hummer, uzbrojony i opancerzony. Na wałach zazwyczaj widać strażnika, leżącego na workach (z piaskiem, oczywiście) – lub zwyczajnie siedzącego na krześle. Oficer prasowy z podkreśloną na pełny regulator muzyką unosi wtedy rękę w pozdrowieniu, tamci odpowiadają leniwie.

W ten sposób w ciągu godziny okrążyliśmy pozycje tzw. Państwa Islam-

skiego (IS). Byliśmy na północy, teraz jesteśmy na południu, jakieś trzy kilometry od granicy z Irakiem.

– Hadżin, Hadżin, nadchodzimy! – wydziera się Mahdi, gdy widzi, że siedzący obok mnie francuski dziennikarz nagrywa go na telefon.

Graniczna linia Eufratu

Był wrzesień 2017 roku, gdy dobiegały kresu walki o syryjskie miasto Rakka – nieformalną stolicę samozwańczego kalifatu (muzułmańskiego „państwa bożego” na ziemi), jak swoje *quasi*-państwo, na początku rozciągające się na wielkie obszary Syrii i Iraku, nazwali islamscy ekstremiści. Wówczas to ruszyły również dwie ofensywy na prowincję Dajr az-Zaur: od północy wojsk SDF (o kryptonimie „Burza Dżaziry”), a od zachodu – sił podległych syryjskiemu rządowi lub jego sojuszników (jak wojska irańskie, szyickie milicje z Iraku czy oddziały libańskiego Hezbollahu).

Obie ofensywy, wspierane przez zagraniczne mocarstwa – SDF przez zachodnią koalicję (pod wodzą Amerykanów), a żołnierze prezydenta Baszara al-Asada przez Rosjan – szybko odzyskiwały kolejne terytoria z rąk dżihadystów. Teraz ostatnim bastionem IS w tej części Syrii jest właśnie miasto Hadżin.

Prowincję Dajr az-Zaur rozdziela rzeka Eufrat, która stała się jedną z linii frontu. Mniej więcej wzdłuż niej przebiega podział na terytoria kontrolowane przez syryjski rząd, na jej zachodnim brzegu, oraz przez siły SDF na jej brzegu wschodnim. Ważne miasta Dajr az-Zaur, al-Majadin i al-Bukamal znajdują się na terytoriach kontrolowanych przez wojska Asada. Z kolei złoża ropy i gazu przypadły SDF. W całej prowincji dominują tereny pustynne.

Czarna dziura

Stolica prowincji również nazywa się Dajr az-Zaur, jest zamieszkała niemal wyłącznie przez sunnitów. Do wojny w całej prowincji żyło ponad 1,2 mln ludzi. Obecnie liczba mieszkańców nie jest znana. W czasie trwających od kilku lat walk dziesiątki tysięcy ludzi uciekły z miast i wsi. W całej Syrii w ciągu ponad siedmiu lat wojny przynajmniej 11 mln Syryjczyków, czyli

Bojownicy kurdyjscy towarzyszą żołnierzom amerykańskim w rejonie Dajr az-Zaur. Syria, kwiecień-maj 2018 r.

PAWEŁ PIENIAŻEK

OSTATNIA BITWA KALIFATU

Wspierane przez Zachód oddziały kurdyjskie otoczyły ostatnie zgrupowanie sił tzw. Państwa Islamskiego w Syrii.

Ale walki mogą trwać długo: w okrążeniu pozostaje kilka tysięcy dżihadystów.

PAWEŁ PIENIAŻEK Z DAJR AZ-ZAUR (SYRIA)

→ połowa populacji, musiało opuścić domy, a ok. 400 tys. zginęło (choć są szacunki mówiące o pół miliona zabitych). Także gdy we wrześniu zaczęła się ofensywa, sznury pojazdów z uciekinierami ciągnęły z Dajr az-Zaur na północ. Tysiące wciąż przebywają w obozach, mając nadzieję, że prędzej czy później uda im się wrócić do domów.

Mimo złóż ropy i gazu jest to uboga prowincja. A także bardzo religijna i przywiązana do tradycji. Widać to choćby po chętnie noszonych strojach – w przypadku mężczyzn odpowiednio krótkich, a w przypadku kobiet zakrywających niemal całe ciało, czasami nawet oczu. Dla Syryjczyków z dużych miast, jak Damaszek czy Aleppo, ten region stanowił jakby czarną dziurę na mapie kraju. Dla Kurdów, zamieszkujących północną Syrię, wizyta w Dajr az-Zaur była jak wyjazd za granicę.

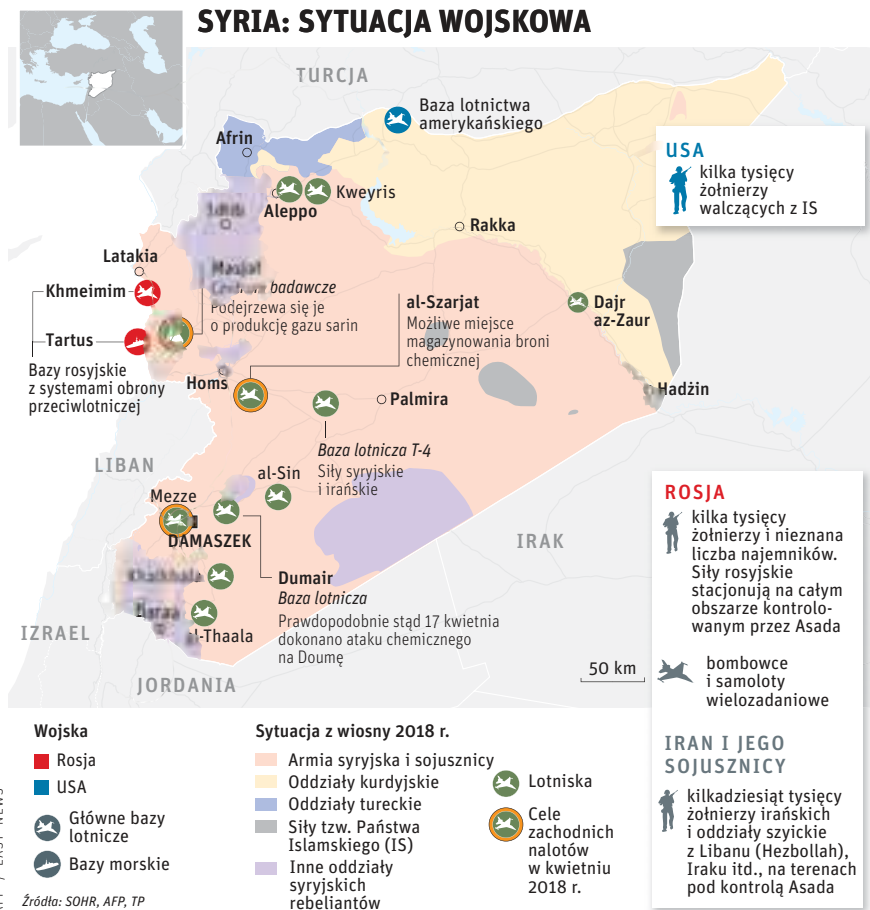
Po wybuchu rewolucji wiosną 2011 r., która szybko przerodziła się w wojnę (najpierw domową, a potem z udziałem aktorów zewnętrznych), reżim przerzucił większość wojsk w pobliże kluczowych miast w zachodniej Syrii. To dlatego Dajr az-Zaur szybko wpadła w ręce antyrządowej Wolnej Armii Syryjskiej, którą z kolei wyparli dżihadysty IS. Wielu tutejszych sunnitów poparło fundamentalistów – i tym samym prowincja stała się jednym z kluczowych zapleczy tej organizacji.

Niebezpieczeństwo za frontem

To dlatego nasz przewodnik, oficer SDF Mahdi, rozluźnia się dopiero na pustyni, gdzie pozycje SDF są liczne i nieźle obwarowane. Wcześniej jechaliśmy przez miejscowości dopiero niedawno zajęte przez „demokratów” – jak często się nazywa tu SDF, koalicję kurdyjskich i arabskich milicji.

Mahdi mówi, że to „najniebezpieczniejsze miejsce”, bo wciąż ma się tutaj znajdować wielu zwolenników IS i „uśpionych” dżihadystów gotowych na rozkazy. Potwierdzają to mieszkańcy, z którymi rozmawiałem jeszcze na początku tego roku. Wielu miejscowych Syryjczyków wciąż popiera dżihadystów – lub przynajmniej ma nadzieję, że po nich przyjdzie jakaś inna siła, która lepiej poradzi sobie z budowaniem „islamskiego państwa bożego”.

Dwa dni po tym, gdy opuściłem Dajr az-Zaur, znajomy bojownik SDF wysłał mi zdjęcie. Widnieje na nim mężczyzna siedzący na ziemi. Wokół oczu ma przewiązaną chustę, tzw. arafatkę. Obok niego



częściowo widać bojownika SDF z karabinem, który pilnuje jeńca. Mężczyzna miał kręcić się wokół pozycji *heval*, czyli bojowników kurdyjskich. Wzbudził podejrzenia. Potem, podczas rewizji, w jego domu znaleziono broń. „Złapaliśmy dzisiaj rano jednego z IS, miał trzy karabiny i jeden maszynowy” – słyszę w wiadomości głosowej zadowolony ton znajomego. Podobno przekazali już jeńca służbom bezpieczeństwa.

W miejscowościach na zapleczu frontu panuje duży ruch. Samochody, wozy zaprzężone w konie lub osły, wielu przechodniów. Wsie wydają się bardzo ożywione. Z wielu z tych miejscowości bojownicy IS wycofali się bez walki lub stawiając nieznaczny opór, więc nie są one zniszczone. Sklepy i stoiska na straganach działały. Można kupić jedzenie, ubrania i inne potrzebne produkty.

Mkniemy jak najszybciej, wymijaliśmy liczne auta i motocykle. Staramy się nie zatrzymywać. Posterunków w miejscowościach jest niewiele. A jeśli już są, to nie wyglądają zbyt solidnie. Często to tylko beczki i kamienie, które wytyczają pasy

dla pojazdów. I krzesła, na których siedzą wartownicy.

Wszystkie budynki administracyjne są zabarykadowane workami z piaskiem i betonem. Po ulicach jeżdżą auta, na pakach których stoi zwykle po czterech członków *asayis*, czyli miejscowej policji. Jeden stoi za ustawionym na pojeździe karabinem maszynowym, trzech pozostali obserwują, co dzieje się w małych uliczkach. Jednak się w nie nie zapuszczają, cały czas jeżdżąc głównymi drogami. Widać, że nie czują się tu pewnie.

Cel: okrążyć Hadżin

Na pustyni sprawy mają się inaczej.

Kolejne liczne pozycje ciągle są usypywane. Koparki, obstawiane przez skromne siły – zazwyczaj jeden-dwa samochody z kurdyjskimi bojownikami – budują kolejne „gniazda oporu”. Zza granicy iracka artyleria wspiera SDF. Z powietrza – przede wszystkim amerykańskie lotnictwo. Pustynia stała się niemożliwa do obrony dla dżihadystów: widać ich tu jak na dłoni, więc łatwo mogą stać się celem nalotu.

– W ciągu dziewięciu dni od wznowienia operacji posunęliśmy się o 20 kilometrów – mówi Haszim Muhammed, dowódca operacji „Burza Dżaziry”. 48-letni Kurd pochodzi z miasta Dêrik (po kurdyjsku; oficjalna arabska nazwa to al-Malikija), leżącego ponad 400 km na północ stąd, w pobliżu granic z Turcją i Irakiem.

Operację „Burza Dżaziry”, wymierzoną w pozostałości IS w Syrii, wznowiono 1 maja – po tym, jak pod koniec 2017 r. wyhamowała, a potem została zupełnie wstrzymana, gdy w styczniu Turcja rozpoczęła ofensywę na kurdyjskie miasto Afrin w północno-zachodniej Syrii.

Kurdyjskie oddziały stanowiące trzon SDF – również te z Dajr az-Zaur – zostały wówczas przerzucone w tamten rejon. Z punktu widzenia Kurdów istniała groźba, że po zajęciu miasta Afrin – siły kurdyjskie wycofały się z niego niemal bez walki – turecki prezydent Erdoğan rozkaże swoim oddziałom dalszą ofensywę, na kolejne regiony zajęte przez Kurdów (pod ich kontrolą jest obecnie niemal jedna trzecia północnej i północno-wschodniej Syrii – dla Turcji rzecz nie do zaakceptowania).

Tak się jednak nie stało. A Kurdowie wznowili teraz ofensywę przeciw dżihadystom.

Haszim Muhammed tłumaczy, że jego żołnierze mają właśnie czterodniowe opóźnienie, ze względu na trudną pogodę (m.in. burze piaskowe), która utrudnia działania wspierającego ich zachodniego lotnictwa. Muhammed ma nadzieję, że ofensywa na Hadżin zacznie się w lipcu. W tym czasie kurdyjski komendant chce zająć pozostałe terytoria, kontrolowane jeszcze przez IS w prowincji Dajr az-Zaur i sąsiadującej z nią prowincji Hasaka.

Kurdowie tłumaczą, że mnóstwo czasu trzeba poświęcić na rozminowywanie, bo pustynia jest pełna bomb pułapek, pozostawionych wcześniej przez dżihadystów. 34-letni dowódca wschodniego sektora operacji „Burza Dżaziry”, który przedstawia się tylko pseudonimem „Şirku”, mówi, że pracy jest mnóstwo. Tylko jednego dnia, 8 maja, mieli rozminować 33 ładunki wybuchowe.

Tego samego dnia grupa SDF, dowodzona przez 24-letniego Abdula Abera – Araba pochodzącego z jednej z wiosek w prowincji Dajr az-Zaur – zajęła pozycję na pustyni.

– Bez walk, ale było dużo min do usuwania – twierdzi Aber.

Dwa dni wcześniej jeden z jego żołnierzy wszedł na ładunek ukryty w piasku. Amputowano mu nogę.

Amerykanie, sojusznicy w powietrzu

Szybka ofensywa jest możliwa dzięki wsparciu ze strony koalicji międzynarodowej.

To amerykańskie lotnictwo jest główną przyczyną klęski IS – rzecz jasna obok Kurdów, funkcjonujących jako wojska lądowe. Dżihadysty są bezbronni wobec samolotów. Od 2014 r. międzynarodowa koalicja ze Stanami Zjednoczonymi na czele zrzuciła niemal 30 tys. bomb na cele w Syrii i Iraku. Atakowała, czasem trafiając cywilne wioski i miasta.

Jeszcze niedawno liczba nalotów była nieznaczna. Teraz kampania powietrzna ruszyła na nowo. Tylko 10 maja, będąc na jednej z pozycji, w ciągu dwudziestu kilku minut słyszałem przynajmniej 12 eksplozji zrzuconych bomb.

Amerykanie nie tylko wspierają SDF z powietrza. W Syrii znajduje się ok. 2 tys. żołnierzy sił specjalnych i personelu pomocniczego.

Jest środa, 9 maja, gdy kolumna złożona z 10 pojazdów rusza na linię frontu. Cztery wozy amerykańskie są konwojowane przez kurdyjskich bojowników z YPG (Powszechne Siły Ochrony). Przeważnie białe toyoty hiluxy (nazywane też żartobliwie „toyotami heval”, bo zazwyczaj jeżdżą nimi bojownicy SDF), z przymocowanymi na pakach ciężkimi karabinami maszynowymi DSzK.

Już na linii frontu żołnierze amerykańskich sił specjalnych rozstawiają moździerz i powoli namierzają cele. Obecność dziennikarzy – mnie i Francuza – nie wzbudza ich zachwyty. O komentarze nawet ich nie prosimy, bo jest jasne, że nie mogą ich udzielać. Zdjęć też nie można robić, ewentualnie tylko zza płotów.

Gdy Amerykanie powoli rozstawiają moździerz, Kurdowie wypatrują, co się dzieje w miejscowości Asz-Szajlah, oddalonej o jakieś dwa kilometry. Na skraju miasteczka dostrzegają auto. Nie porusza się. Nie wykluczają, że może to auto-pułapka, wypelnione materiałami wybuchowymi. Postanawiają otworzyć ogień z DSzK, aby sprawdzić, czy ktoś w nim nie siedzi. Przywierają się.

– Co ty, kurwa, robisz? Nie strzelaj bez mojego rozkazu! – krzyczy amerykański żołnierz.

Mówi po angielsku, Kurdowie po kurdyjsku i arabsku. Nie ma tłumacza. Ale Kurdowie rozumieją, że coś jest nie tak. Dowódca mówi do bojownika, żeby „nie dyskutował” z Amerykaninem. Ten posłusznie wykonuje polecenie. Kurdowie pokazują kciuki do góry.

Amerykanin nie wie, dlaczego chcieli strzelać. W końcu jeden z bojowników prosi mężczyznę, który pracuje z nami i zna angielski, aby pomógł im zrozumieć się nawzajem. Amerykanin chce, aby określić mu dokładne koordynaty na mapie w telefonie, dzięki którym mógłby wezwać wsparcie z powietrza.

Przychodzi rozkaz, że mamy opuścić pozycję. Jeszcze będąc w pobliżu, słyszę wybuch.

Bitwa o wszystko

Agit, 21-letni Kurd, pochodzi z miasta al-Hasaka w północno-wschodniej Syrii. Wysoki, szczupły i flegmatyczny, zawsze jest pewny siebie. – Daesh już stracił wolę walki – mówi, używając arabskiego akronimu na określenie IS.

Podobnie wydają się myśleć inni bojownicy SDF, których spotykam na różnych pozycjach. Są odprężeni, wygodnie rozkładają się na piaskowych wałach. Widać ich z daleka. Przechadzają się powoli, zupełnie się nie kryjąc. Wiedzą, że jeśli tylko ich przeciwnicy migną na pustyni, szybko tego pożałują.

– To nie wojna – mówi jeden z kurdyjskich oficerów prasowych, którego poznałem jeszcze w trakcie walk o Rakkę. Macha ręką z dezaprobatą.

Haszim Muhammed, dowódca operacji „Burza Dżaziry”, jest wyważony w opiniach. Twierdzi, że SDF czeka ciężka bitwa, która może potrwać nawet miesiąc.

Komendant ocenia, że w Hadżin znajduje się od 7 do 10 tys. bojowników, w tym wielu zaprawionych w bojach dowódców. Oni wiedzą, że teraz trudno byłoby im uciec. Bo chociaż przez posterunki wciąż da się prześliznąć (oczywiście za odpowiednią opłatą), to nie bardzo jest do kąd uciekać. Siły SDF otoczyły terytoria wokół Hadżinu i teraz będą zaciskać pierścienie. Od zachodu z kolei płynie rzeka, a za nią leżą terytoria kontrolowane przez syryjski rząd.

Haszim Muhammed sądzi, że skoro dżihadysty nie mają już dokąd się cofać, to będą walczyć do końca. Ale jest przy tym pewien, że są to ostatnie dni Daeshu.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Mbandaka, miasto pod nadzorem

MARCIN ŻYŁA

Najgroźniejsza od lat epidemia gorączki krwotocznej ebola wybuchła w Demokratycznej Republice Kongo. Jej początki przypominają epidemię z zachodniej Afryki, podczas której zmarło ponad 11 tysięcy ludzi.



DWADZIEŚCIA PIĘĆ PAR GUMOWYCH BUTÓW, tyle samo par rękawic ochronnych, 480 kostek mydła, 200 plakatów edukacyjnych, 5 noszy, 10 kilofów i 20 worków na ciała. To część transportu kongijskiego Czerwonego Krzyża, który kilka dni temu wysłano ze stołecznej Kinszasy do położonej na północnym zachodzie kraju wsi Bikoro. 8 maja ogłoszono tu dziewiątą w historii Demokratycznej Republiki Kongo epidemię eboli.

Teraz już wiadomo, że jak dotąd najgroźniejszą. W miniony piątek komitet ds. sytuacji nadzwyczajnych Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) ogłosił wprawdzie, że wirus nie zagraża na razie sąsiednim państwom, ale już sam fakt, że zastanawiano się m.in. nad ewentualnym ograniczeniem swobody podróżowania w całym regionie, świadczy o skali problemu. Poprzednio takie ostrzeżenie wydano cztery lata temu, na początku epidemii w zachodniej Afryce, która pochłonęła ponad 11 tys. ofiar. Co gorsza, w DRK w ciągu kilku dni ebola przedostała się do gęsto zaludnionego miasta.

Dzień pierwszy: wieś

Pierwszą śmiertelną ofiarą eboli był policjant, który przyjechał do Bikoro z Igende, niewielkiej wsi położonej 60 km dalej. Wkrótce symptomy choroby rozwinęły

się u jedenaścioro uczestników jego pogrzebu. Siedmioro z nich zmarło. To właśnie tradycyjne pogrzeby – podczas których ciała są obmywane i całowane przez żałobników – są najczęstszą okazją do zarażenia się. W przeciwieństwie do innych infekcji ciała zmarłych na ebolę wciąż zarażają.

Dopiero wtedy zwrócono uwagę na nieprzekazane dalej przez urzędników Provincji Równikowej raporty na temat aż 135 możliwych przypadków choroby, które już od stycznia zgłaszali wizytujący Igende lekarze.

Tam, gdzie wybuchły pierwsze ogniska choroby, nie ma nawet zasięgu telefonii komórkowej, a w tych tygodniach, podczas pory deszczowej, dojazd do większego miasta, motocyklem lub terenówką z napędem na cztery koła, zajmuje kilkanaście godzin. Dawało to nadzieję, że – podobnie jak poprzednio, latem 2017 r. – epidemii uda się szybko opanować.

Ale mieszkańcy położonego nad jeziorem Tumba Bikoro żyją głównie z tego, co wyłowią w wodzie. Ryby transportuje się jeziorem, a potem w górę rzeki Kongo, do Mbandaki, miasta liczącego ponad milion mieszkańców. Tam właśnie, prawdopodobnie zawleczony przez uczestników jednego z pogrzebów, wirus dotarł już dziesiątego dnia epidemii.

Dzień dziesiąty: miasto

Kongo ma największe w świecie doświadczenie walki z ebolą. Tym razem władze obawiają się jednak dwóch rzeczy: w pierwszej kolejności znacznego wzrostu liczby przypadków eboli w Mbandace, w drugiej – trudności logistycznych, ponieważ w mieście o wiele trudniej jest izolować zarażonych wirusem. Już teraz pracownicy WHO ustalają miejsca pobytu ponad 4 tys. ludzi, którzy mogli mieć kontakt z nosicielami eboli.

– Z ebolą w praktyce postępuje się jak z bronią biologiczną. To podobne procedury i środki ochrony – mówi Wojciech Wilk, prezes Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej, organizacji, której medyczny zespół ratunkowy działa w ramach systemu reagowania kryzysowego WHO. – Chodzi o wsparcie w prowadzeniu istniejących ośrodków zdrowia w innych częściach DRK, skąd do rejonu epidemii przenosi się miejscowych lekarzy.

W Mbandace, gdzie funkcjonują dwa szpitale, zagrożenie epidemiologiczne jest wysokie: wielu mieszkańców czerpie wodę prosto z rzeki, wielu spuszcza do niej nieczystości. Wstrzymano wprawdzie statki pasażerskie do Kinszasy, ale jeszcze pod koniec minionego tygodnia drewniane łodzie handlarzy wciąż pływały w dół rzeki.



MARK NAFTALIN / AFP PHOTO / UNICEF / EAST NEWS

Przed wejściem do sali, w której leżą chorzy na ebolę, Bikoro, Demokratyczna Republika Konga, 13 maja 2018 r.

Stawka jest jednak ogromna: tylko kilka dni rejsu dzieli miasto od Kinszasy i Brazzaville, stolicy sąsiedniej Republiki Konga, w których łącznie mieszka ok. 13 mln ludzi. Nowe ognisko epidemii w którymś z tych miast – to scenariusz, który urzędnikom WHO pojawiał się do tej pory w najgorszych koszmarach.

Dni kolejne: szczepionka i szczęście

Jest nadzieja: do Kinszasy dotarło w środę 16 maja 4 tys. szczepionek przeciw eboli, która, choć oficjalnie jest wciąż w fazie testowej, okazała się skuteczna podczas poprzednich epidemii. Nawet tu piętrzą się jednak trudności: szczepionkę należy przechowywać w temperaturze poniżej minus 60 stopni, co w tropikalnym kraju, gdzie często występują przerwy w dostawie prądu, bywa w praktyce niemożliwe. Szczepionka zostanie pierwszy raz wypróbowana na „froncie”, najpierw otrzymają ją osoby mające kontakt z ebolą.

– Na szczęście do Konga dostarczono już szczepionkę, a miejscowe władze szybko zareagowały na epidemię – mówi Wilk. – Liczba zgonów wynosi na razie ok. 40 i nie rośnie proporcjonalnie w stosunku do liczby prawdopodobnych zakażeń, jak zwykle w przypadku takich epidemii. Ale to dopiero początek.

Między 4 kwietnia i 17 maja, choć oficjalnie w DRK potwierdzono 14 przypadków wirusa (procedura laboratoryjna trwa kilkadziesiąt godzin), zarejestrowano aż 45 podejrzanych przypadków. Zmarło 25 chorych.

Kilkanaście państw Afryki wprowadziło szczegółowe kontrole sanitarne na swoich granicach. Ich skuteczność nie jest jednak stuprocentowa – podejrzanych o nosicielstwo ludzi „wylapuje się” mierząc im temperaturę. Taki pomiar można chwilowo oszukać.

Co zdarzy się w kolejnych tygodniach? W oświadczeniu po spotkaniu zespołu ds. sytuacji nadzwyczajnych WHO (18 maja) czytamy, że „dotychczasowa reakcja [na epidemię] daje podstawy, by przypuszczać, że rozprzestrzenianie się wirusa można powstrzymać”. Eksperci wymieniają: w Prowincji Równikowej wzmożono kontrole sanitarne, sprowadzono polowe laboratoria i ruchome ośrodki monitoringu, do współpracy w uświadamianiu na temat choroby zaangażowano także szefów wsi. Przez sześć dni w tygodniu helikopter Światowego Programu Żywnościowego, agencji ONZ, transportuje specjalistów z oraz do stołecznej Kinszasy.

Wiadomo jednak, że opanowanie nowej epidemii zajmie co najmniej kilka miesięcy. I oprócz wszystkich wymienionych w oświadczeniu WHO czynników, jak zwykle w przypadkach epidemii, będzie wymagało jednego, którego zaplanować się nie da. Szczęścia. ©

Wojciech Wilk: – Nie można wykluczyć, że wśród tych mieszkańców miasta, którzy pomyślą: „chcę chronić swoje życie i przenieść się do Kinszasy”, znajdzie się nosiciel eboli, który taki pomysł zrealizuje. WHO i władze Konga mogą stanąć przed etycznym dylematem: będzie trzeba zablokować Mbandakę lub nawet cały region.

REKLAMA



**WYŻSZA SZKOŁA
INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA**
z siedzibą w Rzeszowie

wsiz.rzeszow.pl



Prawie 7 mln na grant
wspierający jakość
studiowania



Ponad 161 mln zł przeznaczone na inwestycje w bazę naukowo-dydaktyczną



Blisko 5 mln dla studentów
na realizowanie płatnych
praktyk i staży



Blisko 100 000 wydanych certyfikatów językowych, informatycznych oraz biznesowych

**Ponad 4
unikatowe
oferty pracy dla
1 absolwenta
WSiZ**

W 2017 roku pracodawcy zgłosili blisko 5 000 ofert pracy do Biura Karier WSiZ

**Seminarium
doktoranckie
NAUKI
O MEDIACH**

doktorat.wsiz.rzeszow.pl

**Jedyne takie
studia
w Polsce**



**GENERAL
AVIATION**
Lotnictwo
ogólne

**AVIATION
MANAGEMENT**
Zarządzanie
lotnictwem



SPUDGUN67 CC BY-SA 4.0

Najdroższy dom na Wyspach: Hanover Lodge należący do Andrieja Gonczarenki

Mroczne zaułki Londongradu

DARIUSZ ROSIAK Z LONDYNU

Rosjan w swojej stolicy Brytyjczycy długo traktowali jako egzotykę. Zamach na Skripalów sprawił, że zaczęli łączyć kropki na obrazku, którego latami nie chcieli dostrzec. Co na nim widać?

PO ZACHODNIEJ STRONIE PAŁACU Kensington jest cicha alejka, wciśnięta między High Street Kensington i Notting Hill Gate. Spacerowicze i rowerzyści mogą się tu poruszać swobodnie, ale wjazd dla aut jest ograniczony. Policja wpuszcza tylko niektóre pojazdy, zwykle na dyplomatycznej rejestracji.

Kensington Palace Gardens – tak nazywa się aleja – jest własnością Korony i powstała w latach 40. XIX w., w miejscu kuchennych ogrodów pałacowych. Większość tutejszych domów to zabytki. Kiedyś zajmowali je bogaci arystokraci, potem zaczęły się prowadzić ambasady.

Dziś przy KPG – jak skrótowno nazywają aleję londyńczycy – mają swe przedstawicielstwa m.in. Izrael, Francja, Czechy, Japonia i Arabia Saudyjska. Trzy okazałe pałace zajmuje ambasada Rosji (wcześniej była to placówka Związku Sowieckiego, już od lat 30. XX w.).

Willa pod szesnastym

Jeszcze kilkanaście lat temu władze rozwały przekształcenie prywatnych rezydencji przy KPG w kamienice z mieszkaniami, które przynosiłyby zyski dla dzielnicy. Ale na początku tego stulecia zmieniło zdanie.

W 2004 r. hinduski potentat hutniczy Lakszmi Mittal kupił dom należący wcześniej do barona de Reutera (założyciela znanej agencji prasowej) ponoć za 57 mln funtów. Rok później dom sąsiadujący z posesją Mittala – wcześniej należący do ambasady Rosji – kupił za 41 mln funtów rosyjsko-amerykański finansista Leonard Bławatnik. Naprzeciw nich, pod numerem szesnastym, mieszka od 2009 r. Roman Abramowicz, rosyjski oligarcha i właściciel londyńskiego klubu piłkarskiego Chelsea. Piętnastopokojową willę w stylu wiktoriańskim nabył za – bagatela – 97 mln funtów.

Niedawno Abramowicz dostał zezwolenie na remont swojego pałacu, po którym powierzchnia domu wzrośnie o jedną czwartą, do prawie 2 tys. m kw. Dobudowany zostanie też basen. Wedle dokumentów złożonych w ratuszu dzielnicy Kensington „nowa konstrukcja będzie znaczącym architektonicznie dodatkiem do oryginalnego budynku, odnosząc się aktywnie do szerszego kulturowego i urbanistycznego dziedzictwa miasta”.

Spośród właścicieli domów przy KPG to nazwisko Abramowicza – nieobnoszącego się w mediach ze swym bogactwem ojca siedmiorga dzieci, właściciela jednego z największych brytyjskich klubów piłkarskich i pupilka Władimira Putina – budzi największe zainteresowanie Brytyjczyków. Zwłaszcza dziś.

Szok dla Brytyjczyków

Przez co najmniej dwie dekady obecność Rosjan w Londynie traktowano jako egzotyczny i marginalny wkład do brytyjskiej wielokulturowości. Otrzeźwienie przyszło 4 marca tego roku, gdy na ławce w mieście Salisbury znaleziono byłego rosyjskiego agenta Siergieja Skripala oraz jego córkę Julię, która przyjechała do ojca w odwiedziny. Oboje byli nieprzytomni.

– Sprawa Skripala wywołała szok wśród Brytyjczyków – mówi mi Mark Hollingsworth, londyński dziennikarz, autor książki o wymownym tytule „Londongrad”. – Dla wielu ludzi to było surrealistyczne przeżycie: rosyjscy agenci nie wiadomo skąd, tajemniczy mordercy, wymyślna trucizna, a to wszystko w małym wycofanym angielskim miasteczku.

– Brytyjczycy czuli się dotąd wolni od tego typu doświadczeń – mówi Hollingsworth. – Oczywiście ludzie wiedzą, że działa tu rosyjska mafia, która kontroluje część rynku prostytucji czy handlu narkotykami, że dochodzi do przestępstw finansowych, że oligarchowie kupują domy. Ale to wszystko odbywało się poza widokiem publicznym albo było traktowane jak ciekawostka. Tym razem rzecz dotknęła zwykłych ludzi. Kilka osób wyładowało w szpitalu, brytyjski policjant o mało nie umarł.

Próba zamordowania rodziny Skripalów sprawiła, że Brytyjczycy zaczęli łączyć kropki na obrazku, którego przez lata nie dostrzegali, bo nie chcieli go widzieć. Otóż obecność rosyjskich oligarchów, mafii, brudnych pieniędzy, lobbystów i mediów realizujących zlecenia Kremla – wszystko

to układa się w spójny system. Już wcześniej jego elementem były zabójstwa polityczne. Ale dopiero dziś Brytyjczycy zdali sobie sprawę, że w ich kraju rosyjscy zabójcy – także działający w imię państwa – mogą liczyć na bezkarność. Inaczej nie podjęliby takiej próby.

Śmierć przez pomyłkę

– Rosyjskie pieniądze były obecne w Wielkiej Brytanii jeszcze przed upadkiem komunizmu – mówi mi Ed Lucas, były korespondent tygodnika „The Economist” w Europie Wschodniej. – Transferowano je przez wyspę Man i Cypr z międzynarodowej sekcji partii komunistycznej albo z KGB na potrzeby agentów, lobbystów, przestępców budujących załączki mafii. Już wtedy Rosjanie próbowali zahaczyć się w Londynie na rynku usług seksualnych, handlu metalami i bronią. Nikt tego nie uważał za poważne zagrożenie. Ot, po prostu obok chińskich triad, japońskiej jakuzi, Kolumbijczyków czy karaibskich Yardies pojawiła się jeszcze jedna grupa kryminalistów, na którą policja winna mieć baczenie.

– Po upadku Związku Sowieckiego nastąpiło jeszcze większe rozluźnienie, bo Rosję Jelcyńska uznano za przyjazne państwo demokratyczne, a za największe zagrożenie uważano ewentualny powrót komunistów do władzy – kontynuuje Lucas. – Dopiero pod koniec rządów Jelcyna zrozumiano, jak wielką rolę odgrywa w Rosji przestępczość zorganizowana.

Brytyjczycy trzymali dystans, ale nie do końca ignorowali obecność Rosjan. Już w latach 90. służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo miały świadomość skali problemu. W 1993 r. szef operacji specjalnych Scotland Yardu David Veness ostrzegał, że rosyjska mafia sprowadza na Wyspy wielkie ilości uzbrojenia, co groziło falą zbrodni z wykorzystaniem broni palnej. W 1994 r. kałasznikow został po raz pierwszy użyty podczas napadu na brytyjski bank: w mieście Kendal, w sercu Lake District. Dochodziło też do spektakularnych zbrodni na tle politycznym.

Jedną wzbudziła szok. Oto w kwietniu 1994 r. w Woking pod Londynem zastrzelono geofizyczkę Karen Reed. Zginęła przez pomyłkę. Celem mordercy była jej siostra, dziennikarka BBC, która mieszkała razem z Karen, ale tego wieczora akurat wyszła z domu. Przypuszcza się, że jej zabójstwo mogły zlecić władze Czeczenii, i że miało to być odwet za okrutne zabój-

stwo dwóch czeczeńskich agentów kilka miesięcy wcześniej.

Interesy szły świetnie

W następnej dekadzie Brytyjczycy regularnie dowiadywali się, z czym się może wiązać obecność Rosjan w Wielkiej Brytanii.

W 2006 r. przy pomocy polonu otruty został w Londynie Aleksander Litwinienko, były agent KGB i FSB. Według Brytyjczyków polecenie zabicia Litwinienki wydał osobiście Putin, a dokonał tego Andriej Ługowoj, kolega Litwinienki z FSB. Dwa lata później w niewyjaśnionych okolicznościach zmarł na zawał gruziński oligarcha Arkady „Badri” Patarkatsiszwili – przyjaciel Borysa Bierzowskiego, najsłynniejszego wtedy uciekiniera z Moskwy. W 2013 r. tenże Bierzowski został znaleziony martwy w swym domu pod Londynem. Początkowo uznano to za samobójstwo, ale w 2014 r. koroner zmienił kwalifikację: na podstawie nowych ustaleń z autopsji orzeczono, że powód śmierci Bierzowskiego musi pozostać nieznanym.

Jak na to reagowali Brytyjczycy? Ze spokojem i dystansem. Media miały używanie: mogły opowiadać mroźne krew w żyłach historii, które (z nielicznymi wyjątkami) nie dotyczyły rodowitych Brytyjczyków. Mogły ekscytować się też – i to była druga strona medalu – opowieściami, jak za ogromne pieniądze Rosjanie kupują wszystko, co tylko dało się kupić.

W 2003 r. Abramowicz stał się właścicielem Chelsea Londyn, wprowadzając miliardy funtów do angielskiego futbolu. W 2009 r. eksagent KGB Aleksander Lebediew przejął popularny dziennik londyński „Evening Standard”, wyprowadzając tytuł z dołka. Trzy lata wcześniej na londyńskiej giełdzie zadebiutowała spółka naftowa Rosneft (kontrolowana przez ludzi Putina), co uczyniło z wielu inwestorów, w tym Brytyjczyków, bogatych ludzi. W 2017 r. na giełdzie pojawiła się spółka energetyczna EN+, należąca do kolejnego oligarchy bliskiego Kremlowi – Olega Deripaski. Interesy z Rosjanami szły doskonale.

Ed Lucas: – City uważała rosyjskie pieniądze płynące z rajów podatkowych za dar niebios. Od początku tego stulecia robiliśmy dla Rosjan to samo, co wcześniej dla Saudów, a co później mieliśmy robić dla Chińczyków: reinwestowaliśmy ich pieniądze, nie zadając pytań. W 2005 r. napisałem dla „The Economist” tekst

„Glitzkrieg” [nawiązanie do „Blitzkriegu”; *glitz* to po angielsku blichtr – red.], który uznano wtedy za radykalny. A ja po prostu zwracałem uwagę, jak bogaci Rosjanie zapewniali sobie w UK prestiż: kupując kluby piłkarskie, przyjażniąc się z członkami rodziny królewskiej, dając pieniądze galeriom artystycznym i przeznaczając je na inne szlachetne cele. Oni naprawdę stawali się częścią establishmentu.

Brytania jak pralnia

Momentem przełomowym był zakup Chelsea przez Abramowicza w 2003 r. Od tego czasu wszelkie hamulce puściły.

– Zjednoczone Królestwo stało się centrum prania rosyjskich pieniędzy – mówi mi Rachel Davies z Transparency International UK. – Rozwijamy czerwony dywan przed rosyjskimi przestępcami, którzy chcą lokować u nas swoje pieniądze.

– Założmy, że jestem rosyjskim oligarchą, który chce kupić dom w Kensington za 10 mln funtów, ale nie chcę, by ktoś wiedział, że to ja jestem właścicielem. Jak działa ten system?

Rachel Davies: – Możesz to zrobić na kilka sposobów. Np. założyć firmę na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych albo innej wyspie z terytoriów zamorskich. Następnie przy pomocy nowej firmy zakładasz jej firmę córkę np. na Kajmanach. Potem firma z Kajmanów kupuje dom w Londynie. Gdy nieruchomości w Zjednoczonym Królestwie zakupywana jest w imieniu zagranicznej spółki, nie musi ona ujawniać władzom tożsamości właścicieli. Ani w księgach wieczystych, ani na policji, ani we władzach dzielnicy, w której kupiłeś dom, nie ma śladu po faktycznym właścicielu.

– Powiedzmy, że jesteś ministrem w rządzie Rosji – kontynuuje Davies – i zarabiasz równowartość 20 tys. funtów rocznie, a kupujesz dom za 10 mln. Dzięki takim zabiegom nikt nie będzie mógł porównać twoich zarobków z ceną domu i zapytać, skąd masz pieniądze.

Kosztowne nieruchomości

W istocie, mało kto o to pyta.

W 2015 r. dwaj byli bankierzy, a dziś działacze antykorupcyjni i twórcy organizacji ClampK – Roman Borisowicz i Arthur Doohan – zrobili dla telewizji Channel 4 film „From Russia with Cash” [w wolnym przekładzie: „Pieniądze z Rosji”; nawiązanie do tytułu jednego z odcinków Bonda „From Russia with Love”]. Film →

→ oparto na dziennikarskiej prowokacji. Borisowicz, rodowity Rosjanin, wcielił się w urzędnika Ministerstwa Zdrowia Rosji, który aranżuje spotkania z agencjami nieruchomości, by kupić domy w Londynie (Rosjanie najbardziej lubią lokować pieniądze w nieruchomości). W rozmowach z agentami Borisowicz mówi, że jest rosyjskim urzędnikiem, a jego pieniądze pochodzą z przestępstwa. Żaden z pięciu agentów nie próbuje go zniechęcić. Przeciwnie: wszyscy proponują usługi wyspecjalizowanych banków, firm prawniczych i księgowych, które pomogą zachować dyskrekcję.

Transparency International UK ocenia, że w Wielkiej Brytanii do właścicieli, których tożsamości nie da się zweryfikować, należą nieruchomości warte 4,4 mld funtów, a ok. 170 tys. nieruchomości kupiono za podejrzane środki. Większość skoncentrowana jest w zachodnim i centralnym Londynie: w Kensington, Chelsea, Westminsterze, Belgravi. Prócz Rosjan ich właścicielami są obywatele Azerbejdżanu, Kazachstanu, Nigerii, Chin i państw arabskich. Te informacje organizacja, której celem jest ujawnienie korupcji na rynku nieruchomości, uzyskała z ogólnie dostępnych źródeł: dokumentów sądowych, ksiąg wieczystych, mediów.

Do ujawniania korupcji przyczyniły się też głośne publikacje typu Panama Papers czy Paradise Leaks. Rachel Davies mówi mi, że dzięki jednemu z takich przecieków wiadomo, iż w 2014 r. pewna firma kupiła dwa domy, oddalone o pięć minut piechotą od Ministerstwa Obrony. Zdaniem rosyjskiego opozycjonisty Aleksieja Nawalnego firma należy do wicepremiera Rosji Igora Szuwałowa. Domy warte były 11,4 mln funtów – sto razy tyle, co jego roczna pensja.

Rząd się godził

Ale w porównaniu z cenami innych nieruchomości to i tak niewiele.

Dom w Hampstead (północny Londyn), wart 47 mln funtów, ma Aliszer Usmanow – potentat na rynku metali szlachetnych, stali i gazu. Andriej Guriew, właściciel drugiego pod względem obrotów producenta nawozów fosforowych na świecie, ma w Londynie nieruchomości warte ponad 350 mln funtów. Andriej Gonczarenko, dyrektor jednej ze spółek córek koncernu Gazprom, kupił cztery domy w centrum za 250 mln. W tym ponoć najdroższy dom w Wielkiej Brytanii: Hanover Lodge w Regent's Park, za 120 mln funtów.

Takie zakupy wpływają na całą branżę: ceny nieruchomości sztywnieją pod niebiosa. W rezultacie Brytyjczycy, którzy zawsze mieszkali w takiej okolicy, nie są w stanie dalej tu żyć, a potencjalni (brytyjscy) nabywcy nie są w stanie nic tam kupić. Nie tylko luksusowe, ale wszystkie domy w danej okolicy stają się droższe.

– Za zgodą władz brytyjskich w tym kraju powstał system, w ramach którego obywatele żyjący tu od pokoleń, przestrzegający prawa, pracujący uczciwie i płacący podatki, nie są w stanie kupić domu, bo ceny wywindowali gangsterzy z Rosji czy Afryki – mówi Arthur Doohan, współpracownik Borisowicza z antykorupcyjnej organizacji ClampK. – Rząd się na to latami godził. To absurd.

– Dodatkowo w tych domach zwykle nikt nie mieszka – dodaje Doohan. – Znam nieruchomości w dzielnicy Belgravia, kupione 10 lat temu, których właściciele mieszkali w nich może dwa-trzy miesiące przez cały ten czas. Czyli nie dość, że nieruchomości schodzi z rynku, to jej cena rośnie. Szaleństwo, kompletne szaleństwo.

Bill Browder walczy

– To zakrawa na ironię, że złodzieje, którzy okradają własny naród, chcą trzymać pieniądze w miejscu, które uznawane jest za najbezpieczniejsze na świecie i gdzie prawo chroni własność – mówi mi amerykańsko-brytyjski inwestor Bill Browder. – Wielka Brytania jest takim państwem: z silnym poczuciem praworządności, z jasnymi prawami własności, ale też odwracającym głowę, gdy widzi brudne pieniądze. Nie rozumiem, skąd to się bierze psychologicznie.

Browder, z którym spotykam się w siedzibie jego funduszu inwestycyjnego w centrum City, to ciekawa postać. Od 1996 r. prowadził w Moskwie fundusz lokujący pieniądze w rosyjskich firmach. Gdy postanowił nagłośnić korupcję w tych spółkach, władze rosyjskie rozbiły jego firmę, bez jego wiedzy założyły spółki zależne i użyły ich do firmowania kradzieży 300 mln dolarów. Adwokat Browdera, Siergiej Magnitski, który ujawnił skalę przestępstwa, został aresztowany i zabity w areszcie przez rosyjskie służby. Całą sprawę Browder opisał w książce „Czerwony alert”.

Dziś Browder walczy o ukaranie winnych śmierci Magnitskiego. Imieniem adwokata nazwano przyjęte przez kilka

krajów prawo, umożliwiające karanie urzędników państwowych winnych łamania praw człowieka. Pod koniec 2017 r. Browder został skazany w Rosji *in absentia* na 9 lat łagru za rzekome oszustwa podatkowe i doprowadzenie firmy do bankructwa.

Rosyjskie pieniądze i brytyjska polityka

Pytam Browdera, czy nie boi się o swoje bezpieczeństwo.

– Moim zabezpieczeniem jest otwartość, z jaką działam – odpowiada. – Jak pan widzi, nie mam tu nadmiernej ochrony. Ale nie jestem naiwny. Wiem, że gdyby Rosjanie mogli, dawno by mnie zabili. Jeśli tego nie robią, to dlatego, że nie znaleźli sposobu, by zrobić to bezkarnie.

Pytam, jak to możliwe, że tak łatwo w Londynie wypruć pieniądze.

Browder: – Policja nie wszczyna dochodzenia wobec ludzi, którzy łamią przepisy finansowe. Nie mówię tego jako stronny obserwator, tylko osoba, która wielokrotnie próbowała skłonić władze do podjęcia dochodzenia w sprawie Magnitskiego. Siergiej ujawnił kryminalne pochodzenie pieniędzy, które wyciekły z Rosji do 15 różnych krajów. Wiele z nich, także Polska, wszczęło dochodzenie. Jedynym państwem, które regularnie odmawia podjęcia tego kroku, jest UK. Choć właśnie tu przetransferowano najwięcej pieniędzy z przestępstw ujawnionych przez Magnitskiego.

Gdy pytam Browdera, jak rosyjskie pieniądze deformują życie publiczne w Wielkiej Brytanii, odpowiada bez wahania: – Najważniejszy jest ich wpływ na politykę. Bo wpływ Rosjan na brytyjską gospodarkę to zjawisko marginalne. Jeśli porównamy skalę rosyjskich inwestycji z wielkością brytyjskiego PKB, w zasadzie nie ma o czym mówić. Oni są obecni w jednej sferze: na rynku luksusowych nieruchomości. Praktycznie całość rosyjskich pieniędzy skoncentrowana jest w centrum Londynu. Ale są one blisko parlamentu. Wielu agentów nieruchomości, prawników, sprzedawców dzieł sztuki z tych dzielnic to znajomi członków parlamentu, a równocześnie obsługują rosyjskich gangsterów, organizując im inwestycje. Jest to wielka pokusa korupcji i wpływania na polityków, która wynika choćby z położenia ich domów.

To coś więcej niż przypuszczenia. Browder podaje przykład: – Jedną z głównych



Luksusowy jacht Andrieja Mielniczenki, przycumowany do okrętu wojennego HMS „Belfast”, Londyn, 2016 r.

osób dokonujących przestępstw, które ujawnił Magnitski, był rosyjski prawnik Andriej Pawłow. Dzięki mailom Pawłowa, które wyciekły, wiemy, jak wyglądała „ustawka”, która miała pogrążyć moją spółkę i rzucić oskarżenia o kradzież publicznych pieniędzy na mnie i Siergieja. Z maili Pawłowa wynika też, że jest powiązany z osobami z brytyjskiego establishmentu, którym płacił za to, by utrudniał wprowadzenie ustawy nazwanej nazwiskiem Magnitskiego.

– I ci Brytyjczycy w to weszli?

Browder: – Z pełnym entuzjazmem. Wzięli od niego duże pieniądze i wykonywali jego polityczne polecenia.

– Czy mówimy o członkach parlamentu? – pytam Browdera.

– O członkach Izby Lordów.

Czy Rosja będzie toksyczna

Teraz walkę z praniem brudnych pieniędzy może utrudnić brexit.

– Jeśli dojdzie do brexitu, pojawi się zagrożenie uzależnienia Wielkiej Brytanii od obcych pieniędzy – mówi Ed Lucas. – Będziemy chcieli sprowadzać zagranicznych inwestorów i może się okazać, że te kilka miliardów dolarów z Rosji będzie ważniejsze niż dziś. Mam nadzieję, że potrafimy sobie z tym zagrożeniem poradzić.

Już widać, że po próbie otrucia Skripalów wzrosła czujność służb. Nowa strategia Wielkiej Brytanii mówi, że bezpieczeństwo jest ważniejsze niż korzyści ekonomiczne dla państwa.

Jeszcze przed próbą zamordowania Skripalów nastąpiły pewne zmiany prawne. W styczniu 2018 r. wprowadzono przepis o ujawnieniu źródeł bogactwa: policja dostała instrument, który umożliwia ściganie gangsterów lokujących kradzione pieniądze na Wyspach. Ale jak dotąd wezwano tylko jedną osobę, która kupiła dwa domy o wartości 20 mln funtów.

Szokiem dla oligarchów były jednak dopiero sankcje, które Departament Skarbu USA nałożył w kwietniu tego roku na konkretne osoby i firmy z Rosji.

Arthur Doohan: – Putina i jego otoczenie interesują tylko pieniądze. Oni nie zwracają uwagi na takie organizacje jak nasza, pewnie się z nas śmieją. Uważają, że Zachód nie zdecyduje się przeciwstawić im bezpośrednio, bo dużo straci. I dotąd się nie mylili. Pozwalaliśmy im prac i pieniądze, i reputację.

Ed Lucas: – City zawsze będzie próbowała zarabiać. To instytucja amoralna, której istota polega na produkowaniu coraz większej ilości pieniędzy. Ale udało się

zniechęcić ją do współpracy z Iranem czy Koreą Północną. Może to samo uda się z Rosją?

– Rosjanie mają wiele interesów w Londynie i oni potrzebują nas bardziej niż my ich – dodaje Lucas. – Oni szukają kapitału, co teraz jest trudniejsze, więc skierują się do Dubaju lub Szanghaju, gdzie będą musieli ponosić większe koszty operacyjne niż tu. Myślę, że nie będzie więcej debiutów rosyjskich spółek na giełdzie londyńskiej ani fuzji z udziałem rosyjskich spółek przeprowadzanych w Londynie.

Gdy pieniądze są złe

Być może te nadzieje nie są bez pokrycia. Ale do tego potrzebne jest spełnienie jeszcze jednego warunku: uznania, że pieniądze z podejrzanego źródła są złe i nie należy ich ruszać. Do tego niezbędna jest fundamentalna zmiana myślenia wielu brytyjskich inwestorów.

Brytyjczycy stają dziś wobec alternatywy: czy godzić się na obecność u siebie brudnych pieniędzy z Rosji (i z innych krajów), z pełną świadomością skutków. Czy też uznać, że brudne pieniądze czynią zło nie tylko w krajach, z których są wywózzone, ale też w tych, do których trafiają.

© DARIUSZ ROSIAK



Rohingowie, uchodźcy z Birmy, w obozie w Cox Bazaar, Bangladesz, wrzesień 2017 r.

Wodą przed wodą

MAREK RABIJ

Czy uciekający z Birmy Rohingowie podzielą los „boat people”, którzy w latach 70. i 80. ubiegłego wieku próbowali opuścić Wietnam i Kambodżę na prowizorycznych łodziach? Wszystko zależy od tego, z jaką siłą w tym sezonie uderzy monsun.

1KWIECZNIA. MALEZYJSKA STRAŻ GRANICZNA przechwytuje na swoich wodach terytorialnych dryfującą łódź rybacką z 57 wyczerpanymi uchodźcami z Birmy na pokładzie. Okazuje się, że tydzień wcześniej stara łajba – po rejsie, który mocno nadwyreżył jej silnik i burty – awaryjnie przybiła do brzegów Tajlandii. Po prowizorycznych naprawach ruszyła dalej na południe, ale po kilkunastu godzinach silnik znów odmówił posłuszeństwa.

14 kwietnia. Malezyjscy rybacy ściągają na brzeg inną łódź, z 70 uciekinierami z Birmy. Pasażerowie są skrajnie odwodnieni, część trafia od razu do szpitali.

20 kwietnia. Na słynnej plaży w indonezyjskim Banda Aceh, którą w 2004 r. spustoszyło tsunami, ląduje łódź z ponad 50 uciekinierami z Birmy. Dokładnej liczby pasażerów straż graniczna nie może ustalić, bo część z nich ucieka od razu w głąb lądu. Pozostali mówią o sze-

ściu ofiarach śmiertelnych rejsu, który trwał aż 18 dni.

4 maja. Na pokładzie małej łodzi rybackiej 36 osób dociera do brzegu Malezji. Woda pitna skończyła się im cztery dni wcześniej. Czworo z nich, starzec i troje dzieci, są w stanie krytycznym.

Od początku marca malezyjska straż graniczna zatrzymała już 188 łodzi, na pokładzie których znajdowali się uciekinierzy z Birmy. Wszystkie wyruszyły z tego samego odległego odcinka birmańskiego wybrzeża – na wysokości miast Sit-twe i Maungdaw, czyli w pobliżu granicy z Bangladeszem. Opowieści uchodźców zawierają podobne elementy: głód, prześladowania oraz gwałty ze strony birmańskiego wojska i buddyjskich sąsiadów.

Na pytanie o narodowość współcześni *boat people* mówią o sobie: Rohingya.

Mobilizacja kota

Taslina Khatum nie widziała brata od 10 września 2017 r. Tego dnia, o poranku, w ich rodzinnej wiosce rozległy się strzały.

Godzinę później Taslima obserwowała ze skraju lasu, w którym skryła się z rodziną i sąsiadami, jak birmańskie wojsko podpala jej dom.

Brat mieszkał na drugim końcu wsi. O tym, że przeżył pacyfikację, Taslima dowiedziała się dopiero półtora miesiąca później, już w Bangladeszu, gdy udało się jej kupić kartę bangladeskiej sieci komórkowej i dodzwonić do brata.

– Najpierw płakaliśmy. Chyba dwie minuty ryczałam do słuchawki. On też długo nie był w stanie wydobyć z siebie słowa – wspomina kobieta. – Żołnierze go pobili, obrabowali dom, ale na szczęście nie zdążyli podłożyć ognia.

Brat Taslimy, Rahamad Jalal, nadal mieszka w ich rodzinnej wsi. Jesienią ubiegłego roku wojsko zarekwirowało mu wszystkie zwierzęta domowe, włącznie z kotem, który – jak mu oficjalnie przekazano – przeszedł na własność birmańskiej armii.

Potem, w styczniu, brat miał dostać zakaz uprawy własnego pola, które odtąd będzie utrzymywać buddyjską rodzinę z sąsiedniej wsi. – To samo zrobili reszcie mieszkańców – Taslima zaczyna płakać do słuchawki. – W naszej miejscowości w zeszłym roku mieszkało ponad 600 rodzin, a w tej chwili zostało ich tam niepełna 80. Na razie pomagają sobie nawzajem, dzieląc się resztkami zapasów i pieniędzy, które udało się im ukryć przed wojskiem. Ale brat mówi, że jedzenia mają najwyżej na trzy tygodnie.

Co wtedy? Do granicy z Bangladeszem ze wsi Taslimy idzie się cztery-pięć dni. Niestety – zarówno wojsko, które w pasie przygranicznym intensywnie usuwa teraz ostatnie ślady masakr z ostatniej jesieni, jak też miejscowe zbiry z buddyjskich wsi znają trasy, którymi grupy muzułmańskich Rohingów idą w stronę granicy.

– Szanse na to, że dotrze się do Bangladeszu niezauważonym, są właściwie zerowe – mówi Taslima. – Zdarza się, że zabijają schwytych Rohingów, ale najczęściej chcą pieniędzy i złota. A jak nie dostaną tego, czego chcą, biorą się za kobiety. Mój brat ma dwie córki. Nie zaryzykuje ucieczki łądem.

Pozostaje droga na południowy zachód, w stronę wybrzeża. Birmańscy przemysłowcy, którzy parają się przerzucaniem z Tajlandii yaby (miejscowej odmiany metamfetaminy), są wprawdzie nieprzewidywalnymi zbirami. Ale przynajmniej nie pytają o wyznanie, lecz o pieniądze. Za

równowartość około tysiąca dolarów wzmą na pokład każdego.

Taslima: – Brat powiedział, że jeśli uda mu się sprzedać resztki dobytku i uzbierać na podróż, nie będzie się zastanawiać. W Birmie dla Rohingów nie ma już miejsca.

„Bengalczycy”

Biuro Wysokiego Komisarza ONZ ds. uchodźców szacuje, że w Birmie pozostało dziś najwyżej 200-240 tys. Rohingów. Reszta uciekła z kraju po kolejnych falach prześladowań, jakie tej muzułmańskiej mniejszości buddyjskie elity kraju organizują systematycznie od 2012 r.

Na arenie międzynarodowej władze Birmy usiłują stworzyć wrażenie, że prześladowania należą do przeszłości, a nawet więcej – że uważają represje za błąd. Oficjalnie rząd zgodził się nawet przyjąć ponownie ponad 700 tys. Rohingów, przebywających w tymczasowych obozach w Bangladeszu. Ale w praktyce sabotuje próby wprowadzenia tego porozumienia w życie, mnożąc formalności i zasłaniając się m.in. ryzykiem sprowadzenia do kraju osób zwербowanych przez islamskich ekstremistów.

Bangladesz już na początku roku zadeklarował, że przez pięć dni w tygodniu może codziennie dostarczyć na granicę po pięciuset uchodźców o zweryfikowanej tożsamości i sprawdzonych przez służby specjalne. Birma odpowiedziała, że gotowa będzie przyjmować najwyżej 150 osób i to przez trzy dni w tygodniu. Aż w końcu całkowicie zamknęła granicę, tłumacząc się względami bezpieczeństwa.

Inna sprawa, że Rohingowie nie palą się do powrotu do Birmy. A zgodę na repatriację uzależniają m.in. od asysty sił pokojowych ONZ i obietnicy, że Birma w końcu przyzna im pełne obywatelstwo (dotąd byli w tym kraju bezpaństwowcami).

W połowie kwietnia pojawiła się szansa na porozumienie. Bangladesz odwiedził minister spraw społecznych Birmy Win Myat Aye. Polityk udał się też do obozu w Kutupalong. Ale nawet podczas kurtoazyjnego spotkania ze starannie wybranymi 30 przedstawicielami uchodźców konsekwentnie zwracał się do nich per „Bengalczycy” – zgodnie z wykładnią rządu Birmy, który uznaje Rohingów za element napływowy z Indii i Bangladeszu. Słowa Win Myata Aye doprowadziły zgromadzonych do furii i w efekcie birmańskiego gościa musiała ewakuować ze spotkania ochrona.

Dziś powodów do irytacji uchodźcy w Kutupalong mieliby jeszcze więcej.

Z kilkudziesięciu rodzin Rohingów, które zgodziły się wrócić do Birmy, 16 wylądowało znowu w Bangladeszu. Powód: repatriantów najpierw uroczystie powitano na przejściu granicznym, wydano im nowe birmańskie dokumenty tożsamości, po czym – już bez reporterów – przewieziono do obozu przy granicy, bez bieżącej wody, w którym mieli czekać na dalszy transport. Uchodźcy podejrzewali, że tymczasowe obozy są w istocie docelowym miejscem, które wskaże im władza. Niektórzy ponownie zbiegli do Bangladeszu.

Choć także nad obozami dla Rohingów po bangladeskiej stronie granicy zbierają się dziś burzowe chmury. W przenośni i dosłownie.

Czekając na ulewę

– Wszyscy patrzmy teraz w niebo – zapewnia Lynette Nyman z biura Czerwonego Półksiężyca w Cox Bazaar w Bangladeszu. – Na Zachodzie przyzwyczailiśmy się, że pogoda może nam co najwyżej zepsuć wakacje. Tutaj to kwestia życia i śmierci.

Administracja obozów dla Rohingów jeszcze w marcu szacowała, że ulewne deszcze w nadchodzącym sezonie monsunowym mogą zagrozić egzystencji 60 tys. uchodźców. Obecnie – na podstawie analiz łączących dane meteorologiczne z informacjami o ukształtowaniu terenu obozowisk – liczbę ludzi zagrożonych osunięciami gruntu i chorobami (wywołanymi przez nieczystości rozniesione przez wodę) trzeba zwiększyć do 130-160 tys.

Administracja i organizacje pozarządowe są bezsilne: w krótkim czasie nie uda się przenieść wszystkich mieszkańców zagrożonych obszarów na bezpieczniejsze, wyżej położone tereny. – Pozostaje nadzieja, że pogoda się nad nami ulituje – mówi Lynette Nyman.

Deszcz już pada. Ale to dopiero wstęp przed apogeum monsunowych ulew, które w tej części Azji przypadają na czerwiec i lipiec.

W najniższej położonych partiach obozów lustro wody może wówczas sięgać nawet trzy metry powyżej aktualnego poziomu. Mieszkańcy wiedzą, że muszą się stamtąd ewakuować. Tylko dokąd? Administracja obozów nie jest w stanie zapewnić wszystkim nowego dachu nad głową. Powrót do Birmy nie wchodzi w rachubę. Z kolei władze Bangladeszu nie pozwalają Rohingom

→ przenieść się w głąb kraju – rozstawiły sieć posterunków policyjnych i wojskowych.

Dwa tysiące kilometrów

Pozostaje kierunek na zachód – w stronę pobliskiego wybrzeża, wzdłuż którego na południe można przedostać się na wody otwarte Zatoki Bengalskiej, a dalej w stronę Morza Andamańskiego.

Tajlandia, południowy sąsiad Birmy, nie budzi zaufania w muzułmańskiej społeczności Rohingów, bo w olbrzymiej większości zamieszkują ją wyznawcy Buddy. Pod tym względem bezpieczniejsze wydają się Malesja i Indonezja, zamieszkiwane w większości (odpowiednio: 67 i 89 proc.) przez muzułmanów.

Problemem jest jednak dystans: ponad 2 tys. kilometrów po ciepłych, niezbyt wietrznych, ale i tak wymagających wodach Morza Andamańskiego.

– W obozach pojawili się już wysłannicy przewoźników – twierdzi Rashedul Islam, właściciel firmy Cox Bazaar Logistics (zapewniającej wsparcie zachodnim organizacjom pomocowym). – Kuszą tych biedaków wizją szybkiej i bezpiecznej podróży do Malesji, gdzie rzekomo będzie im lepiej niż w Bangladeszu. Opowiadają im nawet o osiedlach zbudowanych specjalnie dla Rohingów i zasiłkach na osiedlenie. Byle tylko wyrwać od nich ostatni grosz.

Stawka za przerzucenie z Bangladeszu do Malesji to od 1,8 tys. dolarów wzwyż, oczywiście od głowy. Kwota astronomiczna dla większości rodzin w obozach, żyjących z pomocy humanitarnej i dorywczych prac, na których można zarobić do pięciu dolarów dziennie.

Ale życie jest bezcenne. Zwłaszcza gdy uratowało się je od birmańskiej kuli.

– Z przykrością potwierdzam plotki, że coraz więcej kobiet Rohingya próbuje się prostytuować – Rashedulowi, który jest i gorliwym muzułmaninem, i gorącym bangladeskim patriotą, te słowa jakby przechodziły przez gardło z trudem. – Wiesz, co w tym wszystkim jest najobrzydliwsze? Że większość tych ludzi nigdy nie zobaczy brzegów Malesji. Wysadzą ich na pierwszej napotkanej wysepce albo wyrzucą za burtę.

Azjatyccy piraci

Boat people. W tej części globu to coś więcej niż potoczne określenie emigrantów próbujących dopłynąć na łodzi lub tratwie do lepszego świata.

Azja Południowo-Wschodnia pamięta dramat setek tysięcy *boat people*, próbujących w latach 70. i 80. XX w. uciec przed komunistycznymi dyktaturami Kambodży i Wietnamu. Według ostrożnych szacunków UNHCR, dla 80-100 tys. z nich podróż do lepszego jutra zakończyła się śmiercią. Część łodzi zatонуła. Innych czekała śmierć z rąk piratów.

Był koniec 1982 r., gdy 31-letni Nguyen Tien Hoa opowiadał w malezyjskim szpitalu dziennikarzom „New York Timesa” o tym, jak z 10-letnim bratem wyruszył z Wietnamu na 15-metrowej łodzi rybackiej, wypchanej po brzegi 75 uchodźcami.

Już drugiego dnia rejsu natrafili na kuter piratów. Pierwszy z ośmiu, które w trakcie tej podróży atakowały łódkę Nguyena Tien Hoa. Gdy 12 dni później odnalazła ją malezyjska straż graniczna, na pokładzie był tylko on, Nguyen. Wszystkie kobiety i dziewczynki, nawet ośmiolatkę, uprowadzono do burdeli. Pozostali mężczyźni zostali zamordowani lub zmarli z ran i wycieńczenia. „Szczegóły tej relacji, układa-

jące się w ciąg rabunków, pobić, gwałtów i tortur, są tak drastyczne, że postanowiliśmy w redakcji, aby ich nie przytaczać” – pisał „New York Times”.

Rejs przez Zatokę Tajlandzką w małej łodzi trwał wtedy 7-10 dni. Wiele jednostek napędzały słabe silniki, które wprawdzie spisywały się dobrze na rzekach, lecz na otwartym morzu szybko wysiadały z przeciążenia. Wypchane uchodźcami i ich dobytkiem, dryfujące całymi dniami po morzu łodzi stawały się łatwym łupem azjatyckich piratów.

Rolnicy na morzu

Tymczasem władze Tajlandii zbywały kolejne noty zachodnich dyplomatów – domagających się włączenia wojska do ochrony uchodźców – odpowiedzią, że w ich kraju piratów nie ma. Dopiero pod naciskiem USA we wrześniu 1981 r. tajlandzka marynarka wojenna rozpoczęła regularne patrole w pasie 600 mil wybrzeża, gdzie najczęściej dochodziło do ataków na *boat people*.

Ale poza miejscowymi rybakami wojsko nie natrafiło – oficjalnie – na podejrzaną jednostki. Na nic zdały się wyjaśnienia samych poszkodowanych, że wielu spośród właścicieli 40-50 tys. łodzi rybackich w Tajlandii łączy zawód połowiacza ryb i krewetek z polowaniami na *boat people*.

Ten scenariusz nie musi się teraz powtórzyć. Ale trzytygodniowy rejs po morzu zdezelowaną łodzią był i jest niebezpieczny – nawet bez zagrożenia ze strony piratów.

Lynette Nyman mówi: – Większość Rohingów to rolnicy, którzy morze znają z opowieści.

© P MAREK RABII

Współpraca: MOSTAFA SHAFIUL, COX BAZAAR

TP

Kluby „TP” zapraszają

CHOJNICE – środa, 30 maja, godz. 17.00

Spotkanie „Śladami Żydów Pomorskich”. Gościem będzie Mikołaj Grynberg. Miejsce: Miejska Biblioteka Publiczna (ul. Wysoka 3).

GDAŃSK – czwartek, 24 maja, godz. 18.30

Spotkanie „Jedność w różnorodności. Analiza porównawcza trzech

pontyfikatów”. Gościem będzie prof. Józef Majewski. Miejsce: Dom Hospicyjny (ul. Kopernika 6).

KRAKÓW – niedziela, 27 maja, godz. 19.00

Spotkanie „Dzieło Hanny Chrzanowskiej – i co dalej?”. Gośćmi będą Izabela Świertnia, Helena Matoga, Krystyna Pęchalska oraz Jadwiga i Stanisław Kracikowie. Miejsce: Instytut Myśli Józefa Tischnera (ul. Stawkowska 14).

WROCŁAW – piątek, 25 maja, godz. 18.00

Spotkanie „Tischner czyta Katechizm – rewolucja w Kościele”. Miejsce: Księgarnia-Kawiarnia Tajne Komplety (ul. Przejście Garncarskie 2).

ZIELONA GÓRA – poniedziałek, 28 maja, godz. 18.00

Spotkanie „Polska praworządność na rozdrużu”. Gościem będzie prof. Marcin Matczak. Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

ANDRZEJ

Stasiuk: Psia woń



GDY M. DZWONI Z DALEKIEGO MIASTA, PYTAM, co u dzieci. Chwilę później ona pyta, co u psów. Streszczam ich osiągnięcia: Cujka znowu poturbowała Lubkę, Mużin nazał się jakiegoś śmiecia i wyrzygał. A teraz wszystkie trzy leżą w słońcu i patrzą, jak o nich piszę. Rude, czarne i łaciate. Wszystkie średniej wielkości. Na szczęście niezbyt skoczne. Cujka co chwilę podrywa się i robi rundę po podwórku, żeby sprawdzić, czy nie pojawił się nowy zapach, kot z sąsiedztwa za płotem, w powietrzu nie byczy jakaś entomologiczna fauna, na którą można zapolować. Potem znowu nieruchomieje na trawie. I tak w kółko: 5 minut spoczynku, 5 minut aktywności, 5 minut uśpionej czujności, 5 minut wzmożonej kontroli nad światem.

Ale w nocy śpi nieprzerwanie. Można ją zaskoczyć o trzeciej nad ranem i nie podniesie nawet powieki. Co najwyżej przeciągnie się i pod dotykiem dłoni zamruczy jak kot. Ale musi być ciemność i cisza. Bo każdy obcy dźwięk stawia ją na łapy. Marszczy wtedy rude czoło, próbuje unieść kłapciaste uszy i stawia do góry zgrabny ogon zabarwiony na końcu spłowiałą czercią. Słyszysz przez troje drzwi i dwie ściany. Tak jak tego kota od sąsiadów, który przychodził wyzywać naszego na pojedynek. Szczekała wtedy w środku nocy, niepomna, że stoi na kanapie w kuchni, a wszyscy wokół śpią. Bo taki ma charakter.

Gdy wchodzi goście, rzuca się na nich przepełniona miłością i gryzie oraz liże. Wskakuje na kolana i obsypuje psimi pocałunkami sprawdzając jednocześnie, czy nie da się czegoś ściągnąć ze stołu. Niektórzy goście tylko udają, że lubią psy, i to jest bardzo ciekawy widok. A gdy już skończy się jej zapas uczuć, to nieruchomieje na kanapie jak rudy sfinks. Czasami nieruchomieje na podłodze, ale zdarza jej się to bardzo rzadko. Prawdę mówiąc – nigdy. Nie uznaje podłogi. Siada czasem na krześle i przysłuchuje się rozmowom. Trzeba pilnować, żeby krzesło nie stało za blisko stołu, bo przecież jest oczywiste, że jak można siedzieć na krześle, to można też jeść z talerza. No ale głównie kanapy. Gdy się nic nie dzieje, można przenosić się z jednej na drugą. Albo na fotel. Najlepiej, żeby było więcej kanap. Najlepiej same kanapy, bo wtedy nie trzeba by było schodzić na podłogę. Z kanapy lepiej się szczeka o trzeciej w nocy i lepiej poluje się na muchy.

Tak. Nie da się tego wyprać ani wywietrzyć. Tych kanap, tego fotela. Wchodzisz i od razu wiesz, że to psiarnia. Woń snuje się po domu w ciężkich splotach. W niektórych kątach zalega gęściej. Przenika na piętro, gdzie cała ta kundlarnia nie ma wstępu. Czasami mam wrażenie, że nawet drewno mebli, fajansowe talerze, blaszane garnki i wewnątrz lodówki nią przeszły. Ile byś nie prał, ile nie wietrzył, ile nie odkurzał, to i tak zostanie. Teraz siedzę na tarasie, jest ciepło i słoneczne przedpołudnie. Robi się powoli upał i w gorących powiewach odnajduję psią obecność. Bo przecież to nie miasto i nie biega się za

własnymi psami z plastikową torebką, więc to tu, to tam coś sobie leży, schnie w słońcu i wiatr miesza psią woń z żółtawą mgiełką pyłków i zapachem bzu, który akurat zaczyna kwitnąć. To jest tylko ostrzejsze, bardziej skondensowane niż emanacja z kanap. Taka jest prawda. Cały pies pachnie tak samo, tylko w różnym natężeniu. Jak człowiek z nim żyje, to trochę jakby spał w jego barłogu, mieszkał z nim w jego budzie. Zupełnie mi to nie przeszkadza. Przynajmniej tyle możemy dostać od starego i dzikiego, żebyśmy nie zapomnieli, skąd przyszliśmy.

No więc Cujka jak rudy płomień. Albo żółta jak piasek Gzanka. Była chyba z nami najdłużej. Nie miała w sobie nic z gwałtowności płomienia. Tliła się raczej łagodnie, jednostajnie i wydalała spokojne ciepło. Porośnięta krótkim futrem, które zimą podbite było gęstym białawym puchem, pozwalającym jej spać w największe mrozy w zaspie. Zwijiała się w kłębek, przykrywała nos czubkiem ogona i nie prosiła, by ją wpuścić. Wręcz odwrotnie. Gdy robiło się jej za gorąco, stawiała przy drzwiach i czekała, aż ktoś otworzy, i będzie mogła wyjść na chłód.

Miała śmieszne uszy, które nigdy się nie prostowały i wyglądały jak przyszyte. Niby w takim samym kolorze jak reszta, ale jakby od innego psa. I za dużą skórę. Też jakby od innego, wyrośniętego egzemplarza. Za to niezwykle przyjemną w dotyku. Na obcych ledwo poszczekiwała podbiegając za nimi niezgrabnie, trochę ciągnąc za sobą tylne nogi, bo w młodości przeszła parwowirozę. Woziliśmy ją do miasta i za pomocą kropłówek i lekarstw udało się jej z tego wyjść. Ale potem tył nie nadążał za przodem, tak jak ona za innymi psami.

Kiedyś miała szczeniaki i przyniosła im od sąsiada kurczaka. Niosła go niby ukradkiem, bo przecież wiedziała, że nie nosi się kurczaków, nawet jak się zostaje psią matką. Wiedziała, ale przecież musiały. Wyglądała przy tym jak lis nieudacznik. Na mój widok stanęła, podniosła łeb, ptak wypadł jej z pyska, chwilę leżał bez ruchu, a potem gładząc jak opętany pobiegł z powrotem. Spojrzała mi w oczy, opuściła jeszcze niżej uszy, które nigdy się nie podnosiły, i powiedziała: „Nie chciałam, naprawdę nie chciałam”. A w każdym razie tak mi się wydawało. ©

Przed Sądem Rejonowym dla Warszawy-Woli, w II Wydziale Cywilnym przy ul. Kocjana 3 w Warszawie, pod sygnaturą akt II Ns 9/17, toczy się postępowanie z wniosku Jadwigi Nowosielskiej, z udziałem Marka Walczaka, o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości stanowiącej samodzielny lokal mieszkalny nr 4 składający się z trzech pokoi, kuchni, łazienki, wc i przedpokoju, z przynależną piwnicą i budynkiem gospodarczym, o łącznej powierzchni użytkowej 72,20 m², znajdujący się na pierwszym piętrze budynku mieszkalnego położonego przy ul. Połczyńskiej 46 w Warszawie wraz z udziałem w wysokości 1/4 części w nieruchomości wspólnej, którą stanowi grunt oraz części budynku i urządzenia, które nie służą wyłącznie do użytku właścicieli lokali, dla której Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa prowadzi księgę wieczystą o nr. WA1M/00037619/4. Posiadaczem opisanej nieruchomości jest Jadwiga Nowosielska.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do tut. Sądu i wykazali swoje prawo do przedmiotu zasiedzenia, gdyż w przeciwnym razie Sąd rozpozna sprawę z ich pominięciem.

OGŁOSZENIE



ZACZĘŁO SIĘ W PRADZE

Wybuchła 400 lat temu: wojna nazwaną potem trzydziestoletnią, która zamieniła w pustynię ogromne obszary Europy. Zwłaszcza ówczesnego Cesarstwa Niemieckiego.

ANDRZEJ KRAWCZYK

GDY 23 MAJA 1618 R. W STOLICY KRÓLESTWA Czech – należącego do Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego – budził się dzień, mieszkańcy oczekiwali w napięciu, że może on przynieść ważne wydarzenia.

I rzeczywiście: choć wtedy nikt nie mógł tego nawet przypuszczać, to, co się stało tego dnia, dało początek wojnie trzydziestoletniej – najstraszliwszemu konfliktowi w dziejach Europy (gorszy wynik osiągnęła tylko dwie wojny świa-

towe XX wieku). Wojnie, która przyniosła śmierć co najmniej 8 milionom ludzi, a także niezmierzone zniszczenia i spustoszenie. Kilka generacji będzie potrzebowało potem nasz kontynent, by odbudować straty materialne. Szok moralny, jeden



*Defenestracja praska
na obrazie Václava Brožíka, XIX w.*

z efektów tej wojny, wpłynął na kształt europejskiej refleksji i sztuki. W pewnej mierze z pozostałościami ruin z wojny trzydziestoletniej żyją nawet współcześni.

Rozbudzone Czechy

Co najmniej od marca 1618 roku Stany Korony Czeskiej były w otwartym konflikcie z Maciejem Habsburgiem – panującym cesarzem Rzeszy i jednocześnie królem Czech.

Od czasu wojen husyckich (w latach 20. i 30. XV w.) w Czechach nie istniał formalnie stan duchowny. W Czechach – podobnie jak w całym niemieckim obszarze kulturowym, a inaczej niż w Rzeczypospolitej – szlachta była podzielona prawnie na niższą i wyższą (niższa to zwykła szlachta,

rycerstwo; wyższa to tzw. wolni panowie lub – używając dzisiejszego języka – arystokracja). Szlachta czeska nie była tak liczna jak polska: w niższej było to 1600 rodzin, w wyższej tylko 60. Najwyższą reprezentacją Królestwa był Sejm Krajowy. Prawo zwoływania obrad Sejmu przysługiwało władcy. Udział w obradach Sejmu był rzeczą kosztowną i zajmował dużo czasu, dlatego brali w nich udział głównie panowie z wyższej szlachty albo reprezentanci regionów, którym pokrywano koszty pobytu w Pradze.

Od XV wieku Czechy miały opinię kraju rozbudzonego religijnie, czasem fanatycznie dogmatycznego i kacerskiego. Później, w wiekach XIX i XX, historycy, filozofowie i politycy mieli wykonać olbrzymi wysiłek przekonywania społeczeństw, że konflikty religijne są tylko pretekstem, pod którym kryje się walka o dobra materialne, przywileje albo władzę.

Ale zagadki ludzkiego umysłu są niezbadane. Historycy mogą jedynie powiedzieć, że wiele wskazuje na to, iż w XVII wieku człowiek rzeczywiście żył problemami wiary i sposobu jej wyznawania. Co oczywiście nie jest sprzeczne z tym, że marzenia o władzy czy majątku są także istotnym czynnikiem, często popychającym do działania i wzmacniającym przekonania ideowe.

Wiara, polityka i emocje

W Czechach, mających bogatą tradycję husyckiej herezji i wadzenia się z Kościołem katolickim, emocje religijne nigdy nie wygasły. Minęło 200 lat od wystąpienia teologa Jana Husa – jego śmierć na stosie, podczas soboru w Konstancji, dała początek wojnom nazwanym potem od jego imienia husyckimi – a w Czechach ciągle nie było spokoju religijnego.

W 1609 roku stany czeskie wymusiły na Rudolfe II – cesarzu i zarazem królu – wydanie tzw. Listu Majestatu (Jego Wysokości), który potwierdzał prawo do funkcjonowania bez ograniczeń wyznania czeskiego. Teologicznie zakładało ono przyjmowanie przez wszystkich wierzących komunii „pod postacią chleba i wina” (czyli hostii i – wraz z kapłanem – wina mszalnego z kielicha, na pamiątkę krwi Jezusa Chrystusa). Dokument gwarantował również temu wyznaniu wolność budowania nowych świątyń i szkół.

Wcześniej, aż do połowy XVI wieku, odsetek katolików w Czechach nie był duży. Nawet urząd praskiego arcybiskupa przez

dziesięciolecia pozostawał nieobsadzony. Od 1526 roku w Czechach panowali katolicy Habsburgowie. Jako wierni wyznawcy Kościoła katolickiego w duchu epoki kierowali się poczuciem misji ewangelizacyjnej. Na urzędy w Czechach stawali się konsekwentnie mianować katolików; w efekcie konwersja na katolicyzm stała się warunkiem awansu społecznego. Wzorcem dla dworu Habsburgów była Hiszpania, stąd frakcja radykalnych katolików nazywana była często „Hiszpanami”.

Za fundamentalną datę w historii społecznej kraju trzeba uznać sprowadzenie jezuitów – w 1556 roku do Czech i dwa lata później na Morawy. Skoncentrowali się oni na wychowaniu młodzieży szlacheckiej i na pracy formacyjnej z młodymi arystokratami. W założonych przez nich kolegiach (około dziesięciu; pierwsze w 1581 roku) ukształtowała się cała generacja.

Pod koniec stulecia widoczne stały się efekty ich pracy: przedstawiciele największych rodów czeskich zaczęli przechodzić na katolicyzm. Natomiast, wbrew późniejszemu teozom propagandowym, problem językowy i narodowy nie miał tu znaczenia. Cała szlachta mówiła i po czesku, i po niemiecku. Język niemiecki traktowano jako użytkowy i w zasadzie w nim prowadzono np. dokumentację w urzędach czy korespondencję. Niemiec kim posługiwali się także w dużej mierze mieszcianie i rzemieślnicy. Także fakt, że wśród małżonek arystokratów dużo było wówczas Włoszek i Hiszpanek, miał wpływ na język kultury i modę.

Ideologie i realia

W 1612 roku cesarz przeniósł się z Pragi do Wiednia, co też nie pozostało bez wpływu na narodowy i językowy charakter kasty urzędników.

Jednym z najbardziej znanych Czechów katolików tej doby był Zdeněk z Lobkovic, faktyczny twórca znanej dynastii arystokratycznej Lobkowiczów (wykształcony w Niemczech i Włoszech). Od 1599 roku był kanclerzem Czeskiej Kancelarii Dworskiej, głównego urzędu łącznikowego między cesarzem i Pragą. Włożył dużo pracy i osobistych starań w nadanie aparatowi urzędniczemu katolickiego charakteru. Wybiegając nieco do przodu, powiedzmy od razu, że po wybuchu powstania w Czechach w 1618 roku nowe władze nakazały mu opuścić Pragę. Wyjechał do Wiednia →

→ wraz z Kancelarią Dworską, która odtąd miała działać już zawsze przy dworze, a nie na terenie Czech (za zasługi dla monarchii Lobkovic otrzymał w 1623 roku tytuł księcia).

Tymczasem problem przechodzenia na katolicyzm (lub pozostawania przy Kościele katolickim) był w Czechach kwestią drażliwą i wykorzystywaną dla celów ideologicznych. Temat ten stał się zresztą później, w XIX wieku, ważną częścią składową tworzącej się nowoczesnej czeskiej świadomości narodowej. Katolicyzm miał być wrogi Czechom i odrzucany przez „porządnych” Czechów, katolicy zaś mieli być Niemcami – albo też Włochami, Hiszpanami czy Francuzami na służbie niemieckiej. Później jeszcze, od końca wieku XIX, swój wkład dorzuciła historiografia marksistowska, przedstawiając katolicyzm jako narzędzie ucisku klasowego i germanizacji społeczeństwa czeskiego.

Rzeczywistość była bardziej skomplikowana – i dopiero dziś historycy czescy starają się ją opisać zgodnie z prawdą. Ale powszechna świadomość jest zawsze opóźniona i w powszechnym czeskim odczuciu nadal dominują stare kalki myślowe. Powoli dopiero przenika do świadomości, że twórcami Odrodzenia Narodowego (w czeskiej literaturze pisanego właśnie wielkimi literami) i obrońcami języka czeskiego – dzięki którym przetrwał on napór niemieczyny – byli katolicy księża: Bohuslav Balbín i Josef Dobrovský. A jednak w czeskim życiu intelektualnym i politycznym do dziś wielkie emocje budzą dwa pojęcia: „jezuici” (jako funkcjonariusze aparatu konwersji na katolicyzm) i „barok” (rozumiany jako emanacja ducha katolicyzmu).

Lokalna sprawa z Broumova

Na początku 1617 roku starzejący się i bezdzietny cesarz Maciej doprowadził do koronacji na następcę – jeszcze za życia – swego bratanka księcia Ferdynanda. Był on znany jako „agresywny” katolik (używając współczesnego języka ze świata polityki), z poczuciem misji ewangelizacyjnej. Niekatolicy w Czechach poczuli się tym zaniepokojeni.

Tymczasem od 1611 roku ciągnęła się lokalna sprawa z Broumova w północnych Czechach (dziś na granicy z Polską, 12 km od Nowej Rudy). Miejscowa wspólnota braci czeskich zbudowała sobie tam kościół na ziemi, która należała do katolickiego klasztoru (benedyktynów). Jego

Kłeskę pod Białą Górą

uważano powszechnie za narodową tragedię.

Tymczasem historyk Josef Pekař postawił tezę, że to dzięki Białej Górze przetrwał naród czeski. Bo gdyby nie ta kłeska, Czesi staliby się częścią Europy protestanckiej i niemieckiej – i zniknęliby jako naród.

opat zażądał od braci czeskich oddania klasztorowi tego kościoła, zgodnie z zasadą *Cuius regio, eius religio* (w wolnym przekładzie: kto rządzi na danym terenie, ten określa, jaka religia ma tam być wyznawana).

Sprawa trafiła przed oblicze cesarza, który podtrzymał decyzję opata – argumentując, że w katolickich majątkach kościelnych nie można stawiać świątyń innych wyznań, i że nie ma tu zastosowania zasada wolności budowania świątyń, wymieniona w Liście Majestatu Rudolfa II.

Niekatolicy uznali to za sprawę precedensową i symboliczną. Bali się, że jeśli ustąpią w tym konkretnym przypadku, będzie to ich generalna kapitulacja przed ofensywą katolików. Dlatego, choć z ociąganiem, zdecydowali się podjąć walkę – i zwołać na marzec 1618 roku Sejm, który miał być aktem protestu. Było to naruszenie wyłącznego uprawnienia władcy do zwoływania tegoż Sejmu.

Sejm Krajowy zebrał się w Pradze, w historycznym budynku Karolinum (dziś to rektorat uniwersytetu praskiego). Wielu posłów nie przyjechało ze strachu przed konfrontacją z cesarzem. Widząc słabość zebranej opozycji, jej przywódcy postanowili jedynie raz jeszcze wystąpić z petycją do cesarza w sprawie Broumova (a także Hrobu, podobnego przypadku) oraz odroczyc obrady o kilka tygodni, aby poczekać na reakcję władcy.

Demonstracja zaplanowana

Gdy nadszedł dzień obrad, tuż przed ich rozpoczęciem w Karolinum stawili się posłańcy z Hradu (praskiego zamku, siedziby

przedstawicieli cesarza) – z informacją o liście od władcy do Sejmu i z zaproszeniem posłów na Hrad, gdzie będzie on odczytany. Wszyscy posłowie przeszli pochodem przez most Karola na Hrad. Tam odczytano im list. Był twardy i zdecydowany: ubrany w skomplikowane frazy epoki, zakazywał dalszej pracy Sejmu.

Jak niektórzy obecni pisali później we wspomnieniach, powiało strachem, że „można za to zapłacić gardłem”. Jeden z przywódców opozycji zażądał pokazania listu, by można było stwierdzić, że nie jest to oszustwo. List był oczywiście oryginalny.

Na następne spotkanie na Hradzie z przedstawicielami cesarza (byli to Vilém Slavata i Jaroslav Martinic) umówiono się na wtorek 23 maja 1618 r. Obaj posłańcy cesarscy byli wysokimi urzędnikami, tzw. regentami, zarządzającymi w imieniu władcy Królestwem Czeskim (ogółem było 11 takich regentów; można ich porównać do dzisiejszych ministrów – członków rządu). Byli znani, w opozycyjnym Sejmie mieli wielu znajomych, a nawet krewnych.

Powszechnie spodziewano się, że opozycja ukorzy się przed cesarskim gniewem. Ale w mieście panował niepokój. Obawiano się rozruchów i kary, którą mogliby nałożyć cesarscy dygnitarze. Kupcy zamykali sklepy i barykadowali okna.

Tymczasem przywódcy opozycji – Jindřich Thurn, zasłużony pułkownik armii cesarskiej (nie mówił dobrze po czesku) i Joachim Ondřej Šlik – mieli poczucie, że to Slavata i Martinic są autorami listu, który cesarz tylko podpisał (dziś wiadomo, że nie było to prawdą). Poza tym obaj uważali, że sprawy zaszły tak daleko, iż nie można się poddać i lepiej doprowadzić do konfrontacji. I to spektakularnej. Wieczorem 22 maja, na spotkaniu w domu rodu Smiřických na placu Malostranskim ustalono, że nazajutrz trzeba stworzyć atmosferę takiego zdenerwowania i determinacji, że w zagrany podnieceniu... wyrzuci się delegatów cesarza przez okno.

Być może pomysł na taką demonstrację przyszedł przywódcom opozycji do głowy dlatego, że już raz w historii Czech – w 1419 roku – dokonano podobnej defenestracji (od niem. *Fenster* – okno): husycy radykałowie wyrzucili wtedy z okna ratusza (i następnie zabili) kilku praskich radnych. Była to jedna z iskier, które doprowadziły do wojen husyckich.

Następnego dnia sprawy potoczyły się tak, jak zaplanowano. Zainscenizowano „sąd” nad Slavatą i Martinicem, po czym grupa posłów – na czele z Thurnem i Václavem Budovcem z Budova (znanym arystokratą) – rzuciła się na cesarskich posłańców, zaciągnęła ich do okna i... rzeczywiście wyrzuciła.

Czeskie powstanie

Stało się. Królestwo Czeskie wypowiedziało posłuszeństwo swemu władcy.

Można powiedzieć, że defenestracja posłańców cesarskich była w istocie próbą zabójstwa. Okno było na wysokości ok. 15 metrów nad ziemią. Szczęśliwie ich upadek zamortyzował stok, po którym się zsunęli, i gruba warstwa śmieci w fosie. Martinic wstał o własnych siłach i uciekł. Slavata uderzył się o gzyms i musiano go odnieść, ale też nie był ciężko zraniony. W zamieszaniu wyrzucono też urzędnika kancelaryjnego nazwiskiem Fabricius, który denerwował spiskowców okrzykiem: „Co robicie, wy ich wyrzucicie z okna!”. Także on przeżył upadek.

Wiść o czynie czeskiej opozycji poszła w świat. Już wtedy wymyślono dla niego nazwę własną: defenestracja. Weszła do powszechnego zasobu pojęć politycznych, jak np. szturm Bastylii.

Jakie były konsekwencje? Początkowo opozycja protestancka przejęła w Czechach władzę. Tryumfalnie ogłoszono jej zwycięstwo i wypowiedziano władzę katolickiemu cesarzowi. Konfiskowano ziemię katolików i zmuszano ich do wyjazdu z kraju. Powołano 30-osobową Radę Dyrektorów do zarządzania Królestwem. Zaczął się dwuletni okres, który historycy określają jako Czeskie Powstanie Stanowe. Do powstania nie przyłączyły się katolickie Morawy.

Sejm Krajowy ogłosił detronizację cesarza (w międzyczasie stary Maciej zmarł i faktyczne panowanie zaczął Ferdynand II). Później wybrano nowego króla: kalwina Fryderyka Wittelsbacha z Palatynatu. Habsburgowie oczywiście nie uznali tego kroku, traktując całą historię jako rebelię.

Wielka przebudowa

Fryderyk Wittelsbach był królem jedynie przez rok i cztery dni. Jesienią 1620 roku armia zorganizowana przez Ligę Katolicką państw niemieckich na czele z Bawarią (z dużym udziałem Francuzów

i Hiszpanów; służył w niej np. późniejszy filozof Kartezjusz) wkroczyła do Czech. I niespodziewanie rozbiła z marszu wojska powstańców – sporą ich część tworzyli zresztą nie Czesi, lecz najemni żołnierze niemieccy. Stało się to 8 listopada pod Białą Górą.

Armia cesarska weszła do Pragi. Król Fryderyk uciekł do Wrocławia, a potem dalej. Powróciły rządy Habsburgów.

Cesarz zarządził śledztwo w sprawie organizacji powstania, które zakończyło się wyrokami śmierci na jego przywódców: trzech czeskich panów, siedmiu szlachciców i 17 mieszczan. Egzekucje stały się makabrycznym przedstawieniem: wyroki wykonano publicznie na rynku praskiego Starego Miasta, w sposób zróżnicowany w zależności od stanu (ścięcie, wieszanie, ćwiartowanie). Niektórym przed zadaniem śmierci obcinano język (za bluźniercze przemówienia) lub rękę. Głowy straconych wywieszono w specjalnych klatkach przy bramach miasta.

Ale to był dopiero początek wielkiej i planowej „przebudowy” Czech, dokonanej w kolejnych latach przez cesarza. Jej podstawą miała być rekatalizacja (z wyjątkiem Żydów) i zmiana systemu stanowego na monarchię oświeconą i absolutną.

Konsekwencją powstania czeskiego było też uruchomienie reakcji łańcuchowej pod postacią kolejnych konfliktów: rewolucji w Niderlandach, wojen habsbursko-francuskich, a także wojen o dominację nad Bałtykiem, w których kluczową rolę miała odegrać Szwecja. Główną areną konfliktu stało się cesarstwo niemieckie. Gdy w 1648 roku zawarto w końcu pokój (nazwany westfalskim), ogromne jego obszary były ziemią spaloną i bezludną. Ale to już osobna historia.

Spory o Białą Górę

A Czechy? Narodowa świadomość czeska wskazywała potem (zwłaszcza pod wpływem XIX-wiecznych „budzicieli”) na okres po Białej Górze jako „czas ciemności i upadku”. Ale był to zarazem okres stabilizacji ekonomicznej, podniesienia standardu życia wszystkich warstw, upowszechnienia edukacji i zbudowania barokowych miast oraz zamków czeskich, które dziś są chlubą kraju.

Cechą baroku było też uruchomienie tzw. religijności ludowej, którą mocno potępiano w lewicowo-laickiej tradycji. Ale

to przecież barok przyniósł w 1729 roku wyniesienie na ołtarze Jana Nepomucena i jego kult. Tysiące jego figurek rozrzuconych po wsiach, miastach i rozstajach dróg są znakiem rozpoznawczym Europy Środkowej, a zwłaszcza Czech. Jednak w patriotycznej czeskiej tradycji czeski barok postrzegany był jako zjawisko antypostępowe, obce i nienarodowe (po II wojnie światowej komuniści doprowadzili tę krytykę do karykatury).

Znany konserwatywny historyk czeski Václav Tomek pisał w połowie XIX wieku, że tragedia Białej Góry była „dogrywka” i logiczną konsekwencją błędnej drogi i zdemoralizowania, na którą wszedł naród czeski, ulegając husyckiej herezji. Trzeba przyznać, że była to opinia odosobniona.

Natomiast jeden z najwybitniejszych czeskich historyków, Josef Pekař, postawił na początku lat 20. XX wieku tezę, która brzmiała jak paradoks: że to dzięki Białej Górze przetrwał naród czeski. Gdyby nie było tej klęski – dowodził Pekař – Czesi staliby się częścią protestanckiej Europy, w oczywisty sposób niemieckiej, i prawdopodobnie zniknęliby jako naród. Z kolei inny wybitny historyk – Ernest Denis, Francuz zakochany i zadomowiony w Czechach – w książce „Koniec samodzielności czeskiej” z 1890 roku pisał, że choć Biała Góra była narodową tragedią, to uchroniła Czechy przed losem Polski, czyli zdegenerowaniem rządów stanu szlacheckiego...

Historia jest nauczycielką życia, ale trzeba ją porządnie studiować. I czytać opasłe tomiuszka prac historycznych.

Postscriptum

Dzieje wojny trzydziestoletniej są tematem nieustającej dyskusji pozornie tylko dotyczącej historii. Czym ona była: wojną religijną, serią rewolucji społecznych czy klasycznym bojem o wpływy między Habsburgami a Francją, z udziałem Szwecji? Jaka jest natura procesów historycznych: czy europejską hekatombę spowodowała defenestracja (to pytanie podobne do tego, czy zastrzelenie w Sarajewie arcyksięcia Ferdynanda przez młodego serbskiego ucznia było przyczyną I wojny światowej)? Czy można poznać prawdziwe intencje ludzkich działań? Jak głęboka (i szeroka) może być motywacja religijna? I tak dalej, i tak dalej...

W gruncie rzeczy są to spory o rozumienie świata. © ANDRZEJ KRAWCZYK

MATKA NATURA I GMO

Liczni przeciwnicy organizmów modyfikowanych genetycznie
twierdzą, że są one nienaturalne i niebezpieczne.
Skonfrontujmy ten pogląd z rzeczywistością.

ŁUKASZ SAKOWSKI



ORGANIZM ZMODYFIKOWANY GENETYCZNIE (w skrócie: GMO) to taki, w którym sekwencja DNA zmieniona została za pomocą metod inżynierii genetycznej. Może być wzbogacona o fragment genomu tego samego gatunku (czasami nazywa się to cisgenezą) lub innego gatunku (wówczas mówimy o transgenezie). Najpopularniejszą metodą tworzenia GMO jest wykorzystanie tzw. wektora (najczęściej to zmodyfikowana cząsteczka genomu wirusa lub bakterii).

W skrócie polega to na włączeniu interesującej nas sekwencji DNA do wektora, następnie wprowadzeniu wektora do modyfikowanej genetycznie komórki eukariotycznej lub bakteryjnej i umożliwienie włączenia sekwencji do genomu gospodarza. To, jak dokładnie wygląda taka procedura, zależy od tego, czy modyfikujemy bakterie, rośliny czy zwierzęta. W przypadku tych pierwszych całą procedurę można przeprowadzić bezpośrednio,

u tych drugich zmodyfikowane bakterie należy wszczepić, a następnie zmienione genetycznie komórki wybrać do odtworzenia rośliny.

U zwierząt należy wektory ze zmienionymi genami wprowadzić do komórek zarodkowych, które następnie wszczepia się do zarodków. Potem selekcionuje się narodzone już osobniki do rozrodu, zgodnie z tym, czy przyjęły zmodyfikowaną sekwencję DNA, by wreszcie otrzymać „pełne” zmodyfikowane genetycznie zwierzęta. Inna metoda przypomina sposób, w jaki sklonowano słynną owcę Dolly (klonowanie poprzez transfer jądra), ale dodatkowo z wprowadzeniem obcych sekwencji DNA do jądra komórkowego.

Przeciwnicy GMO twierdzą, że organizmy takie są w pełni nienaturalne. Warto skonfrontować taki pogląd z rzeczywistością z dwóch perspektyw: Matki Natury (i ewolucji biologicznej) oraz bardziej tradycyjnych metod hodowli nowych odmian.

Natura

Zjawisko genetycznej modyfikacji organizmów istnieje od milionów lat za sprawą wirusów. To, co inżynierowie genetyczni robią w laboratorium, powszechnie następuje podczas infekcji wirusowych (to tzw. horyzontalny lub poziomy transfer genów). Prawdopodobnie każdy z nas ma w sobie własne komórki zmodyfikowane genetycznie przez jakiegoś wirusa. Również nowoczesne metody redagowania genomu (CRISPR/Cas) to naśladowanie świata przyrody – systemu obronnego bakterii przed próbującymi „nadpisać” ich genom wirusami.

Kolejna kwestia jeszcze bardziej przemawia do wyobraźni. Istnieją różne metody wytwarzania nowych odmian roślin – na razie skupmy się na tym królestwie organizmów. Modyfikowanie genetyczne to tylko jedna z nich. Najbardziej pierwotną techniką jest zwyczajne krzyżowanie wewnątrzgatunkowe lub międzygatunkowe. Selekcionujemy rośliny pod względem pożądanych cech i rozmnażamy dalej. To czasochłonna droga otrzymywania nowych form, wymaga zwykle co najmniej kilku lat hodowli (w poprzednich wiekach zajmowała znacznie więcej czasu). Bardzo popularną metodą ingerującą „sztucznie” w genom jest celowa mutage-

neza. Polega na bombardowaniu nasion promieniowaniem jonizującym, które wywołuje mutacje DNA. Pośród wielu szkodliwych mutacji powstałych na skutek takiego działania pojawią się też pożądane. Hodowca selekcionuje te ostatnie, mając materiał do tworzenia nowej odmiany.

Co ciekawe, jak zauważa m.in. Marcin Rotkiewicz w wartej uwagi książce „W królestwie Monszatana”, wytwarzanie nowych odmian drogą mutagenyzy nie budzi wśród aktywistów takich kontrowersji, jak produkowanie roślin GMO za pomocą inżynierii genetycznej. Powtórzmy: podczas bombardowania nasion promieniowaniem jonizującym wywołujemy wiele różnych, losowych mutacji w genomie rośliny, nie wiedząc, gdzie dokładnie i jakie konkretnie zmiany zaszyły. Otrzymujemy sporo nieprzydatnych mutantów oraz pojedyncze perełki nadające się do dalszej hodowli. W przypadku tworzenia roślin GMO metodami inżynierii genetycznej robimy fundamentalnie to samo, tylko dużo bardziej precyzyjnie – zamiast wielu mutacji w różnych, nieznanych nam miejscach, dokonujemy jednej lub kilku szczegółowych zmian, które mamy pod kontrolą. Trudno więc znaleźć racjonalne uzasadnienie strachu przed kontrolowanymi, precyzyjnymi zmianami przy jednoczesnym braku obaw wobec masowej, losowej mutagenyzy, nad którą nie panujemy.

Manipulacja

Francuski biolog molekularny Gilles-Éric Séralini, później także zaangażowany politycznie, zasłynął badaniami nad wpływem kukurydzy GMO na szczury. Ten eksperyment przytaczany jest przez przeciwników GMO jako koronny argument za tym, że taka żywność może być rakotwórcza.

Séralini karmił szczury kukurydzą GMO, kukurydzą nie-GMO oraz glifosatem (popularnym środkiem stosowanym do niszczenia chwastów, na który odporne są niektóre odmiany GMO) w różnych kombinacjach i dawkach, przez dwa lata. Wyniki przyniosły przerażające obrazy zwierząt obłożonych guzami nowotworowymi i informacje o ich szybszej śmierci. Zdjęcia służyły jako narzędzie propagandowe ruchów anti-GMO i sprzeciwiających się stosowaniu glifosatu.

Szybko okazało się jednak, że badanie Seraliniego było przepełnione błędami metodologicznymi, manipulacjami i konfliktami interesów, co podważyło



PATRICK BERNARD / AFP PHOTO / EAST NEWS

Policja chroni pole kukurydzy GMO przed demonstrantami, Virazeil, południowa Francja, wrzesień 2001 r.

→ wiarygodność jego wyników. Najważniejszym nieporozumieniem było wykorzystanie w eksperymencie szczurów szczepu Sprague Dawley. Są to zwierzęta laboratoryjne wyhodowane sztucznie dla celów naukowych. Znacznie częściej chorują na nowotwory niezależnie od tego, czy są karmione kukurydzą GMO, czy zwykłym pokarmem. Badanie trwało dwa lata, czyli przeciętny okres życia szczura laboratoryjnego – zwierzęta były zatem pod koniec eksperymentu stare, co dodatkowo zwiększało ryzyko pojawiania się nowotworów.

To nie koniec błędów. Séralini stworzył bardzo małe grupy eksperymentalne. Łącznie 200 szczurów podzielił po 20 osobników na grupę (10 każdej płci). W przypadku badań biomedycznych i żywieniowych tak niewielka próba nie pozwala na wyciągnięcie wiarygodnych wniosków z otrzymanych wyników. Analizy statystyczne zostały przeprowadzone błędnie, w publikacji z wynikami eksperymentu nie zamieszczono ważnych danych dotyczących dawkowania karmy, a w całym badaniu zabrakło jednej grupy kontrolnej (szczurów, które otrzymywałyby standardową paszę laboratoryjną). Gwoździem do trumny badania Séraliniego były ujawnione i wyeksponowane powiązania z organizacjami anty-GMO, m.in. Greenpeace'em. Z tych wszystkich powodów na Séraliniego spadła ostra krytyka ze strony innych badaczy i instytucji, m.in. Europejskiego Urzędu ds. Bezpieczeństwa Żywności. Ostatecznie jego publikację wycofano z czasopisma naukowego „Food and Chemical Toxicology”, gdzie zostało wcześniej zaakceptowane, a sam Séralini w środowisku naukowym zaczął uchodzić za osobę skompromitowaną.

Bezpieczeństwo

Jednak nawet jeśli odrzucimy wątpliwe wnioski Séraliniego, pozostaje pytanie o bezpieczeństwo spożywania produktów pochodzenia GMO.

Każdy produkt spożywczy pochodzenia zwierzęcego, roślinnego czy grzybicznego zawiera DNA, niezależnie od tego, czy jest zmodyfikowany genetycznie, czy nie. Zjadając pomidora z podmiejskiego ogródka spożywamy DNA, podobnie jak podczas zjadania pomidora genetycznie zmodyfikowanego FlavrSavr. Założenie, że żywność pochodzenia GMO ze względu na sam tylko fakt posiadania obcych sekwencji DNA jest szkodliwa, nie ma oparcia w dowodach. Nawet jeżeli krótkie frag-

Fragmenty DNA
z produktów spożywczych
zostaną rozłożone
w przewodzie pokarmowym.
Nie ma możliwości,
by obca ludzkiemu DNA
informacja genetyczna
wdarła się do naszego
genomu w ten sposób.

menty DNA z produktów spożywczych znajdują się w komórkach nabłonkowych jelit – enterocytach – to zostaną tam rozłożone. Nie ma możliwości, by obca ludzkiemu DNA informacja genetyczna wdarła się do naszego genomu w taki sposób.

Tak czy inaczej, bardzo skrupulatnie przebadano, czy żywność GMO może być szkodliwa. Np. badania nad łososiem Aqua Advantage przed wprowadzeniem na rynek trwały przez dwie dekady! Warto porównać to z tradycyjną, niemodyfikowaną genetycznie żywnością, która nie musi być tak szczegółowo sprawdzana, choć jej szkodliwość dla zdrowia może się okazać znacząca. Kto zaś twierdzi, że to, co „sztuczne”, jest bardziej niezdrowe, a to, co „naturalne”, jest raczej bezpieczne, ten chyba zapomniał o trujących grzybach, toksycznych roślinach i zwierzęcych jadach.

Ostatecznie wiele analiz i raportów z licznych badań mówi, że żywność GMO nie jest dla zdrowia bardziej niebezpieczna niż żywność niemodyfikowana genetycznie. W 2014 r. Alessandro Nicolia i współpracownicy opublikowali na łamach „Critical Reviews in Biotechnology” pracę powstałą po dekadzie badań (łącznie ponad 1700 publikacji), która potwierdza powyższe twierdzenie. Analiza badań poświęconych soi GMO, kukurydzy GMO i ryżowi GMO (przeprowadzona przez José Domingo i Jordiego Bordonabę) pozwala wysunąć tak samo optymistyczne wnioski.

W świetle dowodów naukowych aprobatę wobec upraw GMO wyraża Organizacja Narodów Zjednoczonych ds. Żywności i Rolnictwa (FAO). Informacje o bezpieczeństwie spożywania żywności pochodzenia GMO znajdziemy na stronie amerykańskiej Agencji Żywności i Leków (FDA) oraz na portalu Europejskiego

Urzędu ds. Bezpieczeństwa Żywności (EFSA). Również nasz krajowy, naukowy organ najwyższej rangi – Polska Akademia Nauk – opublikował w 2012 r. uchwałę, w której zauważa, że: „Po 30 latach używania GMO w gospodarce i po piętnastu latach w rolnictwie brak jest sprawdzonych i potwierdzonych dowodów, by miały one negatywne skutki uboczne. Dotyczy to również pasz zawierających komponenty roślin zmodyfikowanych genetycznie, takich jak kukurydza lub soja”.

Za realne zagrożenie związane pośrednio z GMO uważa się patentowanie nowych odmian. Powszechnie podzielana jest myśl, że nie wolno zawłaszczać organizmów żywych. To poważny problem bioetyczny. Nie dotyczy on jednak wyłącznie inżynierii genetycznej. Patentowane mogą być także organizmy wyhodowane tradycyjnymi metodami. Za problem można więc uznać system, pamiętając jednocześnie, że koncerny biotechnologiczne wydają ogromne pieniądze na badania. Racjonalne jest zatem oczekiwanie zysku. Co więcej, niektóre genetycznie zmodyfikowane odmiany udostępnia się za darmo lub za symboliczne opłaty, zwłaszcza w krajach rozwijających się.

Korzyści

Po odkłamaniu mitu szkodliwości GMO dla zdrowia warto zadać pytanie o korzyści płynące z tej technologii. Przykładów jest bardzo dużo. Insulina, z której współcześnie korzystają cukrzycy, to zrekombinowane białko wyprodukowane przez zmodyfikowane genetycznie bakterie z wbudowanym i udoskonalonym genem ludzkiej insuliny. Innym przykładem są terapie genowe, polegające na modyfikowaniu komórek gospodarza. Wykorzystuje się tę metodę do pomocy osobom z chorobami układu oddechowego (np. przy mukowiscydozie), a od niedawna modyfikuje się limfocyty pobrane uprzednio od pacjenta i po genetycznych zmianach wprowadza z powrotem, by skutecznie zwalczały białaczkę (w USA, u dzieci i młodych dorosłych).

W 2015 r. Nagrodę Nobla z medycyny lub fizjologii otrzymała Chinka Youyou Tu wraz z Satoshim Ōmurą i Williamem C. Campbell. Odkryli oni, że artemizyna jest skutecznym lekiem na malarię, oraz stworzyli (Youyou Tu) skuteczną metodę pozyskiwania ekstraktu z bylicy rocznej (*Artemisia annua*) z nastawieniem na otrzymanie właśnie tego związku. Na-

tomiast w roku 2018 chińscy naukowcy zmodyfikowali genetycznie tę roślinę, by produkowała więcej artemizyny. Dzięki temu produkcja leku będzie prostsza i tańsza, a sam środek bardziej dostępny.

Ponadto organizmy GMO pozwalają na ograniczenie rozprzestrzeniania chorób, np. są wykorzystywane w odkrywaniu i produkcji szczepionek oraz uzyskiwaniu komarów, które nie przenoszą chorób (zwłaszcza malarii, zabijającej rocznie milion osób). Zmodyfikowana genetycznie pszenica zawiera mniej gliadyny, alergennego składnika glutenu, a frytki z ziemniaków GMO mają niższe stężenie rakotwórczego akrylamidu. Podpuszczka wytwarzana przez bakterie GMO służy do produkcji serów. Melodią przyszłości są ksenotransplantacje, czyli przeszczepy narządów od obcych gatunków, które mogłyby być nieodrzucone przez ludzki organizm dzięki modyfikacjom genetycznym.

To nie koniec. Żywność pochodzenia GMO jest ważnym elementem w strategii walki z głodem i niedoborami żywienia na świecie. Zmienione rośliny mogą być odporne na susze, coraz częstsze z powodu zmian klimatycznych. Niepodatność roślin GMO na szkodniki zwiększa też plony. Uważa się, że złoty ryż, czyli zmodyfikowany genetycznie ryż syntetyzujący prowitaminę A, pozwoli na ograniczenie niedoborów tego związku u dzieci w niektórych krajach.

Trzeba spojrzeć na GMO także pod kątem przyrody i środowiska, ich ochrony i bezpieczeństwa dla ekosystemów. Jednym z największych zagrożeń w tej przestrzeni jest fragmentacja i niszczenie siedlisk. Często sprowadza się to do wycinania lasów, będących domem dla ogromnej liczby gatunków. W efekcie maleje bioróżnorodność. Zjawisko to jest jednak minimalizowane dzięki uprawom GMO. Dlaczego? Zwiększona wydajność, a więc i większe plony pozwalają na mniejsze wykorzystanie terenu. Wycinka drzew pod pola jest w związku z tym ograniczona. Obniżone jest też użycie pestycydów, które obciążają rozkładające materię organizmy i mikroorganizmy glebowe, a niewłaściwie stosowane mogą być nawet szkodliwe. Wszystko to dzięki roślinom GMO z genami bakteryjnych toksyn, które uodparniają je na insekty, nie szkodząc przy tym człowiekowi. Według danych przedstawionych przez Wilhelma Klümpera i Martina Qaima w 2014 r., od lat 90. XX w. stosowanie upraw GMO zredukowało użycie



DURAND FLORENCE / EAST NEWS

pestycydów o 37 proc., zwiększając przy tym plony o 22 proc., a zysk rolnika nawet do 68 proc.

Wśród roślin GMO sukces odniosła „tęczowa papaja” na Hawajach, która po odpowiedniej modyfikacji genetycznej stała się odporna na zabójczego dla niej wirusa pierścieniowej plamistości papai (*papaya ringspot virus* – PRSV), paradoksalnie ratując nie tylko rolników uprawiających papaje GMO, ale także tych ekologicznych (organicznych), gdyż patogen dziesiątkujący wszelkie uprawy przestał się rozprzestrzeniać. Tęczowa papaja została udostępniona hawajczykom za darmo. Warto także wspomnieć o genetycznie zmodyfikowanym Iniczniku (kapustowatej roślinie oleistej, występującej w Europie i Azji), którego estry woskowe potencjalnie mogą być alternatywą dla smarów pochodzenia naftowego.

Spojrźmy na zwierzęta GMO. Wejście na rynek komercyjny łososa AquaAdvantage może zmniejszyć połowy ryb niehodowlanych, z naturalnych akwenów. Zwierzę to dzięki dodaniu dodatkowych kopii genu hormonu wzrostu i zmianie sekwencji regulatorowych rośnie znacznie szybciej i nie okresowo, lecz przez cały czas. Danio pręgowany, w wersji genetycznie zmodyfikowanej znany jako GloFish, posiada właściwości fluorescencyjne za sprawą przeniesienia genów parzydełkowców, kodujących białka pozwalające na zachodzenie zjawiska fluorescencji. Wykorzystano go jako bioindykator jakości środowiska wodnego.

Badania

Oprócz korzyści zdrowotnych (medycznych, żywieniowych), społecznych (walka z głodem, wsparcie rolników) oraz środowiskowych (zmniejszenie wycinki la-

sów i wykorzystania pestycydów), organizmy zmodyfikowane genetycznie mają jeszcze jedną dużą zaletę – są niezwykle przydatne do prowadzenia badań naukowych. Od tych podstawowych dla odkrywania fundamentalnych praw natury, po aplikacyjne dla medycyny czy przemysłu. Np. usuwanie lub wyciszanie poszczególnych genów metodami inżynierii genetycznej pozwala na badanie ich roli w rozwoju organizmu, a miniaturyzacja świń przez techniki inżynierii genetycznej ułatwia prowadzenie na tym modelu badań biomedycznych.

Pomimo zalet istnieją potencjalne obawy i zagrożenia związane z GMO, które nie są przesadzone, wymyślone i oparte na manipulacjach. Modyfikacje genetyczne prowadzą do tego, że docelowy organizm produkuje zmienione RNA lub białka. Zwłaszcza te ostatnie mogą być np. toksynami. Dlatego naukowcy podkreślają, że należy badać każdą nową odmianę. Ryzyko jest znikome, ale wciąż wymaga się specjalnych testów.

Strach wzbudza też możliwość genetycznego modyfikowania ludzi. O ile w przypadku terapii genowej, która jest już niemal codziennością, zmieniane są jedynie poszczególne komórki, o tyle lęk budzi możliwość „produkowania” ulepszonych człowieka ze specjalnymi supercechami. Modyfikowanie zwierząt domowych „dla kaprysu” również jest kontrowersyjne (wspomniana ryba GloFish została dopuszczona komercyjnie na rynek dla akwarystów).

Sprzeciw wobec GMO wynika jednak przede wszystkim z fałszywej kampanii informacyjnej i naiwnego rozumienia pojęcia „zgodności z naturą”. GMO nie jest pod tym względem jakimś wyjątkiem – wiele nowych technologii, takich jak szczepionki czy przeszczepy organów, budziło lęk, niezrozumienie i niezgodę.

O tym, jak bardzo potrzebna jest merytoryczna dyskusja o GMO w Polsce, świadczą zachowanie uczestników sejmowej komisji do spraw rolnictwa, którzy podczas omawiania tego zagadnienia w listopadzie ubiegłego roku odśpiewali pieśń „Boże, coś Polskę”, kończąc ją zwrotem: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie”.

Wolną oczywiście od GMO.

© ŁUKASZ SAKOWSKI

Autor jest biologiem, popularyzatorem nauki, twórcą bloga totylkoteoria.pl i pomysłodawcą plebiscytu „Biologiczna Bzdura Roku”.

OBRAZY SĄ GŁODNE

Jest jedynym polskim malarzem, któremu Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku zorganizowało indywidualną wystawę.

To szczyty artystycznego prestiżu.

Ale pozostawił też po sobie siedem stacji warszawskiego metra.

AGNIESZKA SABOR



WOJCIECH FANGOR POZOSTAJE – OBOK Romana Opałki – najbardziej znanym na świecie polskim malarzem XX wieku. Na największych aukcjach jego obrazy osiągają ceny, które, biorąc pod uwagę polskie realia, mogą przyprawić o zawrót głowy. W marcu 2017 roku w londyńskim oddziale domu aukcyjnego Bonhams abstrakcyjną kompozycję „NJ 15” z 1964 roku sprzedano za 413 tys. funtów (ok. 1,78 mln zł). Rok wcześniej, na znacznie skromniejszym rynku krajowym, obraz z ceną wywoławczą w wysokości 550 tys. zł został kupiony za równy milion, przy czym kolekcjoner musiał jeszcze zapłacić 23 proc. opłat aukcyjnych.

Artysta doczekał się również sporej bibliografii. Jej ukoronowaniem jest monumentalny, anglojęzyczny album „Fangor. Color and Space”, wydany właśnie przez

niezwykle prestiżowe, działające od 1928 roku wydawnictwo artystyczne Skira (współpracował z nim np. Picasso).

Malarz miał zwyczaj powtarzać, że sukces komercyjny przyszedł do niego zbyt późno. Najbardziej spektakularnych rekordów sprzedażowych nie doczekał: zmarł w październiku 2015 roku w wieku 93 lat. Mimo narzekań mógł jednak uważać się za artystę spełnionego.

Przeciw demonom

Urodził się w Warszawie przy ul. Nowowiejskiej – w rodzinie tak zamożnej, że rodziców stać było na zakup willi na Mokotowie i domu wiejskiego w Klarysewie. Zdumiewająco wiele zapamiętał z okresu wczesnego dzieciństwa. Wspominał: „W pogodne dni wyprowadzano mnie na spacer do Łazienek. Te długie spacery do pięknego parku łączyły się z przerażającym uczuciem strachu. W bramie naszego domu po obu stronach wejścia stały odlane z żelaza pacholki – czarne, długobrode karły mojego wzrostu. Ile razy wchodziłem lub wychodziłem z domu, musiałem przejść obok nich. W Parku Łazienkowskim były olbrzymie kamienne statuy, które budziły we mnie lęk. Robiły wrażenie żywych, ale równocześnie były zimne i martwe. Wyglądały jak ludzie, ale ludźmi nie były. To wzbudzało moją ciekawość i grozę. Odkąd pamiętam, malowanie było mi bardzo potrzebne. Było decydującą metodą oczyszczania z demonów i lęków”.

Miał cudowną, wspierającą matkę – pochodzącą z Krakowa pianistkę, i ojca, przesiąkniętego wojskową dyscypliną przedsiębiorcę, który napawał strachem. Despotyczny ojciec nie pozwolił synowi pojechać do Paryża, ówczesnej stolicy światowej sztuki. Uważał bowiem, że stamtąd przyszła zaraza, która zniszczyła malarstwo: impresjonizm! Zafundował jednak kilkunastolatкови wyjazd do Wenecji, Neapolu, Rzymu i Florencji. Miejsc związanych z „prawdziwą”, jego zdaniem, sztuką.

Wszystko zmieniła wojna, choć Fangor przetrwał ją stosunkowo spokojnie, zamieniając Warszawę na wiejski Klarysew. Mocno przeżył egzekucję swojego nauczyciela – Tadeusza Pruszkowskiego. Niemal cudem uszedł z życiem z akcji pacyfikacyjnej, kiedy na rogu Niepodległości i Filtrowej Niemcy zabili 60 przypad-

kowych mężczyzn. Nie wierzył w sukces powstania, a dowiedziawszy się, że ma wybuchnąć, wyjechał do Rabki. „Przed powstaniem mój kuzyn, Jerzy Fangor, który był porucznikiem AK i mieszkał razem z nami, oznajmił mi, że za tydzień rozpocznie się powstanie. (...) Spytałem, jakie są szanse powodzenia. »Możemy być trzy dni w ofensywie« – odpowiedział. »Czy macie uzgodnione plany z Rosjanami?« – zapytałem. »Z Rosjanami? Nigdy w życiu!«”.

Po tej informacji Wojciech zaczął namawiać kuzyna, by wraz z nim wyjechał. Ten z kolei nie wyobrażał sobie dezercji. Zginął w pierwszej godzinie powstania. Ta historia będzie miała mroczne konsekwencje dla malarza – długo będzie nosił w sobie poczucie winy, że nie spełnił swojej powinności. Prawdopodobnie śmierć Jerzego wzmocni także stany lękowe, które zrujnują powojenną codzienność malarza. Ataki paniki powracać będą długo.

W dodatku wraz z nadejściem nowego porządku zmieniała się pozycja społeczna takich rodzin jak Fangorowie. Wszechwładny ojciec został aresztowany przez komunistów i skazany na śmierć na procesie pokazowym. Karę zamieniono na dożywocie. „Byłem odarty z jakichkolwiek złudzeń, przekonań, nie miałem do niczego ani wiary, ani zaufania” – pisał Fangor.

Mimo to udało mu się ukończyć Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie, a nawet mieć pierwszą indywidualną wystawę.

Socrealizm ironiczny

Czy ten brak złudzeń, swoisty cynizm, który obudziła w młodym malarzu wojna, doprowadziły do tego, że tak łatwo – jak wielu innych – zaangażował się w socrealizm? W 1950 roku namalował „Postaci” – obraz uznawany dziś za ikoniczny przykład sztuki socrealistycznej w Polsce.

Z jednej strony wszystko wydaje się w nim „tak jak trzeba”: modnie ubranej czarnowłosej elegantce z wymalowanymi na czerwono paznokciami i ustami, reprezentującej Zachód albo sanacyjną przeszłość, przeciwstawiono parę robotników wspartych na kilofach czy łopatach (przy czym kobieta z tej pary jest tak zmaskulinizowana, że wydaje się wręcz androgyniczna).

Z drugiej, coś nie gra: bo oko widza mimowolnie wędruje w kierunku atrakcyjnej, świadomej swego erotyzmu, filigranowej kobiety. Tak, jakby autor chciał



BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA GAZETA

Wojciech Fangor i jego obraz „Kucie kos”, Muzeum Historyczne miasta stołecznego Warszawy, 2012 r.

→ podstępnie wykorzystać doktrynę, by powiedzieć coś bardziej osobistego, wręcz intymnego.

„Postaci” stały się w ostatnich czasach obrazem modnym, reinterpretowanym w nowych kategoriach (np. genderowej). Ewa Franus uznaje np., że płótno przedstawia „dwa wcielenia kobiecości przechodzące kolejne etapy cielesnego i duchowego przeobrażenia”. Z kolei Ewa Toniak w książce „Olbrzymki” zauważa, że nawet „w nowym świecie”, gdy kobiety wsiadły na traktory, mężczyzna pozostaje w dominującej roli opiekuna i przewodnika. A może obraz Fangora należy odczytywać jeszcze inaczej, może w gruncie rzeczy jest po prostu ironiczny? Może to wszystko naprawdę nie jest na serio? Nawet wbrew deklaracjom artysty.

Do lamusa niechcianych historii nie powinno się również wyrzucać innego socrealistycznego obrazu Fangora – „Matki Koreanki”. W tej monochromatycznej, pełnej dramatyzmu kompozycji ukazującej małe dziecko, próbujące „obudzić” zamordowaną matkę, leżącą na polu na tle niszczonej pożarem wsi, objawiają się malarskie fascynacje artysty: sztuka Courbety i Chełmońskiego. Ale także – a może

przede wszystkim – zapis uniwersalnego, traumatycznego doświadczenia wojny. Daleko wykraczającego poza ramy propagandy. Jak słynny wiersz Wisławy Szymborskiej „Wietnam”.

Zresztą, socrealizm szybko zaczął Fangora uwierać – chciał przecież eksperymentować z formą, a na to nie pozwalała obowiązująca formuła. Dlatego już w 1950 roku zainteresował się sztuką plakatu, o dziwo, bardziej niezależną formalnie, a po roku 1954 przez pewien czas zajmował się wyłącznie nią. Stał się jednym z ojców założycieli polskiej szkoły plakatu.

Z socrealizmu wyszedł gładko, korzystając zarówno z doświadczeń rozbrykanego surrealizmu, jak i poddanej ascetycznej dyscyplinie abstrakcji. Bawił się typografią. Bywał ekspresyjny, a zarazem lakoniczny. Umiał spointować każdy temat. Jak pisze Bożena Kowalska w książce „Wojciech Fangor. Malarz przestrzeni”: „skrótom i poprzez zaskakujące zderzenie przedmiotów znaczących działań artysta na wyobraźnię, gdy np. w plakacie do filmu »Zbrodnia i kara« w kształt siekiery wpisywał twarz z dłonią zasłaniającą oczy, albo w plakacie do »Eugeniusza Oniegina« zestawiał czarny cylinder

z wynurzoną spod niego lufą pistoletu wymierzoną w widza. Dokonał tu twórca tak istotnego dla plakatu zabiegu wydobywania z charakteryzowanych utworów momentu apogeum czy esencji dramatu”.

„Obraz niesamodzielny, głodny”

„Plakatowość” oznacza zazwyczaj dwuwymiarowość, skupienie na tym, co oferuje płaszczyzna. Tymczasem Fangor w tym samym czasie, kiedy zainteresował się plakatem, zaczął eksperymentować z przestrzenią. Może zachęcili go do tego koledzy architekci, których poznał na warszawskiej Akademii, gdzie podjął pracę etatową: Jerzy Sołtan, Oskar Hansen i Stanisław Zamecznik – przy czym pamiętać trzeba, że ten ostatni był prekursorem współczesnej sztuki wystawienniczej w Polsce.

Sołtan, odpowiadający za aranżację podziemnych wnętrz warszawskiego Dworca Śródmieście, zaprosił Fangora do współpracy. Malarz pionowe szczeliny kamiennych ścian wypełnił abstrakcyjnymi mozaikami w taki sposób, że kolejne pasma kafli stopniowo „wzmocniały” barwę. Największą intensywność zyskiwała na poziomie oczu pasażera, by potem, biegnąc ku gorze, zdążyć ponownie do bieli.



Idea ta skryształizowała się wyraźniej w 1958 roku. W Salonie „Nowej Kultury” w Warszawie 31 lipca odbył się wernisaż wystawy „Studium przestrzeni” – było to zdarzenie istotne dla historii sztuki współczesnej. Nie tylko w Polsce, ale w ogóle. Artysta stworzył bowiem pierwsze dzieło zaliczone wkrótce do sztuki environmentu, której celem jest przekształcenie przestrzeni, by w określony sposób oddziaływała na publiczność.

Na wystawie znalazło się 20 abstrakcyjnych obrazów optycznych w różnych formatach, z których tylko cztery zawisły na ścianach (resztę rozstawiono na sztalugach). Widz nie oglądał pojedynczych prac, ale stawał się uczestnikiem przestrzennych relacji, jakie zachodziły między nimi. Autor tłumaczył: „Malarstwo, które mnie interesuje, nie może być oddzielone od przestrzeni, która je otacza, od rzeczy, które je otaczają, od osoby, która w tych stosunkach bierze udział. Obraz, o którym myślę, powinien być niesamodzielny, głodny. Może istnieć jako jeden z elementów zespołu. Dopiero w życiu tego zespołu może manifestować się sztuka”.

To rodzaj manifestu, który realizować będzie artysta jeszcze w latach 70., malując obrazy budujące „intensywne przestrzenie pozytywne”, w których pulsujący kolor zdaje się wychodzić z płótna na zewnątrz, zagarniać patrzącego. Te świetliste, intensywne kolorystycznie koła albo fale o niewyraźnych, jakby zanikających krawędziach, wykorzystujące najróżniejsze zjawiska optyczne, stają się znakiem rozpoznawczym Fangora. A wiedzieć trzeba, że od dzieciństwa interesował się astronomią, zastanawiając się np. nad tym, dlaczego widzimy Księżyc gładki, „wyszlifowany”, podczas gdy w gruncie rzeczy wiele tam skał, kraterów, cienia. To właśnie te obrazy wprowadzą warszawianina do międzynarodowego grona klasyków minimalizmu i op-artu.

Droga do Guggenheima

„Studium przestrzeni” nie zostało zbyt dobrze przyjęte ani przez krytykę, ani przez widownię (ktoś zrobił nawet odrębny dopisek na afiszu przed wejściem na wystawę: „Gdzie granice przyzwoitości?”). Tak naprawdę ze zrozumieniem spotkała się ta wystawa jedynie w środowisku architektów. Jednocześnie Fangor zdobywał coraz większe uznanie na Zachodzie.

Od dawna myślał o wyjeździe z Polski. Wreszcie, w 1961 roku, zrezygno-



BOGDAN SARWIŃSKI / EAST NEWS

Podczas pracy nad rzeźbą „Fala” w ogrodzie artysty, Błędów, 2013 r.

Na sąsiedniej stronie: wystawa „Wojciech Fangor – Przestrzeń jako gra”, Muzeum Narodowe w Krakowie, 2012 r.

wał z pracy na ASP i wyjechał do Wiednia (w Austrii mieszkała już jego siostra). Po latach wspominał: „Wziąłem ze sobą płótna i farby i w udostępnionej mi za darmo pracowni malowałem. Jednocześnie pisałem listy do USA z prośbą o stypendium”.

Stosunkowo szybko udało mu się pozyskać czteromiesięczne stypendium w Waszyngtonie – podczas tego pobytu odwiedzał ośrodki uniwersyteckie, na których prezentował swoją sztukę, poznawał odpowiednich ludzi, którzy szybko dostrzegli nowatorstwo i swoistą naukowość jego twórczości, zahaczył o Nowy Jork – ale nie

zdołał zalegalizować pobytu stałego. Musiał wrócić do Europy – wybierając Paryż, który na rzecz Ameryki stracił już co prawda prymat w świecie sztuki, ale nadal był ważny. Zresztą działali tam już Szapocznikow, Cieśliewicz, Lenica.

Fangor mógł zamieszkać nad Sekwaną dzięki Beatrice Perry, marszandce, która zobowiązała się wypłacać mu pensję przez pięć lat pod warunkiem, że artysta dostarczy jej 30 obrazów rocznie. Z umowy wiązywał się skrupulatnie. Niestety najważniejszy klient Perry zginął w katastrofie lotniczej, a artysta znów na chwilę został bez środków do życia – na szczęście →

→ uzyskał roczne stypendium Fundacji Forda w Berlinie Zachodnim.

Wystawiał w coraz lepszych galeriach – francuskich, niemieckich, holenderskich, amerykańskich. Zyskiwał coraz lepsze recenzje najbardziej wpływowych krytyków. Recenzent czasopisma „Arts”: „Ułożone zazwyczaj w kręgi koncentryczne kolory tryskają jak potężne słońce z niesamowitymi drganiem, które otrzymuje przy pomocy wystudiowanych zbliżeń”. François Pluchard: „Fangor wprowadza barwę w ruch. Decyduje o jej szybkości, ustalając plastycznie każdy ruch, każde okrażenie (...) Ta wspaniała gra optyczna wypróbuje granice między postrzegalnym a niepostrzegalnym, między słońcem i jego zniknięciem, między początkiem a końcem”.

Wielkim sukcesem okazała się wystawa „The Responsive Eye”, zorganizowana w 1965 roku w nowojorskim Museum of Modern Art, prezentująca dorobek sztuki optycznej. Kilka pokazanych wtedy prac Fangora dowiodło, że jest on jednym z najważniejszych reprezentantów tego nurtu. Śmiało wchodzącym w dyskurs np. ze starszym o 20 lat Markiem Rothko, malarzem, dla którego kolor okazał się alfabetem eschatologii.

Ale moment kulminacyjny nadszedł w roku 1970. Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku zorganizowało Fangorowi indywidualną wystawę – 37 obra-

zów. Takiego wyróżnienia nie dostał żaden żyjący artysta polski. Margit Rowell, kuratorka wystawy, podkreślała: „Trzeba zaznaczyć, że Fangor doszedł do swojego wybitnie indywidualnego stylu w izolacji od światowych centrów sztuki, w Polsce”.

Kościół i metro

Stany Zjednoczone przyjęły wreszcie imigranta zza żelaznej kurtyny. Malarz kupił farmę w pobliżu Summit w stanie New Jersey, gdzie zamieszkał z żoną, znalazł też loft na Manhattanie, w 1971 roku otrzymał amerykańskie obywatelstwo, zaczął używać skróconej wersji imienia – „Voy”.

W 1974 roku w twórczości Fangora pojawiły się nowe elementy, zauważył optyczno-kulturowe możliwości ekranu telewizyjnego. „Przez jakiś czas fascynowała mnie telewizja, w sensie medium. W tym okresie modną była filozofia Marshalla McLuhana, który mówił »The medium is the message«, że w samym medium jest zawarta treść, a nie w anegdocie, którą to medium przekazuje. Na tej podstawie robiłem trochę obrazów i rysunków, które miały związek z obrazem telewizyjnym” – mówił w jednym z wywiadów.

Powoli wracał również do figuratywności – początkowo mocno aluzyjnej, gdy w plataninie barwnych, „płynnych” plam ukrywał kształty dłoni, twarzy, całych

sylwetek. Figury stały się bardziej „konkretnie”, gdy w 1989 roku przeniósł się do Santa Fe w stanie Nowy Meksyk. Tam namalował 36 olejnych portretów składających się na „Poczet królów polskich” oraz 12 podobizn wodzów indiańskich. Na drzwiach garażowych stworzył gigantycznych rozmiarów akt kobiecey.

Z daleka obserwował też zmiany zachodzące nad Wisłą. Z coraz większą ciekawością. Tym większą, że w wolnej Polsce zorganizowano wielką retrospektywną wystawę „Wojciech Fangor – 50 lat malarstwa”, otwartą w Zachęcie w październiku 1990 roku. Rozpisywały się o niej nawet brukowce.

Zaczął angażować się w sprawy polskie – m.in. za sprawą starego znajomego, Jerzego Sołtana, który zaprosił malarza do dyskusji nad projektem wzorcowego kościoła naszych czasów. Temat interesował go, uważał się bowiem za dziedzica kultury śródziemnomorskiej (choć twierdził, że twórca nie powinien wracać do tego, co było). W rozmowie z Elżbietą Dzikowską tłumaczył, dlaczego przeniósł się z Nowego Jorku do Santa Fe: na Wschodnim Wybrzeżu dominowała mentalność anglosaska, protestancka. On wolał tę, która wynikała z wpływów hiszpańskich, katolickich, bliższych polskości.

Bo też Fangor nigdy nie próbował swojej sztuki „zamerykanizować”. W 1981 roku

Jedna ze stacji metra linii M2 w Warszawie



Peter Frank dostrzegł w jego malarstwie plastyczny ekwiwalent muzyki Pendereckiego, a bardziej jeszcze Lutosławskiego i Kilara. Jak pisze Bożena Kowalska: „znamienne, że sięgając do porównań sztuki artysty z muzyką, odwołuje się autor artykułu wyłącznie do muzyki polskiej. Wydaje się to bardzo trafne, choć z nie mniejszą trafnością mógłby tym porównaniem objąć szerzej i ogólniej muzykę słowiańską. Widocznie ów właściwy Słowianom czynnik liryki i mistycyzmu jest dość wyraźnie dostrzegalny”.

W 1999 roku Wojciech i Magdalena Fangorowie po 30 latach wracają do Polski. Kupują neoklasycystyczny pałacyk w Wilkowie oraz stary młyn w Błędowie niedaleko Radomia. Nie wiedzą jeszcze, że atmosfera w środowisku sztuki gwałtownie się zmienia – artystów nie interesują już kwestie abstrakcji i figuratywności, fizyczności materii malarskiej czy koloru, że zajmują ich przemiany społeczno-kulturowe, angażują się w sztukę krytyczną.

Kiedy Fangor próbuje przekazać część swego dorobku jakiejś instytucji, okazuje się, że żadna nie jest nim zainteresowana. Ostatecznie dar przyjmuje Muzeum Sztuki Współczesnej w Radomiu (zebrane tam 109 prac artysty stanowi dzisiaj ogromny skarb – nie tylko artystyczny, ale przeliczalny na miliony złotych).

Coś zmieniło się w roku 2007, kiedy artysta podjął współpracę z władzami Warszawy przy tworzeniu drugiej linii metra. Znów, jak wiele lat wcześniej na Dworcu Śródmieście, proponował wielkie grafiki na peronach, przy czym tym razem zwracać uwagę miały duże, kolorowe litery składające się na nazwy stacji (na zdjęciu obok). Współpraca nie była łatwa, ale siedem stacji warszawskiego metra ma dziś kształt nadany przez Fangora. To ostatnie jego dzieło. W którym po raz kolejny udowodnił, że jest malarzem przestrzeni.

© AGNIESZKA SABOR

W Warszawie na 42. piętrze apartamentowca Cosmopolitan będzie można od 26 maja zobaczyć wystawę prac Wojciecha Fangora (zwiedzanie w soboty i niedziele). Składać się będzie z 20 obrazów pochodzących z Jankilevitch Collection.

Dobry serial

KALINA BŁAŻEJOWSKA

Po roku przerwy na antenę TVP wróciły „Wojenne dziewczyny”: misyjny serial o trzech młodych konspiratorkach, dla których okupacja to tragiczny sprawdzian dojrzałości, ale też czas wyjątkowych przyjaźni i miłości.

U TALENTOWANE MŁODE AKTORKI (WARTO wymienić Vaneszę Aleksander, rocznik '97), sensacyjna akcja, porządne zdjęcia, wiarygodna scenografia i kostiumy – aż trudno uwierzyć, że zapłaciła za to ta sama spółka, która postawiła na „Koronę królów”. Oczywiście zdarzają się w „Wojennych dziewczynach” sztuczne dialogi i przewidywalne momenty, powtarzają wyświechtane filmowe chwytły (ktoś kogoś ratuje w ostatniej chwili, strzelając zza pleców; ktoś bez pukania wchodzi do pokoju, gdy ktoś z kimś miał się całować). Nie jest to w końcu produkcja z artystycznymi ambicjami, tylko solidna rozrywka dla szerokiej widowni. Choć niezręcznie nazywać rozrywką serial, który w każdym odcinku pokazuje egzekucje i tortury.

Co najważniejsze, narracja historyczna „Wojennych dziewczyn” nie jest tak infantylna jak narracja władzy, której służy TVP. Można było obstawiać, że w przerwie między sezonami scenarzyści przejdą zaległe szkolenie ideologiczne u Jacka Kurskiego i przykroją serial do wąskich horyzontów polityków. A tu niespodzianka: choć na pierwszym planie wciąż jest polskie bohaterstwo, w tle prezentowane są też inne postawy. Widzimy dziewczynę, która wydaje Abwehrze koleżankę, żeby uchronić chorą matkę przed obozem, widzimy mężczyznę, który godzi się na współpracę z Gestapo, żeby wyciągnąć żonę z Auschwitz. Pojawia się motyw lęku przed sąsiadami mogącymi zadenuncjować Żydów, i motyw bezwzględności podziemia, które bez dowodów wydaje wyrok na własnego żołnierza. Przewijają się postaci Polaków dobrowolnie współpracujących z Niemcami. Nie ma tylko – w odróżnieniu od poprzed-



MATERIAŁY PRASOWE TVP

Vanessa Aleksander

niej serii – żadnego Polaka szmalcownika ani Niemca bohatera. Co może być śladem cenzury, ale przecież nie musi.

„Wojenne dziewczyny” ogląda średnio ponad 2 miliony widzów. Prawdopodobnie nie ma wśród nich architekta polskiej polityki historycznej, Piotra Glińskiego. Minister kultury otwarcie przyznaje, że na kulturę szkoda mu czasu: nie śledzi ani polskiej kinematografii, ani telewizji – nawet tej, którą nadzoruje. Wiadomo skądinąd, że ma czas na czytanie „Tygodnika Powszechnego”, zwłaszcza jeśli w numerze pojawia się jego nazwisko. Warto więc skorzystać z okazji i postawić tezę, że serial Michała Rogalskiego wypromuje polską historię lepiej niż wszystkie działania patriotów z Polskiej Fundacji Narodowej razem wzięte. Zamiast planować rejsy dookoła świata na stulecie niepodległości, warto skupić się na czymś, co może przynieść zyski, a nie straty. Czyli postarać się, żeby „Wojenne dziewczyny” trafiły na zagraniczne rynki. Naprawdę są tego warte. ©©

WOJENNE DZIEWCZYN, serial TVP, reż. Michał Rogalski, scen. Marek Kreutz, występują: Vanessa Aleksander, Marta Mazurek, Aleksandra Pisula. Polska 2017–2018.



Krzysztof Komeda, 1958 r.

Kołysanka dla Krzysztofa

DOROTA KOZIŃSKA

Oto nieoczywista, zawsze porywająca opowieść o rudym, piegowatym chłopaku, który nie lubił uśmiechać się do zdjęć. Nawet w Hollywood.

OSTATNIA EKSPLOZJA ZACHOROWAŃ NA polio nastąpiła w Polsce kilka lat przed narodzinami Magdaleny Grzebałkowskiej, autorki biografii „Komeda. Osobiste życie jazzu”. Mnie jeszcze podawano żywą szczepionkę, trochę mniej skuteczną niż ta z zabitymi szczepami wiru-

sa, ale i tak miałam szczęście: w starszych klasach naszej podstawówki było kilkoro „hajnemedinów”, powłóczących zeschniętą nogą zupełnie jak Krzysztof Komeda Trzcinański.

Grzebałkowska pewnie nie może pamiętać wszechobecnych budek z pi-

wem ani prawdziwej wódki z czerwoną kartką, którą zalewali się w trupa polscy jazzmani. Z pewnością jednak zachowała wspomnienie kobiet, które w końcówce PRL-u szyły ubrania z firanek, siatek wędkarskich i tetrowych pieluch; jej dzieciństwo i wczesna młodość przypadły wszakże na czas, kiedy Polska – przynajmniej w dużych miastach – starała się już pachnieć zagranicznymi kosmetykami, sprzedawanymi za ciężkie pieniądze na bazarach i w sklepikach prowadzonych przez prywaciarzy. Mnie te wymyślne kreacje krawieckie kojarzą się nie tylko z kunsztem domorosłych projektantek mody, ale i z zastarzałym odorem nieogolonych i nietkniętych dezodorantem pach, który snuł się potem po szafach, mieszając się z gryzącą wonią naftaliny.

Kaktus na zagrychę

Tym bardziej podziwiam autorkę „Osobistego życia jazzu”, że lektura jej książki pobudza we mnie pierwotny zmysł węchu: okno duszy, wrota wyobraźni pozwalającej zrekonstruować rzeczywistość lat 50. i 60. ubiegłego wieku w najdrobniejszych, choć nie zawsze powabnych szczegółach.

Czytam. Widzę i czuję, co działo się na weselu Polańskich w Łodzi. Widzę operatora Jerzego Lipmana, jak udaje lwa z cyrku, czując swąd spalenizny, kiedy skacze przez płonącą obręcz owiniętą papierem toaletowym. Węszę aromat bigosu, którym okładano twarz półprzytomnego Jakuba Goldberga, żeby go ocucić, pokładam się ze śmiechu na myśl, że Komeda z Sobocińskim zakąszali wódeczkę żywymi kaktusami z kolekcji właściciela mieszkania, w którym odbywało się to orgiastyczne przyjęcie.

Ludzie, którzy próbowali wyjść poza ramy tamtej siermiężnej epoki, by siać artystyczny ferment wbrew wszelkim przeciwnościom, wyjrzeć przez okno na inny świat – żyli często na granicy przetrwania. Jedli byle co, upijali się byle jakim alkoholem, śmierdziali potem oraz tanimi papierosami.

Co rusz ocierali się o śmierć i często ginęli, zostawiając po sobie romantyczną legendę. Dobrze, że Grzebałkowska próbuje ten mit odkłamać, a przy tym nie dystansuje się z obrzydzeniem od Komedy i jego kompanów, którzy w dzisiejszych salonach sztuki – poprawnych politycznie, pachnących mlekiem sojowym i węgąńskimi perfumami – zaskarbiłoby sobie opinię najgorszych degeneratów.

Grzebałkowska draży. Przekopuje się przez archiwa, często na próżno. Przegląda dawne roczniki „Jazz Forum” i „Ruchu Muzycznego”. Zadaje niewygodne pytania tym, którzy jeszcze żyją. Odkurza pamięć o umarłych, choćby na drugim końcu świata, w ślepej uliczce Oriole Lane w Zachodnim Hollywood, gdzie nowi mieszkańcy udają, że nie ma ich w domu albo zatraskują jej drzwi przed nosem, jakby mieli do czynienia z natrętną akwizytorką. Odnoszę wrażenie, że w zbieraniu rozproszonych i sprzecznych nieraz informacji o Krzysztofie Trzcíńskim uczyniła wszystko, co było w mocy tyleż samotnej, co zdeterminowanej autorki jego biografii.

Aż do śmierci

Tylko czy to aby na pewno biografia? Grzebałkowska sama przyznaje, że jej książki mają raczej formę bardzo rozbudowanych reportaży. Dodam od siebie, że reportaży dość specyficznych, kojarzących się nieodparcie z tekstami dawnych autorów „Gazety Wyborczej”, których celem było nie tyle rzetelne sprawozdanie rzeczywistości, ile wzbudzenie emocji w odbiorcy. Złośliwi określają je często mianem „polskiej szkoły zmyślenia”, zarzucając reporterom gorszące błędzenie po manowcach dziennikarstwa i literatury, a tym samym niebezpieczną manipulację czytelnikiem.

Trudno którekolwiek z tych oskarżeń odnieść do pisarstwa Grzebałkowskiej, choć pewne jego cechy mogą irytować miłośników klasycznej sztuki biografii. Na przykład prowadzenie narracji w czasie teraźniejszym. Na przykład upodobanie do jednozdaniowych akapitów, formułowanych w taki sposób, jakby autorka chciała czytelnika zaskoczyć, grzotnąć go pięścią między oczy, wyrwać z letargu po lekturze kolejnej porcji suchych faktów. Zastępowanie pełnych zdań równoważnikami. Rozczłonkowywanie tekstu śródtytułami, które wyglądają czasem jak wplecione w prozę fragmenty jazzowych standardów. Z początku mnie też to drażniło. Aż natrafiłam na zbitkę: „Zenobia łapie się za serce. Mieczysław milczy. Zofia czeka na ławce przed domem”. Spodobało mi się i postanowiłam się przyzwyczaić.

Warto było. Po pewnym czasie do mnie dotarło, że książka Grzebałkowskiej sama przez się jest czymś w rodzaju potężnej improwizacji jazzowej. Rozpoczyna się rap-sodycznym, wędrującym w czasie opisem „pierwszego festiwalu zespołów sweter-

kowych”, czyli inauguracji Międzynarodowego Festiwalu Jazzowego w Sopocie. Po kilkunastu stronach narracja zwalnia, zaciha i na chwilę zamiera. Pauza generalna, po której następuje szereg zbijających czytelnika z tropu „zagrywek”: oderwanych cytatów z prasy codziennej 27 kwietnia 1931 roku – dnia urodzenia Komedy. Autorka rzuca mimochodem, że poniedziałek, pochmurno. Te dwa słowa posłużą jej jako punkt wyjścia do zaskakującej, często nieoczywistej, zawsze porwijącej opowieści o rudym, piegowatym chłopaku, który nie lubił uśmiechać się do zdjęć.

Myśli Grzebałkowskiej układają się w zamkniętą całość, zwieńczoną swobodną kodą. „Jest 23 kwietnia 1969 roku. Środa. Słonecznie”. Tego dnia prasa doniesie, że za chorobę ryb w stawach łazienkowych odpowiadają dzikie kaczki, ktoś ogłosi zamiar sprzedaży dwuletniego volvo, a Komeda umrze.

Na przeszło czterystu stronach swojej biografii-reportażu Grzebałkowska zadaje setki pytań i na większość uzyska odpowiedzi. Inne odważnie zostawi otwarte: bo nie dotarła do informacji, bo świadków już nie ma, bo sama nie jest pewna, co wynikało z jej żmudnej kwerendy. Historia bezlitośnie zmierza do nierozstrzygniętego finału. Andrzej Krakowski, syn Józefa, szefa produkcji zespołu Kamera, który w 1961 r. realizował „Nóż w wodzie” Romana Polańskiego, wspomina czas spędzony w Los Angeles z „całą grupą nieudaczników” z Polski. Jest rok 1968, w kraju trwa antysemicka nagonka po wydarzeniach marcowych. W kalifornijskim domu Komedy nieudacznicy piją, łajdaczą się i awanturują. W grudniu Krzysztof ulega nieszczęśliwemu wypadkowi, zepchnięty po piaku przez Hłaskę ze skarpy nad asfaltową ulicą. Krakowski prawie pół wieku później przedstawi swoją wersję wydarzeń. Niezgodną z wersją nieżyjącej już żony Komedy Zofii. Grzebałkowska nie porozmawia z innymi świadkami. Wszyscy odeszli z tego świata w tragicznych okolicznościach. W ślepej uliczce Oriole Lane autorka też nic nie wskóra. Nikt nie pamięta żadnego Komedy.

Do zaśpiewania

Kto się spodziewał ostatecznego rozwiązania zagadki śmierci Komedy, ten się srodze zawiedzie. Ci, którzy chcieli dowiedzieć się czegoś o jego epoce, zyskają rozległą i świetnie udokumentowaną

wiedzę. Owszem, do tego i owego można się zawsze przyczepić. Nie wiadomo, czy Wanda Kopecka, która ponoć uczyła Krzysztofa muzyki w czasie okupacji, umarła w 1942 r. w Treblince. Pianistka do dziś figuruje w rejestrze zaginionych – według niektórych doniesień przeżyła i po wojnie osiadła w Brukseli. Trzcíński nie mógł na studiach dyrygować chórem Akademii Medycznej w Poznaniu: zespół powstał dopiero w 1959 r. Nie jest prawdą, że gwara polskich jazzmanów czerpie z żargonu klezmerskiego: „cizia” to określenie bikiniarskie, „cyja” to śląska nazwa akordeonu, a tajemniczy przerywnik „neskim” nie pochodzi z jidysz. To jednak wszystko drobiazgi, w sumie bez znaczenia wobec ogromu pracy włożonej przez Grzebałkowską w zebranie materiału i ubranie go w intrygującą szatę literacką.

Nie warto bowiem się spierać, czy „Komeda. Osobiste życie jazzu” stoi w sprzeczności z założeniami klasycznej biografii, a może narusza reguły „prawdziwego” reportażu. Grzebałkowskiej udało się wypracować formę odrębną, idealnie spójną z konwencją jazzowego grania. Kto przeczyta dwa ostatnie zdania książki („Krzysztof ma bose stopy, wystają spod kołdry. Zofia biegnie za noszami i otula mu nogi swetrem, żeby nie zmarzły”) i nie usłyszy w wyobraźni głosu Mii Farrow, nucącej swemu diabelskiemu dziecku czułą kołysankę z „Dziecka Rosemary”, ten nigdy nie pojmie fenomenu Komedy i jego pionierskiej twórczości. ©

Magdalena Grzebałkowska

KOMEDA. OSOBISTE ŻYCIE JAZZU

Znak, Kraków 2018

■ Zapraszamy do wysłuchania nowego odcinka podcastu „Tygodnika Powszechnego” „Book's not dead”, którego gościem jest **MAGDALENA GRZEBĄŁKOWSKA**. Premiera w piątek 25 maja o godz. 10.00 na stronie www.TygodnikPowszechny.pl

**ANTYKWARIAT
KWADRYGA**

**KUPI KSIĄŻKI,
STARE POCZTÓWKI,
MAPY, GRAFIKI.
DOJEŹDZAMY.
TEL. 22 622 11 54**

Nowe wspaniałe wspólnoty

SEBASTIAN SMOLIŃSKI Z CANNES

Wbrew przewidywaniom, że nagrody będą miały wydźwięk polityczny, tegoroczny festiwal w Cannes wygrały filmy, które artystyczną formą wznoszą się ponad doraźne oczekiwania.

PALMY, JACHTY, KINO NA PLAŻY, CZERWONY dywan, setki restauracji i branżowych bankietów – podczas festiwalu miasto Cannes jest bardziej gwarne, ale też piękniejsze niż zwykle, czerpie energię z najważniejszego wydarzenia filmowego na świecie. A może tylko w Europie? Wzjęć Cannes jako stolicy kina artystycznego i miejsca, gdzie blichtr spotyka się z wybitną sztuką, podtrzymują sami organizatorzy, skupieni na podkreślaniu francuskiego charakteru imprezy, jak również otwieraniu jej na twórczość ze wszystkich kontynentów. Cannes jest ponadto okazją do rozmowy o reżyserskich stylach i formalnym nowatorstwie. To tutaj częściej niż gdzie indziej namaszcza się twórców na gigantów kina. Trwającą blisko dwa tygodnie galą środowiska filmowego rządzi też specyficzny snobizm – nie jest ona obojętna na panujące mody. W tych sprzecznościach, w oscylowaniu między kuratorską misją a napędzaniem biznesu globalnej rozrywki zawiera się siła festiwalu.

Sztuka protestu

Tegoroczna, 71. edycja pozostawała blisko społecznej rzeczywistości i aktualnych problemów, zwłaszcza równości rasowej i płci. Choć Cannes nie jest pochłonięte żywiołem polityki tak jak Berlinale, a dyskusje toczą się w nim z bezpiecznej pozycji ekskluzywnego nadmorskiego kurortu, to pokłosie ruchu #MeToo dotarło także tu. W sobotę 12 maja na schodach Palais des Festivals stanęły 82 kobiety, które protestowały przeciwko dominacji mężczyzn w branży filmowej. Ich liczba odpowiada liczbie reżyserów, których filmy zostały dopuszczone do konkursu w całej historii festiwalu (podczas gdy filmów nakręconych przez mężczyzn było blisko dwa tysiące). List nawo-

lujący kobiety do „wspinania się po schodach” i walki o równe traktowanie odczytała po angielsku przewodnicząca jury Cate Blanchett, a po francusku laureatka honorowej Złotej Palmy i ikona Nowej Fali, Agnès Varda. Oddziaływanie ich wypowiedzi zmniejszyła być może premiera fatalnie przyjętego filmu Evy Husson „Girls of the Sun” o oddziale Kurdyjek walczących z tzw. Państwem Islamskim. Pretensjonalny i ocierający się o kicz dramat Husson, honorujący zachodni punkt widzenia reprezentowany w filmie przez francuską dziennikarkę, przypominał, że postulatowi równości płci powinna towarzyszyć wrażliwość na doświadczenie pozaeuropejskich kultur i dbałość o artystyczne rzemiosło.

Mniej nagłośniony był protest 16 czarnoskórych francuskich aktorek, które zwróciły uwagę na rasizm francuskiego przemysłu filmowego i stereotypowy charakter oferowanych im ról. Oba wydarzenia odbiły się echem w trakcie wieczoru rozdania nagród w sobotę 19 maja. Włoska aktorka Asia Argento, wręczając nagrodę za najlepszą rolę kobiecą, powiedziała, że w 1997 r., kiedy miała 21 lat, została zgwałcona w Cannes przez Harveya Weinsteina, dla którego festiwal był „terenem łowów”. Na rasizm i odradzające się dziś podziały społeczne zwraca z kolei uwagę zdobywca Grand Prix – drugiej pod względem ważności nagrody na festiwalu – czyli „BlacKkKlansman” Spike’a Lee, opowiadający o afroamerykańskim policjancie z Colorado Springs, który w latach 70. zapisuje się do Ku Klux Klanu, aby z pomocą kolegi żydowskiego pochodzenia zinfiltrować to środowisko. Krytykująca zarówno prawicowy, jak i lewicowy ekstremizm komedia Lee stanowi otwartą satyrę na Amerykę ery Trumpa.

Nihilisci i awangardziści

Renoma Cannes obraca się czasem przeciwko samemu festiwalowi. Krytycy, przyzwyczajeni, że oglądają jeden po drugim filmy największych tuzów kina, oczekują codziennie nowych objawień – tak jakby francuskie wydarzenie miało monopol na arcydzieła, a od autorów pokroju Irańczyka Asghara Farhadiego (nieudane „Wszyscy wiedzą” z hiszpańską obsadą) czy Chińczyka Jii Zhangke (imponujący rozmachem „Ash is Purest White”) można było oczekiwać samych strzałów w dziesiątkę. Stąd też biorą się częste frustracje i rozczarowania. Lars von Trier, wygnany z Cannes na siedem lat po tym, gdy podczas konferencji prasowej „Melancholii” stwierdził, że jest nazistą i rozumie Hitlera, powrócił z chłodno przyjętą farsą o seryjnym zabójcy. „The House That Jack Built”, z Mattem Dillonem w roli mordercy cierpiącego na zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne, pokazywano poza konkursem. Media donosiły, że ponad sto osób wyszło z pokazu zakończonego owacją na stojąco. Łatka skandalisty nie opuszcza zatem von Triera, który każe swojemu bohaterowi – dosłownie i w przenośni – zejść do najniższych kręgów piekła i z metodycznością psychopaty polować na ludzi, by potem składać ich zwłoki w chłodni.

Tak obrazoburczych, nihilistycznych dzieł zabrakło w bardziej zachowawczym konkursie głównym. Specjalną Złotą Palmę otrzymał jednak weteran awangardy i najbardziej niestrudzony żyjący eksperymentator: Jean-Luc Godard. „Le Livre d’image”, kolejne świadectwo archiwalnej pasji twórcy, przypomina „Historia/e kina” – monumentalny projekt wideo reżysera z lat 1989-98, w którym połączył fragmenty filmów i kronik, układających się w krytyczną refleksję o XX wieku. „Le Livre d’image” idzie o krok dalej i zatrzymuje się na progu zrozumiałości. Frenetyczna powódź obrazów i dźwięków nie pozwala na przekonującą rekonstrukcję całości – zostajemy sam na sam z kakofonią bodźców. Wyróżnienie dla Godarda za ten ekscentryczny esej to ukłon w stronę legendy francuskiego kina – jego „Szalony Piotruś” z 1965 r. zainspirował też canneński plakat, przedstawiający całujących się Jeana-Paula Belmondo i Annę Karinę.

Życie rodzinne

Tegoroczne ogłoszenie werdyktu jury było dla Polaków wyjątkowo emocjonującym wydarzeniem. „Zimna wojna” Pawła Paw-



JOEL C. RYAN / AP / EAST NEWS

Osiemdziesiąt dwa – tyle filmów wyreżyserowanych przez kobiety dopuszczono do konkursu w całej historii Cannes. 12 maja tyle samo artystek protestowało przeciw nierówności.

likowskiego (recenzję filmu publikowaliśmy w poprzednim numerze) i współprodukowana przez Polskę „Ayka” Siergieja Dworcowoja wyjechały z Cannes z wyróżnieniami. Główne laury przypadły filmom, których twórcy w nieoczywisty sposób przyglądali się współczesnym wspólnotom: więziom rodzinnym i sąsiedzkim, dzieciom zmuszonym do zachowywania się jak dorośli oraz walce o przetrwanie tych, którzy zostali skazani na samotne życie. Wbrew przewidywaniom, że nagrody będą miały mocny wydźwięk polityczny, wygrały filmy autentycznie najlepsze – te, które mają szansę przetrwać próbę czasu i artystyczną formą wznoszą się ponad dożądane oczekiwania.

Należą do nich nagrodzony Złotą Palmą „Shoplifters” Hirokazu Koreedy – cichego zwycięzcy festiwalu. Uosabiający najlepsze tradycje japońskiego kina obyczajowego spod znaku Yasujiro Ozu i Mikio Naruse, Koreeda od połowy lat 90. z imponującą konsekwencją kręci skromne, perfekcyjnie napisane i zagrane opowieści rodzinne. Podobnie jak Ozu, wyściska z tego samego tematu coraz to nowe wariacje, zmieniając tonację, komplikując wątki, oraz, jak w przypadku „Shoplifters”, zrywając z oczekiwaniami widowni. Wyczułony na drobiazgi i liryczną podszewę codzienności styl Koreedy potrafi, jak w pokazywanej w polskich kinach „Naszej

młodszej siostrze” z 2015 r., wywołać magiczny, uwodzicielski efekt.

Japończyk nie stroni też od krytyki społecznej, która wybrzmiała w „Po burzy” z 2016 r. – opowieści o mężczyźnie, który żyje jak wieczny chłopiec, ledwo wiążąc koniec z końcem, i nie potrafi sprostać rodzicielskim obowiązkom. „Shoplifters” także przygląda się ludziom, którzy wypadli z formy: ojciec z synem kradną jedzenie ze sklepów, kilkupokoleniowa rodzina mieszka w przepelnionym, prowizorycznym domu i na dodatek przygarnia znalezionej na ulicy dziewczynkę. Obraz biedy i życia na granicy prawa pozbawiony jest u Koreedy efekciarstwa. To, co interesuje go najbardziej, to fantazja o więzach rodzinnych nowego typu, opartych nie na wspólnocie krwi, ale na wzajemnej trosce i poczuciu odpowiedzialności. Fabularna niespodzianka, jaka czeka na widzów pod koniec, wywraca do góry nogami znaczenie filmu i przesądza o jego wielkości.

Na poszukiwanie innej wspólnoty wyrusza również chłopiec (zdumiewający trzynastolatek Zain Al Rafea) w „Capharnaüm” Nadine Labaki – gorąco przyjętym debiucie libańskiej aktorki uhonorowanej Nagrodą Jury. To odyseja Zaina, który ucieka z domu i tuła się po najuboższych dzielnicach Bejrutu, opiekując się jednorocznym dzieckiem, które przypadkiem trafia w jego ręce. Film zawiera dwie elek-

tryzujące, niezwykle autentyczne kreacje dziecięce. Choć wkrada się do niego chaos i dydaktyzm, „Capharnaüm” to pełne pasji oskarżenie instytucji rodziny, która nie jest w stanie zadbać o swoich najmłodszych, najdelikatniejszych członków.

Miejskie dżungle

Wspaniałymi portretami samotności w obliczu biedy i niebezpieczeństwa są wspomniana „Ayka” Dworcowoja oraz „Dogman” Mattea Garronego. Wciela ją się w Aykę Samal Yeslyamova oraz grający u Garronego główną postać Marcello Fonte otrzymali nagrody dla najlepszych aktorów. Oba filmy należały do najbardziej przerażających i przejmujących w konkursie.

„Ayka” to historia młodej kobiety z Kirgistanu, która ucieka ze szpitala po narodzinach dziecka i tuła się po Moskwie w poszukiwaniu pracy. Rosyjski reżyser nie opuszcza Ayki ani na krok, kreując wraz z operatorką Jolantą Dylewską duszną atmosferę przysypanego śniegiem miasta. „Ayka” to najbardziej feministyczny film konkursu – skupiający się na krwawiącym ciele bohaterki, na mleku płynącym niepostrzeżenie z jej piersi, na jej absolutnej bezsilności w starciu z rzeczywistością, w której Kirgijka bez zezwolenia na pracę jest wyrzucona na margines i walcząca o godność resztkami sił. Intensywna kreacja Samal Yeslyamovej sprawia, że zmęczenie, strach i rozpaczliwa kondycja bohaterki odciskają swoje piętno na każdym ujęciu filmu.

Matteo Garrone wraca w „Dogmanie” do kryminalnych wątków znanych z „Gomorry”, którą zasłynął przed dekadą. Zamiast panoramicznego spojrzenia na mafię proponuje węższą perspektywę – historię upadku człowieka, który chciał żyć z sąsiadami w przyjaźni, ale padł ofiarą własnej uległości. Tak jak Yeslyamova w „Ayce”, tak i Fonte dominuje w „Dogmanie”. Jego krucha sylwetka i naiwny uśmiech nadają scenom przemocy (oraz czułości wobec zwierząt i dzieci) lekko odrealniony, baśniowy charakter. Miejsce akcji wygląda jak zdewastowana miejscowość wypoczynkowa, w której kiedyś mógłby dziać się „Amarcord” Federica Felliniego. Marcello wchodzi w konflikt z uzależnionym od kokainy miejscowym osiłkiem, co jeden z nich będzie musiał przypłacić życiem. Ograne schematy ozywają w „Dogmanie” za sprawą znakomitej reżyserii i kapitalnie obmyślonych scen, →

→ które układają się w czarną pocztówkę z ulicznego frontu włosko-włoskiego.

Wskrzesić kino

Festiwal był także świętem nieobecnych. Mający oficjalny zakaz robienia filmów Irańczyk Jafar Panahi (zdobycza nagrody za najlepszy scenariusz za „3 Faces”) oraz zatrzymany przez rosyjskie władze Kiriłł Sieriebriennikow (reżyser „Leto” o punkowcach w ZSRR lat 80.) do Cannes nie dotarli. Jeden z najciekawszych filmów konkursu, „Lazzaro felice” Alice Rohrwacher (nagroda za scenariusz *ex aequo* z Panahim), w alegoryczny sposób odnosi się właśnie do sytuacji wszystkich spóźnionych, niedopasowanych i wykluczonych.

Ta chrześcijańska z ducha przypowieść o współczesnym Łazarzu, który budzi się niespodziewanie w świecie rozdieranym przez siły modernizacji i industrializacji, to triumf kina zakorzenionego w historii medium i jednocześnie otwartego na kaprysy nieposkromionej wyobraźni. W pierwszej części obserwujemy przednowoczesną wspólnotę rolniczą, która nie zdaje sobie sprawy, że pańszczyzna została już dawno zniesiona. Kiedy Lazzaro (naturszczyk Adriano Tardiolo), który „przespał epokę”, odwiedza byłych rolników po ich przeprowadzce do współczesnego Rzymu, świadczy o rozpadzie tradycyjnych więzi rodzinnych i międzyludzkich. Przybierają one karykaturalną formę, z której wyłania się nowy rodzaj bliskości. Lazzaro namaszcza ją swoją osobą, emanując miłością do wszelkiego stworzenia godną św. Franciszka. Wskrzeszenie Łazarza jest w tym wypadku również wskrzeszeniem samego kina – coraz starszej maszyny, która na festiwalu w Cannes pokazuje swój magiczny, nadnaturalny charakter.

© SEBASTIAN SMOLIŃSKI

Traumy i demencje

ANITA PIOTROWSKA

Oto dwa dokumenty egzorcyzmujące przeszłość, ale jednak wychylone w przyszłość. Bez dydaktyki czy licytacji na cierpieniu opowiadają o naszym naznaczeniu przez historię.

MODA, CZY RACZEJ ROZBUCHANA KONIUNKTURA na kino historyczne, znajduje dziś wyraz także w polskim dokumencie. Powstaje coraz więcej filmów okolicznościowych, robionych na zamówienie, wpisujących się w obecny klimat polityczny. Na szczęście ciągle jeszcze pojawiają się tytuły, których twórcy nie ograniczają się do edukowania czy propagowania. Czerpiąc z doświadczeń indywidualnych i rodzinnych, opowiadają o poczuciu tożsamości, dziedziczeniu strachu, o pustych miejscach w dyskursie o polskiej historii. Zamiast prostej „czytanki” proponują coś na kształt dokumentalnego eseju, wymagającego od widza wrażliwości i uważności.

Takimi filmami są „Mała zagłada” i „Obłoki płyną nad nami”, pokazywane w konkursie Krakowskiego Festiwalu Filmowego. Być może to przypadek, ale oba są dziełami kobiet, Natalii Korynckiej-Gruz i Anny Konik. Obie piszą polską historię stosując perspektywę „kliniczną”. „Obłoki...” sięgają po metaforę demencji: cierpi na nią matka reżyserki, lecz także lokalna społeczność, która oddała się od traumatycznej przeszłości. Śląskie miasteczko Dobrodzień (przed wojną Gutentag) posiada jednak pamięć ukrytą i to do niej stara się dotrzeć Anna Konik. Oddaje głos przedstawicielom mniejszości niemieckiej, potomkom mieszkających tu niegdyś Żydów i repatriantom z okolic Lwowa (sama wywodzi się z takiej rodziny), by pokazać, jak przesiedlenia, wypędzenia i eksterminacje nawarstwiły się w historii tego miejsca. Dziś można ją odtworzyć jedynie ze strzępów, stąd rwana,

fragmentaryczna narracja filmu. Ale przeszłość zapisała się trwale w lokalnej architekturze czy pejzażu. Posiadłość należąca ongiś do niemieckiego Żyda Salo Hepnera (zginął w Terezynie), po wojnie zamieniona na PGR, a dziś popadająca w ruinę, samotny grób niemieckiego żołnierza, poprzekrzywiane macewy w pobliskim lesku, wreszcie – same drzewa i sunące nad nimi tytułowe obłoki, stają się w filmie niemymi świadkami dziejowej zawieruchy i kotłowania ludzkich losów.

W „Małej zagładzie”, powstałej na podstawie książki Anny Janko i z jej udziałem, kluczowym pojęciem jest trauma, przekazywana kolejnym pokoleniom nieświadomie, również poprzez geny. Tak jak Konik usiłowała odpominać historię wypartą czy zatartą, tak Koryncka-Gruz pokazuje jej ciągle aktywny gen. Trzy kobiety: Anna, Teresa i Zuzanna, czyli pisarka, jej matka i córka, radzą sobie z tą traumą na różne sposoby. Teresa Ferenc doświadczyła jej bezpośrednio, kiedy jako dziewięcioletnia dziewczynka przeżyła pacyfikację wsi Sochy na Zamojszczyźnie, w tym śmierć własnych rodziców. Przeżycia przekazywała potem na wiersze i obrazy, choć przed kamerą wzbrania się, by narysować swoją „małą zagładę”. Anna opisała ją za to wprost we wspomnianej już książce (fragmenty czyta za kadrem

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

| Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM

| Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl





MATERIAŁY PRASOWE KFF

Kadr z filmu „Mała zagłada”, reż. Natalia Koryncka-Gruz, 2018 r.

Magdalena Cielecka), a zarazem ciągnącą się za każdą z bohaterek „pępowinę strachu” – tę swoistą „chorobę sierocą”, z którą zmagać się musi już trzecie pokolenie. Jednak najmłodsza z kobiet, Zuzanna, pracowuje ją po swojemu, obsesyjnie tropiąc ślady zła w historii i wybierając alternatywny model życia. Film Korynckiej-Gruz zamienia się nagle w gniewny antywojenny manifest. Niczym Elizabeth Costello z powieści Coetzego, oskarża ludzkość o ucywilizowane okrucieństwo wobec zwierząt, które tylko krok dzieli od przemysłowego zabijania ludzi.

Na uwagę zasługuje oryginalna forma, jaką posługują się obie reżyserki. W dokumencie Konik znać rękę artystki z kręgu sztuk wizualnych i dotyczy to nie tylko statycznych kontemplacyjnych obrazów, owych pustych kadrów zasiedlonych jedynie przez duchy, ale także warstwy dźwiękowej. Prócz mieszaniny języków i akcentów, w filmie słyszymy rozmowę reżyserki z chorą matką, która wydobywa z siebie ledwie pojedyncze słowa czy monosylaby, a w pewnym momencie zaczyna śpiewać – we własnym wewnętrznym języku, na własną melodię. Powtarzająca się jak refren przechadzka matki i córki przez stary dworski park, dawne kroniki filmowe wyświetlane przez sędziwego kinooperatora, zmieniające się pory roku. Niczym w kalej-

doskopie to, co trwałe (natura) i nietrwałe (pamięć), układa się tu w tajemniczy, fatalistyczny wzór.

Koryncka-Gruz, dla odmiany, opowiada historię Anny Janko z wykorzystaniem animacji. Czasem są to ożywione dziecięce rysunki, czasem ekspresyjne obrazy niczym w „Walcu z Baszirem” Ariego Folmana, to znów, jak podczas rekonstrukcji masakry w Sochach, przerażające w swej symbolice wydzieranki. Dzięki tym zabiegom podróż babci, matki i córki do kresu rodzinnej pamięci, podobnie jak podróż do zbiorowej niepamięci w filmie Konik, ma w sobie coś z sięgającej bardzo głęboko psychoterapii. Przed nami dokumenty egzorcyzmujące przeszłość, ale jednak wychylone w przyszłość. Bez dydaktyki czy licytacji na cierpienia opowiadają o naszym naznaczeniu przez historię. I o tym, że tylko przez bolesną czasem konfrontację z nią możemy zdjąć z siebie odziedziczone przekleństwo i zobaczyć coś więcej niż tylko własną traumę. ©

MAŁA ZAGŁADA – reż. Natalia Koryncka-Gruz. Prod. Polska 2018;

OBŁOKI PŁYNĄ NAD NAMI – reż. Anna Konik. Prod. Polska 2018.

Więcej o Krakowskim Festiwalu Filmowym na s. 82.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [26 V – 1 VI]

1. Kieszonkowiec



Dramat, reż. Robert Bresson, Francja 1959, TVP Kultura, 26 V, 17.00

Dożył prawie setki, ale nakręcił zaledwie trzynaście filmów. Jego chłodny, minimalistyczny styl do dziś pozostaje inspiracją, również dla twórców polskich. Przed nami film nakręcony w szczytowym okresie twórczości Bressona – opowieść o drobnym złodziejaszku inspirowana luźno „Zbrodnią i karą” Dostojewskiego.

2. Epoka post-prawdy



Dokumentalny, reż. Héctor Carré, Francja 2017, Planete, 27 V, 22.00

Czy śmierć prasy papierowej przyniesie koniec dziennikarstwa opartego na sprawdzonych informacjach? W czasach, kiedy „internet zmienił wszystko”, a pojęcie czwartej władzy nabrało nowego znaczenia, o przyszłości mediów dyskutują dziennikarze, wydawcy i medioznawcy.

3. Moja córeczka



Teatr TV, reż. Andrzej Barański, Polska 2000, TVP1, 28 V, 20.35

Reżyser „Dwóch księzców” przeniósł opowiadanie Tadeusza Różewicza z lat 60. XX wieku do czasów bardziej współczesnych. Bohaterem jest ojciec zaślepiony miłością do córki, która wyjeżdża na studia do Warszawy i tam schodzi na złą drogę. Występują m.in. Jerzy Trela, Agata Buzek i Zbigniew Zapasiewicz.

4. Marlina: Zbrodnia w czterech aktach



Dramat, reż. Mouly Surya, Francja/ Tajlandia/Indonezja/ Malezja 2017, Ale kino+, 31 V, 20.10

W filmie indonezyjskiej reżyserki potraktowane z przymrużeniem oka krwawe „kino zemsty” spotyka się z kameralną historią samotnej kobiety, która musi samodzielnie stawić czoła swym oprawcom. Westernowa intryga i malownicze plenery wyspy Sumba przywodzą na myśl filmy Sergia Leone.



Kadrowanie rodziny

W selekcji Krakowskiego Festiwalu Filmowego ponownie szczególną uwagę zwracają filmy o rodzinie, która okazuje się kategorią pojemniejszą, niż nam się wydaje.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Po sukcesie filmu „Beksińscy. Album wideofoniczny” w 2017 r. wątek rodzinny powraca w kolejnych odstonach.

KRZYSZTOF GIERAT: To nie przypadek. Od lat szukamy filmów o ludziach, nie o problemach. Nie interesują nas doświadczenia, tylko intymne historie, a opowieści o rodzinnych relacjach idealnie spełniają ten wymóg. W tym roku mniej mamy opowieści o rodzinie reżysera, a więcej spojrzeń z punktu widzenia osoby z zewnątrz. Oczywiście mówimy o 250 filmach i większości nie da się sprowadzić do wspólnego mianownika.

Skąd ten wysyp dokumentalnych filmów rodzinnych w ostatnich latach?

Łatwiej jest zrobić film wśród bliskich, bo budowanie relacji jest wtedy prostsze. Także koszty są zdecydowanie niższe. W ogóle produkcja filmów stała się tańsza. Nie trzeba już ciężkiego sprzętu, oświetlenia czy dźwiękowców. Czasem wystarczy wręcz telefon. Dużo mamy też filmów zbudowanych na domowych archiwach wideo. To wszystko ma szczególne znaczenie dla debiutantów. Ale pomijając już pragmatykę – najciemniej zawsze pod latarnią. W domu można znaleźć niebywałe historie nadające się nawet na kryminał z dobrym suspensem.



„Biała mama”, reż. Zosya Rodkevich, Evgeniya Ostanina

Nawet najintymniejsza historia rodzinna nie dzieje się w próżni. Jak choćby w przypadku poruszającego filmu „O ojcach i synach”, który opowiada o chłopcach wychowywanych wśród członków tzw. Państwa Islamskiego w Syrii.

Najbardziej fascynuje mnie ten brak moralizatorskiego tonu. Nie znoszę filmów z tezą, które już na wstępie mówią, że na świecie jest źle, bo kapitalizm albo zmiana klimatu. Wolę dojść do tego sam, śledząc indywidualną historię bohatera. Film, o którym wspominasz, prowadzi genialny dialog z „Saperem”, innym obrazem pokazywanym na Festiwalu. Wyszło to przypadkiem, ale w obu mamy ojców na wojnie. Różnica polega na tym, że jeden uczy swoje dzieci nienawiści, a drugi rozbraja miny, przez co czyni świat odrobinę lepszym.

„O ojcach i synach” zrobił na mnie piorunujące wrażenie. Na co dzień jesteśmy bombardowani obrazami wojny, co tłumi naszą wrażliwość. Jednak pokazana przez pryzmat dzieciństwa to zupełnie inna jakość.

Rozmawiałem z Talalem Derkim, który przyjedzie do Krakowa, ale wciąż nie mogę pojąć, jak udało mu się nakręcić ten film. To przecież nie jest ukryta kamera, widzimy codzienne życie dzieci, które w jednej scenie grają sobie wesoło w piłkę, w następnej uczą się, jak zrobić

bombę. Jednak poza oczywistym kontekstem wojny wraz z jej okrucieństwem, główny bohater jest w gruncie rzeczy kochającym i opiekuńczym ojcem.

To właśnie zwykłość i banalność tych scen nadaje im wielką siłę.

Oraz względna normalność ich życia. Przecież wszyscy chłopcy w pewnym wieku bawią się w wojnę. Tutaj lekcje strzelania z karabinu czy konstruowanie min to także rodzaj zabawy. Właśnie ze względu na te podobieństwa „chłopackich” zachowań obraz na ekranie wydaje się tak bardzo niepokojący, wręcz przerażający, choć nie ma tu rozerwanych ciał, nie ma krwi. O wojnie zazwyczaj myślimy jako o czymś odległym i niewyobrażalnym, a tak naprawdę niewiele trzeba, aby elementarny porządek świata runął i dzieci, zamiast chodzić do szkoły, uczyły się zabijać.

Izraelski film „Pusty pokój” to również poruszająca historia rodzinna, choć zupełnie w inny sposób.

To niezwykle opowieść o małżeństwie, które chce wykorzystać nasienie swojego tragicznie zmarłego syna, aby doprowadzić do narodzin jego dziecka. Bardzo skomplikowana emocjonalnie historia.

Również bardzo intymna, wymagająca ogromnego zaufania.

Reżyserka, która także będzie naszym gościem, musiała przede wszystkim zro-



MATERIAŁY PRASOWE KFF x2

„Pusty pokój”, reż. Shirley Berkovitz

zumieć sytuację swoich bohaterów. A to wcale nie jest oczywiste, bo przecież ich decyzja jest kontrowersyjna.

Na początku trudno o współczucie dla nich, ale to szybko się zmienia.

To również film o pamięci, o trudnej żalobie, przepracowywanej w nietypowy sposób. Film zbudowany jest na dysonansie – z jednej strony utożsamiamy się z ich bólem, z drugiej, to dziwne marzenie do końca budzi opór.

Po raz pierwszy obejrzałem go podczas konkursu w Hajfie, gdzie wzbudził skrajne emocje, także wśród członków jury. Może dlatego, że ten rodzaj macierzyństwa jest bardzo zachłanny. Przecież ta para jest spełniona rodzicielsko, mają jeszcze dwójkę dorosłych już dzieci. A mimo to ciągle im mało. To oczywiście okrutne stwierdzenie, bo pobudki mogą być przecież najróżniejsze, ale z zewnątrz tak to wygląda.

Tę samą zachłanność dobrze widać w innym filmie – „Biała mama”.

Tam z kolei Rosjanka, która wychowuje gromadkę czarnoskórych dzieci, adoptuje jeszcze jedno, tym razem chłopca z poważnymi zaburzeniami emocjonalnymi. Jego obecność wyraźnie zakłóca funkcjonowanie szczęśliwej i zgranej rodziny. To ciekawe, że pojawiło się tyle filmów o skomplikowanej potrzebie macierzyństwa, natomiast dość rzadko pojawia się wątek aborcji.

W polskich dokumentach też?

Równie rzadko, co dziwne, biorąc pod uwagę burzliwą sytuację polityczną w naszym kraju.

Jest też chiński film „Syn Syn”, czyli historia jeszcze dziwniejszej rodziny...

Chyba trudno wyobrazić sobie dziwniejszą. Kobieta postanawia nie tylko wybaczyć mordercy jej syna, ale ostatecznie także adoptuje go. W filmie fabularnym byłoby to skrajnie niewiarygodne.

Co ciekawe, w każdej z tych historii dotykane są tematy ekstremalne, a mimo to nie ma w nich patologii. Te relacje, choć niewyobrażalnie trudne, ostatecznie przechodzą próbę czasu. Rodzina okazuje się kategorią dużo pojemniejszą, niż się powszechnie zakłada.

Filmy, o których rozmawiamy, różnią się poziomem realizacji.

W przypadku tak poruszających tematów i historii zdarza mi się przemykać oko na niedociągnięcia techniczne. Dzieje się to rzadko, bo dbamy o najwyższy poziom prezentowanych na naszym Festiwalu filmów. Niemniej czasem dajemy się uwieść samej historii.

Technicznie te filmy łączy również ciasnota i intymność w budowaniu kadrów czy prowadzeniu kamery.

Czasem ma się wręcz wrażenie, że dziełymi z bohaterami jedno mieszkanie. Ale

to stosunkowo nowe zjawisko. W klasycznych filmach dokumentalnych oczywiście też chodziło się za bohaterem, próbując przeniknąć do jego świata, ale nigdy w takim stopniu. Niekiedy nawet traktujemy te opowieści jako filmy fabularne. Miałem tak oglądając materiały robocze „Komunii” Anny Zameckiej – dopiero po dłuższym czasie zorientowałem się, że to dokument. Niektórzy nawet zarzucali jej kreację. Oczywiście nie jest to wykluczone, bo czasem reżyser ingeruje w opowieść, delikatnie przestawiając czy puentując niektóre jej elementy. Nie ma w tym nic złego, aczkolwiek dawniej było to nie do pomyślenia.

Dystans jest rzeczywiście zauważalnie mniejszy, nie ma też wyraźnych komentarzy z offu.

Ten rodzaj filmu bazuje przede wszystkim na mocnej relacji reżysera z bohaterami. Na tym polega jego siła. No i oczywiście na ogromie zainwestowanego czasu. Takie dokumenty nie powstają w dwa miesiące, niekiedy potrzebne są lata, co zostawia ślad na relacjach reżysera z bohaterami.

Jedni i drudzy przyjadą do Krakowa. To też nowe zjawisko – pokazywanie bohaterów poza kadrem.

Kiedyś bohaterowie byli anonimowi, a ich relacja z reżyserem kończyła się wraz z pracą nad filmem. Dziś bohaterowie filmów dokumentalnych bywają gwiazdami. Na festiwalach na całym świecie pojawiają się nawet ci, którzy niekoniecznie zostali pozytywnie sportretowani.

Po co przyjeżdżają?

Opowiedzieć swoją wersję wydarzeń. W ten sposób ich historie trwają dużo dłużej i wykraczają poza kinowy ekran.

© © Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI



AGNIESZKA FIEJKA / KFF

KRZYSZTOF

GIERAT (ur. 1955)
jest filmoznawcą,
dyrektorem artystycznym
Krakowskiego
Festiwalu Filmowego,
współtwórcą
Festiwalu Kultury

Żydowskiej w Krakowie oraz inicjatorem
Festiwalu Filmu Niemego. W latach 1993-94
wiceprezydent Krakowa. Członek Polskiej
Akademii Filmowej oraz Europejskiej
Akademii Filmowej.

JAN

Klata: *Delfiny mają głos*



UKOCHANY MISTRZ DANTEGO, BRUNETTO Latini, opisywał w „Skarbcu wiedzy” wydarzenia świadczące o miłości, jaką delfiny dają ludzi: „W dawnych opowieściach czytamy o pewnym dziecku z Kampanii, które długo karmiło delfina chlebem i tak go oswoiło, że pozwalał się dosiąść. Pewnego dnia delfin uniósł dziecko na pełne morze, a ono utopiło się. Delfin, gdy spostrzegł śmierć dziecka, pozwolił, by ogarnęły go fale, i sam też zginął”.

Tyle średniowieczna encyklopedia florentczyka-egzultanta. Dawno i nieprawda.

A jak było po aneksji Krymu przez Rosję, kiedy przejęto oddział ukraińskich delfinów? Było „podobno”. Podobno prawda dopiero teraz wychodzi na jaw, na dniach. Podobno delfiny nie chciały przejść na stronę wroga. Podobno odmówiły wstąpienia do rosyjskiej armii. Podobno nie chciały wykonywać rozkazów okupanta. Podobno popełniły zbiorowe samobójstwo. Podobno delfiny mogą powstrzymać się od oddychania, co też patriotycznie uczyniły.

Ukraińskie władze twierdzą, że delfiny są narodowymi bohaterami oddającymi życie za ojczyznę. Rosjanie natomiast oświadczali, że już przed 2014 r. delfiny zostały zdemilitaryzowane, posprzedawane do cyrków, i że zdechły z przyczyn najzupełniej niepatriotycznych, jak każdy porządny ssak.

Tak czy owak, ogarnęły je fale. Latini pięknie, jakby specjalnie na okazję międzynarodowego sporu o imponderabilia, zauważa: „Głos delfina przypomina płacz ludzki”. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniFani.pl

Lektor: *Zapomniany dramat*



■ *Stefan Otwinowski,*
WIELKANOC

Wydanie krytyczne prac Centralnej
Żydowskiej Komisji Historycznej, Żydowski
Instytut Historyczny,
Warszawa 2018, ss. 202

„BYŁ JAK SKRZYDŁO KRUKA / czarny lśniący / prawie niebieski” – pisał o nim Tadeusz Różewicz. W „Tygodniku” zegnał go Jerzy Andrzejewski. Stefan Otwinowski (1910–1976), bywalec stolika Gombrowicza w Zodiaku, zadebiutował powieścią „Życie trwa cztery dni”. Po wojnie osiedlił się w Krakowie, publikował kolejne tomy prozy i felietony, był wieloletnim prezesem miejscowego oddziału

Związku Literatów Polskich. Dziś jest niemal zupełnie zapomniany. Dramat „Wielkanoc”, opublikowany w 1946 r. z wprowadzeniem Michała Borwicza i rysunkami Antoniego Uniechowskiego, podejmuje na gorąco temat Zagłady i relacji polsko-żydowskich – jak „Wielki Tydzień” Andrzejewskiego. Tytuł odsyła do wielkiej akcji likwidacyjnej i powstania w getcie warszawskim,

choć zasadniczo akcja toczy się na rynku małego miasteczka. Scenerię i główne postacie – panią Freud, właścicielkę zajazdu, matkę Ewy i filozofującego Samuela; dziennikarza Stanisława Łaskiego, który przyjechał do wuja-lekarsza; nauczyciela Sicińskiego – poznajemy w prologu, u progu wojny. Łaski, jego wuj Przypkowski i aptekarz Twardowski są „fanatykami przyjaźni międzyludzkiej”, natomiast antysemita Siciński kupując papierosy u pani Freud tłumaczy, że... musi to zrobić, bo w żadnym polskim sklepie nie znalazł ulubionej marki. Prolog jest bodaj najżywszym fragmentem sztuki: potem realizm zdominowany zostaje przez symbolikę, sam autor odwołuje się zresztą do Wyspiańskiego i Pereca. Samuel zginie jako przywódca powstańczego zrywu, Ewę

uratuje Łaski; w ostatniej scenie są już w Warszawie, za oknem słychać pierwsze strzały kolejnego powstania... Krytycy podkreślali szlachetność zamierzenia, wytykając usterki artystyczne – starał się je zatrzeć w swojej inscenizacji Leon Schiller. Premiera nabrała wymiaru politycznego (odbyła się już po pogromie kieleckim), choć z perspektywy dzisiejszej wiedzy zawarta w dramacie krytyka postaw Polaków jest wielce łagodna. „Spojrzenie Otwinowskiego przesiąknięte jest troską o polski autowizerunek” – zauważa Tomasz Żukowski (obok Ewy Koźmińskiej-Frejlak, Anny Kuligowskiej-Korzeniewskiej i Doroty Jareckiej autor komentarza do obecnego wznowienia); wtedy jednak podkreślano przede wszystkim (jak Rachela Auerbach) wagę gestu polskiego pisarza i jego dobre intencje. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Królowie życia



PIĘĆDZIESIĄT TYSIĘCY. TYLE FUNTÓW MIAŁ kosztować tort podany na weselu, którego nawet zagrzebany w mysia dziurę mizantrop nie mógł w ostatnich dniach przegapić. W ogóle bym o tym nie wspominał, bo kosztowność potrawy powyżej pewnego rozsądnego minimum (które pozwala skorzystać z dobrych składników i wynagrodzić rzemiosło kucharza czy cukiernika) nie stanowi doprawdy o niczym i nie przekłada się na słodycz wspomnień. W skromnym lapidarium własnej szczęśliwości trzymam kosteczki paru rodzajów gorzkiej czekolady, z których najpierwsza jest wedlowska Jedyna – roztapiana na języku łyżeczką herbaty, więc nie robią na mnie wrażenia wieści o tym, co też pani Ptak, kalifornijska cukierniczka działająca w Londynie w branży „organicznego cukiernictwa”, wymogła dla 600 gości ślubnego przyjęcia.

Z innego powodu o tym wspominam: starczyło, żebym tydzień temu słał tu zalety syropu z kwiatów czarnego bzu, a już się okazało, że na zamku Windsor podali tort cytrynowy obleczony kremem bezowym nasączonym kordialem z tychże kwiatów, zebranych z posiadłości królewskiej wokół Sandringham House. Pękam z dumy, taki ze mnie *trendsetter*, chociaż nawet nie zdążyłem rozkręcić Instagrama – co wkrótce uczynię, bo nawet w bliskiej mi branży winiarskiej zaczynają się bardziej liczyć osobnicy, których jedyną zasługą jest wrzucanie obrazków z butelkami na tle zachodzącego słońca. Nie jest nawet jasne, czy kiedykolwiek je otwierają.

No i bardziej polubiłem Elżbietę za to, że trzyma w tak prestiżowym miejscu krzewy będące u nas parkowym kopciuszkiem. Na jeden dzień schowałem egalitarne myśli na temat pajaców w koronach. A czym majestat nakarmił gości? Przy takiej masowce w grę wchodziły tylko drobiazgi do jedzenia na stojąco. Nie myślcie o kanapkach. Owszem, były, ale po raz pierwszy na salony wkroczyła nowa, robiąca furorę na Wyspach kategoria *bowl food*, czyli dosłownie jedzenie z miski. Nie byle jakie – nie wyobrażajcie sobie strogonowa albo fasolki po bretońsku. Chodzi o fikuśne, złożone z kontrastujących składników mieszanki, które można jeść łyżką, bez konieczności krojenia i rozdrabniania. Liczy się fantazja oraz gra fakturami – dlatego obok ziaren, plasterów, liści i kasek mamy pomiędzy nimi różne musy, żele albo pianki. Porcje są niewielkie, ważne są zaskakujące zestawienia. Ku-

charz podsuwa nam pewien ramowy scenariusz, ale reżyserem doznań stajemy się sami, zagarniając różne konfiguracje składników do ust. Renomowany ekspert od etykiety orzekł przy okazji wesela w Windsor, że „tylko psy jedzą z miski”, ale cóż, nawet królowie klękają przed modą. A poza tym nie jest takie oczywiste, że elegancki człowiek utrzymujący w równowadze trzypiętrową kanapczkę na kawałku bagietki wygląda mniej żałośnie, niż kiedy macha wesoło łyżką niczym przedszkolak walczący nad ceratą z glutem budyniu.

Jedzenie w misce łatwiej wpasowuje się w ideologię zdrowego odżywiania – mnóstwo bowiem rzeczy uznawanych na danym etapie za szkodliwe i zbawienne ma miękką, płynną czy obślizgłą konsystencję, jak np. galaretowaty skrzek nasion chia, i nie da się ująć w karby przyzwoitej kanapki. A panna młoda, jak donoszą, jest z tych zdrowych. Jej wybranek przestał nawet palić i zaczął pić zielone koktajle. Do niedawna prowadziła blog z dobrymi radami, z pobieżnej jego lektury zapamiętałem odcinek o zdrowej podróży samolotem: oparcie fotela i stolik zdezynfekuj podręcznym antybakteryjnym psikaczem, a nos od środka posmaruj kremem z antybiotykiem, żeby zarazki z klimatyzacji nie wniknęły w delikatną śluzówkę. Obsesyjne odgradzanie się od bakterii i aplikowanie sobie bez medycznej potrzeby antybiotyku wydaje mi się mурowanym sposobem na zrujnowanie odporności, ale na pewno nieuważnie czytałem i dalej coś było o organicznych jogurtach pozwalających ją odbudować.

Tyle dobrego, że na wieczorne przyjęcie, bardziej intymne (tylko dwustu zaproszonych), miała być baranina, bułki z kiełbaskami (starszy brat Harry'ego miał takie na swoim weselu siedem lat temu) oraz zaparkowany w ogrodzie *food truck* z lodami. I dlatego żałuję, że poczta zgubiła moje zaproszenie, bo podwójne lody z automatu o drugiej nad ranem to jest właśnie to, czego trzeba, żebym się poczuł jak król. Życia. ©



REX / SHUTTERSTOCK / EAST NEWS

Na królewskim Instagramie pokazywali przed weselem zdjęcia z kuchni – niewiele było widać, ale dostrzegłem świeży groszek, to jest w sam raz na niego czas. Jeśli mamy dostęp do groszku w strączkach, zrobimy jedno z podstawowych weneckich dań – risi e bisi, podawane tradycyjnie na dzień św. Marka. Nie jest to risotto (bo ryżu się nie praży), raczej gesta zupa, w sam raz do jedzenia z miski. Łuskamy 3/4 kg **groszku**, strąki pozbawiamy łyka (słuchając przy tym „Judyty” Vivaldiego, to jest mrówcza

robota) i wrzucamy do ok. 1 l **bulionu warzywnego**. Gotujemy ok. godziny do miękkości, miksujemy, przecieramy przez sito. Na dużej patelni topimy 50 g **masła**, dodajemy 1 drobno siekaną **cebulę**, dusimy kilka minut, dorzucamy wyluskany groszek, podlewamy paroma łyżkami wody, dusimy jeszcze kilka minut i zalewamy gorącym „zielonym” bulionem. Doprowadzamy to wszystko do wrzenia, wsypujemy 320 g **ryżu** (typ jak do risotta) i na średnim ogniu gotujemy tyle, ile trzeba, w razie czego dolewając trochę wrzątku. Na koniec dodajemy łyżkę **masła** i parę łyżek **parmezanu**.



OD REWOLTY DO FOLKLORU

Maj '68 to widmowe wydarzenie zakończone klęską,
która była jedynym szczęśliwym rozwiązaniem.
I najważniejszy punkt odniesienia dla powojennej Francji.

MAREK BIEŃCZYK

WROKU 2008, CZTERDZIEŚCI LAT PO PARYSKIM MAJU, PREZYDENT Francji Nicolas Sarkozy twierdził, że należy skończyć z jego duchem, ideami i stylem zachowań. Obiecywał, że przekreśli jego dziedzictwo i powróci w swych działaniach do „moralności, autorytetu, pracy, narodu”. Atakował spadkobierców Maja '68, którzy zrezygnowali z „wysiłku i pracy”, podważyli „etyczne punkty odniesienia”, wzniesili nienawiść do rodziny, zdetronizowali ojców, sami ojcami się nie stając, i uczyli sztydzić z tożsamości narodowej.

To tylko selektywne wypisy z młyna interpretacji, który Maj '68 w każdą swą rocznicę rozkręca aż do paroksyzmu.

Paryż, Praga i Ameryka

Dziesięć lat po paryskim Maju '68 we wstępie do powieści Josefa Škvoreckiego „Cud” Milan Kundera porównywał te wydarzenia z Praską Wiosną. Paryski Maj wedle niego był rewolucją liryczną, dziełem młodych radykalnych, podczas gdy Wiosnę wywołali starzy i umiarkowani Czeši, którzy, dalecy od rewolu-



REV-ANA / AFP / EAST NEWS

Ulice Paryża, 7 maja 1968 r.

cyjnych uniesień, żywili postrewolucyjny sceptycyzm, co sprawia, że nie da się włączyć Wiosny w „plejadę światowej rewolucji młodzieżowej”. Maj paryski był buntem lewicy, gotowej podważyć tradycyjne wartości europejskiej kultury; o Wiośnie nie da się w ogóle powiedzieć, czy była lewicowa, czy prawicowa. Maj paryski nie rozumiał Praskiej Wiosny, gdyż uznawał ją za bliźniaczą antysystemową eksplozję niezgody na rządy autorytarne, a nie za próbę znalezienia systemowego *modus vivendi* w niezmienionej sytuacji geopolitycznej.

Diana Pino porównywała go z wydarzeniami tegoż roku w Stanach Zjednoczonych. Maj francuski wcielał według niej zasady sztuki greckiej: miał swoją jedność czasu (miesiąc), jedność miejsca (Paryż) i przestrzegał jedności akcji: było nią całkowite, lecz mgliste i wewnętrznie niespójne, podważenie systemu. Maj '68 był ludyczną psychodramą, wyrastającą z ruchu studenckiego, ale też w jakiejś mierze z walki robotniczej. Widziany z zewnątrz wydawał się nagłym politycznym wybuchem o rewolucyjnych pozorach, lecz w gruncie rzeczy pozbawionym strony tragicznej, rzeczywistego napięcia i faktycznej stawki, był „festiwalem historycznych odniesień, który urządziła sobie Francja zamiast dziesiątej rocznicy gaullizmu”.

Rewolta amerykańska była wedle Pino o wiele bardziej dramatyczna, pozbawiona wymiaru ludycznego i doprowadziła do krwawych wydarzeń na kampusach uniwersyteckich półtora roku później. Rewolucja francuska toczyła się w dzień na barykadach, a wieczorami odnajdywała przytulny, rodzinny świat. Amerykańska toczyła się na skraju przepaści – Ameryka, w przeciwieństwie do Paryża, który gromko mówił o Historii i do niej się odwoływał, przeżywała Historię dosłownie. Życie i śmierć istniały koło siebie w sposób nieznaną kontestacji paryskiej.

W przeciwieństwie do Ameryki, która, zdaniem Pino, nie wróciła do siebie po tamtych trwoźnych latach, Francja w pełni spożytkowała ludyczny i wolnościowy nastrój Maja '68, który zawierał, mimo powszechnego użycia żargonu walki klasowej, przesłanki społeczeństwa uspokojonego. Po przejściu choroby dziecięcej zwrócono się ku demokracji formalnej. Dlatego Francja jest jedynym krajem, który może sobie pozwolić na uczczenie roku 1968. Tylko ona, konkludowała Pino, umiała w tak krótkim czasie zasymilować go i przeżyć nietragicznie. I teraz może palić nad nim wonne kadzidła.

Utopie i reakcja

W roku 1998, trzydzieści lat po Maju, Michel Houellebecq w powieści „Cząstki elementarne”, kreśląc futurystyczny portret społeczeństwa posthistorycznego, opisywał zmierzch pokolenia '68, uwikłanego w młodzieńcze fantazmaty, narcystycznie zamkniętego w imperatywie przyjemności bez granic, bezradnie pielęgnującego rozpadające się już ciała i histerycznie starającego się przedłużyć ich moce seksualne, lecz już niezdolnego do jakiegokolwiek przyszłości i jakiegokolwiek myśli społecznej o zbiorowym współistnieniu.

W tym czasie zaczęto mówić o francuskich „nowych reakcjonistach” (z Houellebecqiem i Alainem Finkielkrautem na czele), tych, którzy poddawali krytyce wywodzące się z Maja '68 społeczeństwo poprawności politycznej i hegemoniczny dyskurs praw człowieka skrywający najbardziej dotkliwą w dziejach polityczną, społeczną i duchową pustkę Francji – opartą na zgubnym uświęceniu jednostki. Jedną z najbardziej rozpowszechnionych tez czy klisz na temat Maja mówiła o światowym liberalizmie gospodarczym jako bezpośredniej konsekwencji jego ideału jednostkowej wolności: Maj miał doprowadzić do liberalnych wypaczeń i do nastania ery bankierów rządzących pod przykrywką wzniesłego słownictwa wolnościowego.

Pięćdziesiąt lat po rewolucji francuskiej wszystko było mniej więcej jasne. Maj '68 ma inny status; jako rewolucja niedokonana promieniuje wciąż swym niedokonaniem, czy, jak kto woli, swą ontyczną niejasnością, do dzisiaj. To widmowe wydarzenie, z punktu widzenia politycznego zakończone klęską, która była zapewne jedynym szczęśliwym rozwiązaniem, pozostaje najważniejszym punktem odniesienia dla powojennej Francji. Przede wszystkim jako zbiór niezrealizowanych możliwości politycznych (tyle mogło się stać, jednak z różnych względów się nie stało), lecz także jako motor realnych zmian kulturowych, które przefasonowały (dla jednych na dobre, dla drugich na złe) Francję postmajową mentalnie i ekonomicznie.

Od pół roku toczy się we Francji nowe wcielenie tej interpretacyjnej psychodramy, spektakl zatytułowany: „Czy prezydent Macron uczci pięćdziesiątą rocznicę Maja?”. Przez parę miesięcy z jego obozu dochodziły sprzeczne komunikaty: raz nie, →

→ raz tak. Co bowiem mógłby celebrować ten prezydent? Ponieważ sam przedstawia siebie jako władcę ponad podziałami, musi poruszać się wyjątkowo ostrożnie po terenie Maja, zaminowanym i przez lewicę, i przez prawicę. Wypowiedź Macrona sprzed paru miesięcy: „Maj był czasem utopii i deziluzji; dziś nie mamy już utopii i przeżyliśmy wiele deziluzji” należy bardziej do języka pytyjskiego niż do języka sygnatariusza promajowych deklaracji.

Macron w swych wokółmajowych wypowiedziach dokonuje zabiegu, który Pino i Kundera uznaliby zapewne za mydlący oczy: nadmiernej uniwersalizacji wydarzeń majowych, uznania ich przede wszystkim za część wielkiego ruchu sprzeciwu, który w tamtych latach przebiegł przez cały świat.

Uczczenia zatem nie tyle lewicowych, wręcz ostro goszowskich postulatów społecznych i politycznych wówczas wypowiadanych, co ogólnego, politycznie nieokreślonego ducha sprzeciwu, który z woleja mówi „nie” zastąpił porządkowi rzeczy. Brakuje złożenia hołdu odwiecznej i w Maju '68 gwałtownie rozbudzonej wyobraźni utopijnej, człowieczeństwu zbuntowanemu, łaknieniu przyszłości, którego tak mało w *status quo* francuskiej rzeczywistości, zakleszczonej w retoryce zmian bez zmian. Docenienia gotowości do przeobrażeń, do ruszenia świata (francuskiego) z posad, słowem: imperatywu nieustraszonoci. I wreszcie – uznania dla majowego dyskursu liberalnego, postawienia na pierwszym miejscu kwestii jednostkowej wolności za wszelką cenę, czyli pojęcia, które Macron uczynił – sprytnie mieszając wymiar filozoficzny z hasłem skutecznej dzielności w działaniu – swoim *thema regnum*.

Kwiaty we włosach

Podróże autostopem po Francji lat 70. były jak przejażdżki socjologiczne w krajobrazie po bitwie. O wolności rozmawiało się z kierowcami dużo, o polityce mniej. Owszem, przyjeżdżało się z Polski z interpretacyjnymi przesadami. Na paryski Maj patrzyło się przez okulary kontrkultury, a nie przez pisma tak zwanego „młodego Marksa”; przez teksty Jima Morrisona i książkę Aldony Jawłowskiej, a nie przez dzieła Althussera; przez Woodstock i „Hair”, przez poezję i czuprynę Rimbauda, a nie przez promaoistowskie wyczyny zezowatego Sartre’a i żigolaka Sollersa.

Chciało się odnaleźć to, o czym tęskniło się w domu: to samo pokolenie, tyle że za żelazną kurtyną, solidarnie zbuntowane przeciwko ojcom, strasznym mieszczanom w tych idiotycznych garniturach, nierozumiejącym rocka, ganiającym za nami z nożyczkami, narzucającym ułożone, konwencjonalne życie w wyjąłowanej rzeczywistości.

Groziło to piekielnymi uproszczeniami wobec całej złożoności niedawnych wydarzeń, lecz wędrówka po ówczesnej Francji z roku na rok paradoksalnie coraz mniej odводziła od przywiezionych z kraju przesądów. Było cudnie i wolnościowo, faceci w długich włosach, obwieszeni koralikami szybko zabierali nas z poboczy dróg, rozmawiało się jeszcze o kolejnych protestach przeciwko centralom atomowym, lecz widać było wyraźnie, że niedawny bunt społeczno-polityczny przeistaczał się coraz

Pod względem ideowej radykalności

Francja nigdy poza Maj '68 nie wyszła. Późniejsze próby dojścia do ściany zawsze paliły na panewce; ruchy antysystemowe ponosiły kolejne porażki.

bardziej w sekciarskie lub całkowicie indywidualne poszukiwania absolutu i samorealizacji poza polityką i jej językiem.

Sekty religijne najprzeróżniejszej proveniencji, bractwa posthipisowskie, grupy ekologiczne, czciciele gwiazd, zodiakalni mistycy, wyznawcy Castanedy, Hare Kriszny i tak dalej, za każdym razem wchodziło się do samochodu jak do nowej świątyni. Do tego mrowie wolnych ptaków, neowieśniaków z jedną kozą i trzema rzędami porów, z grabiami w jednej ręce, a skrzętem w drugiej. Wszyscy zbuntowani, lecz każdy coraz bardziej sobie.

W dzisiejszych rozmowach o Maju '68 często gra się parami przeciwstawień. Przede wszystkim: w chwili rosnącej ekonomicznej *prosperity* Maj chciał wysadzić w powietrze społeczeństwo konsumpcyjne, francuską małą stabilizację. Obecne sprzeczki społeczne wyrastają natomiast z poczucia ekonomicznej kruchości i z marzenia o trwałej, choćby i małej, stabilizacji.

Więc i to (cytuje za Danielem Cohenem): w latach 60. należało być „*straight by day, swinger by night*”. To znaczy być za dnia biernym, porządnym, posłusznym pracownikiem w krawacie, gdy szło się do roboty, a w nocy być, jak to określali Francuzi, *yéyé*, czyli rozbrykanym, szalejącym na parkietach w rozchełstanej koszuli kontestatorem dnia. I w ten dualizm, w ten pełen hipokryzji rozróż między nocą a dniem Maj '68 wsunął dynamit. Dzisiaj proporcje się odwróciły. W pracy lepiej być bardziej *swinger* niż wówczas, popisywać się – aby ją zachować – pomyślnością, nadgorliwością, werwą, a wieczorami być *straight*, odkrywać słodycz rodzinnych pieleszy, kompensując wartości konserwatywne, rodzinne, także patriotyczne, narodowe, tęsknić za przywróceniem rządów wertykalnych. To znaczy rządów silnej ręki, autorytarnych i teokratycznych, które w społeczeństwie już nie industrialnym, a informatycznym, rozlanym na cały świat, rozmywającym struktury władzy, na powrót ustawi wszystko w pionie.

Nie jestem pewien, czy te uogólnienia, choćby jakoś trafne, oddają szczególność Maja, zakończonego kontrrewolucją, czyli przyspieszonymi wyborami parlamentarnymi w czerwcu 1968 roku i wielkim w nich tryumfem gaullistów. Chyba trzeba mówić ostrzej. Ten miesiąc karnawału doprowadził przecież Francję do wymarzonego jeszcze przed wojną, a zrealizowanego po wojnie wraz z fenomenalną koncentracją i naciskiem idei komunistycznych, prawdziwego paroksyzmu rewolucyjnego, tyle że nie znalazł on jednak swojej trajektorii.

Robotnicy, Stalin i Mao

Jedna z postmajowych klisz mówi o niedogadaniu się studentów z robotnikami, czyli problematyzuje Maj w podobny sposób, jak my problematyzujemy polskie dochodzenie do Solidarności. Symbolem tego minięcia się jednego z drugim jest pamiętna wizyta delegacji studentów w fabryce Renault w Billancourt, kiedy związkowcy zamknęli im bramę przed nosem. Zbyt łatwo jednak zapomina się o fenomenalnej rewolucyjnej werwie, która ogarnęła bynajmniej nie tylko Paryż; obok strajku powszechnego 13 maja 1968 r. wybuchło tysiące lokalnych strajków robotniczych, które bynajmniej nie były wymierzone w społeczeństwo konsumpcyjne, a mówiły o społeczeń-

stwie niedożywionym. Przeżyliśmy to w polskim Sierpniu '80, ową nieposkromioną gorączkę, która rozlała się na wszystkie instytucje i zakłady. I tam wrzała nie tylko stolica, lecz cała Francja.

W powszechnym, tak intelektualnym, jak i robotniczym slangu rewolucyjnym ogromną rolę odegrał dyskurs komunistyczny, wręcz stalinowski, nie da się tego ukryć.

Michel Foucault parę lat później powiedział to wprost: uniwersytety mówiły językiem czysto stalinowskim, a szef lewicowego „Le Nouvel Observateur”, Jean Daniel, wspomina dzisiaj, że „drukarze, zecerzy i korekta, wszyscy anarcho-syndykaliści, byli zdolni o każdej porze dnia i nocy cytować święte teksty Róży Luksemburg i innych”. Tęsknota za własnym Krajem Rad, za własnym Październikiem była w środowisku robotniczym i wśród intelektualistów powszechna, to był niespłacony dług wobec francuskiego przedwojennego komunizmu, wobec własnych fantazmatów ożywianych niezmiennie bebechowym antyamerykanizmem, wobec rewolucji francuskiej i rewolucji dziewiętnastowiecznych, wobec imperatywu kolejnego rewolucyjnego powtórzenia. Francuska Partia Komunistyczna, niebawem wówczas silna, mogła docisnąć pedał, skoczyć w nieznane, prawdopodobnie też doprowadzić w ten sposób do rozlewu krwi, lecz liczyła na zwycięstwo w wyborach liberalnych; przegrała i od tej chwili zaczął się jej powolny upadek.

Maoistowskie, trockistowsko-stalinowskie i leninowskie tendencje dominowały językowo; ruch studencki również posługiwał się nimi, jeśli nawet nie wyrażały jego antyautorytarnych aspiracji. Przed jego upartyjnieniem i zideologizowaniem uchroniła go ludyczność Maja, szczególnie, niepowtarzalna poetyckość, romantyczna oniryczność i, podejrzewam, poczucie pewnej teatralizacji, rekonstrukcji działania rewolucyjnego; język rewolucyjny tracił bezpośredniość, stawał się dadaistycznym cytatem. A eksplozja młodości, czyli klasa wiekowa stawała się ważniejsza od klasy społecznej. Tak jakby francuski duch literacki, o czym pisał Alexis de Tocqueville sto lat wcześniej, przeważał nad działaniem politycznym, pokochał bardziej w Maju piękne obrazy niż cel, ku któremu miały prowadzić.

Można to nazwać samoograniczeniem się czy też odruchem fundamentalnie anarchistycznym, który nie pozwala z buntu zrobić narzędzia jakiegokolwiek władzy, nie pozwala nawet własnej anarchii stwardnieć i się dookreślić. Drogi goszyistów i reszty uczestników rewolty studenckiej się rozeszły; niektóre ugrupowania goszyistowskie zostaną w chwilę później zdelegalizowane, ruchy trockistowskie przetrwają dwie dekady, zdążają się jeszcze rozczarować Solidarnością, w której pokładały swoje ostatnie nadzieje na rewolucję w Europie, aż wreszcie całkowicie się zmarginalizują.

Diana Pino miała trafną intuicję. Wokół Maja '68 Francja do dzisiaj przeprowadza swoją introspekcję, rozgrywa swój analityczny teatr. Pod względem ideowej radykalności Francja nigdy poza Maj nie wyszła; tamte trzy tygodnie były najbardziej radykalnym osiągnięciem w jej powojennej historii. Późniejsze próby dojścia do ścian zawsze paliły na panewce; ruchy antysystemowe ponosiły kolejne porażki. Maoiści i trockiści, jak wspominałem, bardzo silni na początku lat 70., po latach stali się częścią intelektualnego folkloru; Front National, mimo dużych sukcesów, nie doszedł do władzy i jest w tej chwili raczej w stanie rozsyпки; nowa lewica narodowa i antyeuropej-



LEEMAGE / EAST NEWS

Przed wejściem na Sorbonę, 30 maja 1968 r.

ska również nie zdołała przedrzeć się do władzy; fale strajków, branżowych i powszechnych, które od 1968 roku co parę miesięcy przetaczają się przez kraj, nikną w znużeniu lub w paru procentach podwyżek.

Polska pogardliwa klisza o Francuzach, która od dwóch lat mocno odżyła, mówi, że to naród lewaków i innych pejoratywnych określeń, których pełny zbiór odnajdziemy w tweetach Krystyny Pawłowicz. Historia politycznej klęski paryskiego Maja '68 (i przez to może jego zwycięstwa) pokazuje *per negationem*, jak od XVIII wieku silnie zakorzeniona jest we Francji kontrrewolucja. To najbardziej lewicowe europejskie społeczeństwo jest zarazem najbardziej prawicowe, a w każdym razie najbardziej wstrzemięźliwe wobec własnych możliwości i trwa w tym kłinczu czy w tej autoregulacji od dwustu lat.

© MAREK BIEŃCZYK

STANISŁAW

Mancewicz: *Działacz i Mars*



PREZYDENT DUDA JEST POLITYKIEM POLSKIM i nie jest politykiem europejskim – tak sobie wykoncypowaliśmy po jego wypowiedzi, iż Donald Tusk nie jest politykiem polskim, jest bowiem politykiem europejskim. Posługując się ową logiką, przyjmujemy bez szemrania, że Duda nie uprawia polityki europejskiej, a Tusk tego, co zwykliśmy nazywać polityką polską. To

mniemanie nie sprawia nam żadnego kłopotu głowowego aż do chwili, w której zaczynamy opukiwać i wentylować termin „polityka polska”. Bylibyśmy niekonsekwentni, gdybyśmy nie pamiętali, że nie tak dawno tu, na tych świętych łamach, dowiedliśmy z oszałamiającym sukcesem, że przecież polityka polska nie istnieje. Kimże jest w tej sytuacji prezydent Duda? Skoro to, co ów uprawia, nie jest polityką w ogóle?

Prezydent Duda jest najwyższym urzędnikiem państwowym, ale, co ważne, nie najważniejszym, z czym zresztą sam się zgadza, bez dąsów bądź pretensji. Został obrany na to stanowisko w demokratycznych wyborach. Ta banalna informacja zawiera jednak zagwozdkę. Wybory są przecież aktem politycznym, a więc biernie uczestnictwo w nich i sukces elekcyjny człowieka niebędącego politykiem muszą zastanawiać. Sytuacja oboru Andrzeja Dudy umyka teorii i wkuwa się w zjawiska namacalne. Mniemania nasze w tej okoliczności wiodą do konkluzji, że Duda nie tylko nie jest politykiem w żadnym sensie, ani europejskim, ani polskim, ale także, mimo ogromnych wysiłków, nie jesteśmy w stanie wyrazić, kim jest. To jest rozległe, naszym skromnym zdaniem, pole do badań zarówno terenowych, jak i stacjonarnych.

Kim jest więc Andrzej Duda? Na nasze prywatne czucie jest on przede wszystkim działaczem. Jest to pojęcie przez nas absolutnie umiłowane. To słowo zachwyca nas jednością polszczyzny i jej pojemności. „Działacz”. W tym słowie jest moc. Jest w nim spójność, są i luki. Jest w nim stosowna ważność i nieważność. Jest w nim także nieogarnięta rozumem zdolność zastępstwa. Gdy bowiem nie wiadomo, co o kimś powiedzieć, wystarczy rzec: działacz. Działacz czego? – zapytają nas zaraz niepolite rzesze naszych Czytelników. Skromnie odburkniemy: Andrzej Duda jest działaczem polonijnym. Jakże to? Przecież onże jest z Krakowa! – wołają masy. Z serdecznego serca serc miast polskich, a nie za przeproszeniem z Illinois czy New Jersey! Więc? A i owszem – rzekniemy z lisim uśmiechem – zgadza się, Kraków jest bowiem największym w świecie miastem polonijnym, oczywiście z racji bliskości Zakopanego. To stąd płynie największa oferta polonijności, to tu dymią fabryki wszystkiego, co polonijne w każdym sensie: mentalności, ciupag, bursztynowych ozdób, wizji świata, mikrowizji i braku wizji. Stąd, spod kożucha mgieł smrodliwych, w oparciu o uniwersytet z dalekiej setki rankingu placówek edukacyjnych w świecie, polonijność wysyła swe kadry na krańce planety Ziemia. Ufamy, że gdy ludzkość wreszcie dosięgnie Marsa, to marsjańska faktoria polonijności zostanie sformowana w tutejszych laboratoriach, że czapka krakuska kupiona w Sukiennicach zostanie przykryta konkurencja do bogactw naturalnych owej planety, której czerwony kolor zostanie oczywiście odwołany kosmiczną nowelą ustawy o IPN.

Na razie jednak musimy zadowolić się tym, co mamy – polonijnym oderwaniem, którego esencją są wypowiedzi Andrzeja Dudy, ot choćby ta, że dba on o – pardon – „stosunki euroatlantyckie”. To nas zdziwiło jeszcze bardziej niż Dudy opinia o Tusku. Nasz stosunek do słowa „stosunek” wypełniony jest bezbrzeżnym uwielbieniem, dlatego też z uwagą śledzimy zawsze kontekst, w jakim się pojawia, i Andrzej Duda w naszym fachowym mniemaniu używa go w złym znaczeniu. Przejrzelśmy wszystkie dostępne nam słowniki i żadna z definicji stosunku nie pasuje do tego, co miał na myśli prezydent. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



GOŚCIE NA ŚLUBIE KSIĄŻECY PARY W WINDSORZE

TYLKO 300 ZŁOTYCH NA CAŁY ROK!



Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat
– możesz kupić krajową, ekonomiczną
prenumeratę wydania papierowego „TP”
w ofercie **POKOLENIA** za 300 zł rocznie. ■

Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją
zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu
opisanymi poniżej.

■ Zastrzegamy sobie jednak prawo skontaktowania się
z wybranymi osobami w celu weryfikacji prawa do ulgi.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12
w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez
stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl,
na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta **POKOLENIA** – 300 zł na rok
■ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl



Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa
zaprasza

kbfs★

15
RMP
Classic



FMF

FESTIWAL MUZYKI
FILMOWEJ
W KRAKOWIE

29.05–5.06.2018

WWW.FMF.FM

Sponsor Główny Partner dla Krakowa

